

EDWARD MORGAN FORSTER

POKÓJ Z WIDOKIEM

E. M. Forster zadedykował „Pokój z widokiem”: H. O. M.
(H. O. Meredith, przyjaciel Forstera)

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I: PENSJONAT „BERTOLINI”

- Zupełnie nie rozumiem, jak to się stało - powiedziała panna Barlett. - Signora obiecała nam dwa sąsiednie, południowe pokoje z widokiem. Tymczasem te są północne, wychodzą na dziedziniec i dzieli je cała długość korytarza.

- Ach, ten cockney! - odrzekła Lucy, zmartwiona nieoczekiwanym akcentem signory. - Zupełnie, jakbym była w Londynie. - To mówiąc spojrzała na siedzących po obu stronach stołu Anglików i na rząd stojących pośrodku, przezroczystych butelek z wodą i czerwonych z winem. Po chwili przeniosła wzrok na ścianę, na której zawieszono bogato oprawione wizerunki zmarłej królowej i jej nadwornego poety. Obok wisiała informacja z kościoła anglikańskiego, podpisana przez wielbnego Cuthberta Eagera, absolwenta Uniwersytetu Oksfordzkiego, magistra nauk humanistycznych; reszta ściany pozostawała pusta. - Charlotto, czy nie czujesz się, jakbyś była w Londynie? Nie mogę uwierzyć, ile wspaniałych rzeczy czeka na nas na zewnątrz. Przypuszczam, że obie jesteśmy po prostu zmęczone.

- To jest mięso, na którym ugotowano zupę - oświadczyła panna Barlett z oburzeniem, odkładając widelec.

- Tak bardzo chciałam zobaczyć Arno. W liście signora obiecała nam pokoje, które wychodzą na Arno. Dlaczego nie dotrzymała słowa? To okropne! - Mnie wystarczy byle kącik - odrzekła panna Barlett. - Ale ty powinnaś mieć odpowiedni pokój.

Lucy poczuła, że jest egoistką.

- Ależ Charlotto, nie powinnaś mnie rozpieszczać. To oczywiste, że tobie również należy się widok na Arno. Takie jest moje zdanie. Pierwszy frontowy pokój, który się zwolni...

- ... dostaniesz ty - dokończyła panna Barlett. Część kosztów podróży pokryła za nią matka Lucy i do tej hojności panna Barlett robiła wiele taktownych aluzji.

- Nie, nie. Wykluczone. Ten pokój będzie dla ciebie.

- W żadnym razie. Twoja matka nigdy by mi tego nie wybaczyła.

- Moja matka nigdy nie wybaczyłaby tego mnie.

W podniesionych głosach obu dam zabrzmiało zniecierpliwienie. Były zmęczone i pod wzajemną troską ukrywały tłumioną irytację.

Siedzący przy stole pensjonariusze wymienili znaczące spojrzenia. Potem niespodziewanie jeden z nich, najwyraźniej należący do tych źle wychowanych ludzi, których zawsze spotkać można w podróży, pochylił się nad stołem i wtrącił do rozmowy.

- Ja mam pokój z widokiem! - oznajmił.

Panna Barlett drgnęła zaskoczona. Mieszkańcy pensjonatów poznawali się wzajemnie dopiero po jakimś czasie, często dopiero w dniu wyjazdu. Nigdy nie następowało to tak szybko. Pannie Barlett wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, że ma do czynienia z człowiekiem pozbawionym dobrych manier.

Rozmówca był potężnie zbudowanym mężczyzną w podeszłym wieku, o bladej, gładko wygolonej twarzy i dużych oczach. W wyrazie tych oczu było coś dziecinnego, co jednak nie wynikało z podeszłego wieku. Panna Barlett nie zastanawiała się nad tym długo. Skierowała wzrok na ubranie mężczyzny, lecz i ono nie przyciągnęło jej uwagi.

Spojrzała więc na intruza z udanym roztargnieniem.

- Widok? Ach tak, widok jest istotnie wspaniały - przyznała.

- Oto mój syn - ciągnął mężczyzna z zapalem. - Na imię ma George. Jego pokój jest również od frontu.

Ach tak - odparła panna Barlett, uprzedzając Lucy, która chciała wtrącić się do rozmowy.

- Chodzi mi o to, że panie mogą wziąć nasze pokoje, a my pokoje pań. Zamienimy się!

Panna Barlett zauważyła porozumiewawcze spojrzenia pozostałych gości.

- Bardzo panu dziękuję, ale to wykluczone - wycodziła.

- Dlaczego? - wykrzyknął mężczyzna, kładąc dłonie na stole.

- Ponieważ jest to wykluczone, to wszystko.

- Wie pan, nie chciałobyśmy... - zaczęła Lucy, ale kuzynka zmroziła ją wzrokiem.

- Ależ... kobiety lubią widoki, a my nie... - mężczyzna uderzył pięścią w stół, niczym rozszoszczone dziecko, i odwrócił się w stronę syna. - George, przekonaj je!

- To oczywiste, że powinny dostać te pokoje. Nic więcej nie da się tu powiedzieć - odparł młodzieniec, odwracając wzrok; w jego głosie brzmiało zakłopotanie.

Lucy również poczuła się zmieszana. Wiedziała, że pensjonariusze śledzą całą scenę z uwagą. Zdawało się, że z każdym zdaniem wypowiedzianym przez tych pozbawionych taktu turystów rozmowa zatacza coraz szersze kręgi, że dotyczy już czegoś więcej niż tylko pokoi i widoków, czegoś zupełnie innego i dotychczas Lucy nie znanego. Starszy mężczyzna przypuścił na pannę Barlett prawdziwy atak. Dlaczego nie mieliby się zamienić? Co właściwie stoi na przeszkodzie? On i syn mogą opuścić pokoje w ciągu pół godziny.

Panna Barlett, choć biegła w sztuce konwersacji, była bezsilna wobec takiej brutalności. Co robić w obliczu podobnego grubiaństwa? Oblana rumieńcem, rozejrzała się dokoła, jakby pytała: „Czy wszyscy jesteście tacy?” Dwie starsze damy, które siedziały przy

końcu stołu, przewiesiwszy szale na oparciach krzesel odwzajemniły spojrzenie, co oznaczało: „My jesteśmy dobrze wychowane”.

- Dokończ jedzenia, moja droga - nakazała kuzynce panna Barlett pochylając się z niechęcią nad własnym talerzem.

Lucy ściszym głosem powiedziała coś na temat dziwacznych manier.

- Jedz, kochanie - przerwała jej panna Barlett. - Ten pensjonat to zły wybór. Jutro znajdziemy jakieś inne miejsce.

Wkrótce jednak zmieniła zdanie. Kotara zasłaniająca wejście do pokoju rozsunęła się, a do środka wszedł tęgi lecz przystojny mężczyzna w stroju duchownego. Przepraszając obecnych za spóźnienie, spieszył w stronę swego miejsca przy stole.

Lucy, po dziecinnemu, nie bacząc na dobre maniery, zerwała się na równe nogi wołając:

- Och, to przecież pan Beebe! Jak cudownie! Charlotta, teraz musimy tu zostać, niezależnie od tego, jakie są pokoje.

- Witam pana, panie Beebe - dodała Charlotta nieco powściągliwiej. - Przypuszczam, że pan nas nie poznaje: panna Barlett i panna Honeychurch. Byłyśmy na Wielkanoc w Tunbridge Wells, kiedy pomagał pan pastelowi w kościele Świętego Piotra.

Pan Beebe, choć nie pamiętał ich tak dokładnie, jak one jego, wydawał się mile zaskoczony spotkaniem i z ochotą zajął miejsce u boku Lucy.

- Ogromnie miło pana widzieć - oświadczyła dziewczyna. Była tak spragniona towarzystwa, że gdyby nie obecność kuzynki, ucieszyłaby się nawet na widok kelnera.

- Świat jest taki mały - mówiła dalej. - Czy to nie zabawne? A już Summer Street...

- Panna Honeychurch mieszka w parafii Summer Street - wtrąciła panna Barlett. - Właśnie dowiedziałam się, że zdecydował się pan...

- Tak, mama powiadomiła mnie o tym w ubiegłym tygodniu - przerwała jej Lucy. - Nie wiedziała, że poznałam pana w Tunbridge Wells. Napisałam jej: „Pan Beebe jest...”

- Zgadza się - rzekł pan Beebe. - Przenoszę się do probostwa Summer Street w czerwcu przyszłego roku. Bardzo się cieszę, że czeka mnie takie czarujące sąsiedztwo.

- Ach, jak to wspaniale! Nasz dom nazywa się Windy Corner. Jest nas tam troje: moja mama, ja i mój brat. Choć jego nie zabieramy zbyt często do... Chciałam powiedzieć, że kościół jest dość daleko i...

- Lucy, kochanie, pozwól panu Beebe'owi zjeść spokojnie.

- Ależ jem, droga pani, jem z przyjemnością - zapewnił pan Beebe.

Wolał rozmawiać z Lucy, której grę na fortepianie pamiętał z Tunbridge Wells, niż z

panną Barlett, która prawdopodobnie pamiętała jego kazania. Zapytał młodszą z kuzynek, czy dobrze zna Florencję. Poinformowała go skwapliwie i szczegółowo, że jest tu po raz pierwszy. Służyć za przewodnika to przyjemne zajęcie, a pan Beebe okazał się mistrzem w tej dziedzinie.

- Proszę nie zapomnieć o wyjeździe za miasto - radził. - W któreś pogodne popołudnie warto pojechać do Fiesole, Settignano czy w jakieś inne podobne miejsce.

- Ależ w żadnym razie! Okrzyk rozległ się z drugiego końca stołu. - Pan się myli, panie Beebe. W pierwsze pogodne popołudnie nasze panie muszą zobaczyć Prato!

- Mamy szczęście - szepnęła panna Barlett do Lucy. - Ta dama wygląda na dobrze poinformowaną.

I rzeczywiście, runęła na nie prawdziwa lawina informacji: co i kiedy warto zobaczyć, jak zatrzymać elektryczne tramwaje, jak strzec się żebraków, ile kosztuje welinowy pergamin i jaki powinien być koszt pensjonatu. Lucy i Charlotta poczuły, że jednogłośnie przyjęto je do grona pensjonariuszy. Twarze gości promieniały życzliwością, a ponad gwarem, który nagle wypełnił jadalnię, górował głos dobrze poinformowanej damy:

- Prato! Muszą zobaczyć Prato! To miasto jest tak szkaradne, że aż piękne. Uwielbiam je! Rozkosznie jest zrzucić z siebie więzy cywilizacji, czyż nie?

Młody człowiek imieniem George zerknął na mówiącą, po czym utkwiał ponure spojrzenie w talerzu. Było oczywiste, że ani on, ani jego ojciec nie cieszyli się poważaniem w pensjonacie. Serce Lucy ścisnęło się z żalu. Nigdy nie zdarzało się jej cieszyć z cudzej krzywdy. Wstając od stołu odwróciła się i złożyła dwu wyrzutkom nerwowy ukłon.

Starszy mężczyzna nie zauważył tego gestu, za to chłopiec uniósł brwi i uśmiechnął się niepewnie. Lucy pośpieszyła za kuzynką, która wyszła już z pokoju. Kotara wisząca w przejściu musnęła dziewczynę po twarzy i Lucy drgnęła, zaskoczona jej ciężarem. Za progiem zderzyła się z signorą, która z dwójką swych pociech przyszła życzyć gościom miłego wieczoru.

Panna Barlett siedziała już w fotelu, który barwą i kształtem przypominał wielkiego pomidora. Rozmawiała z panem Beebe'em, a jej wąska, wydłużona głowa poruszała się powoli tam i z powrotem, jakby uderzając w jakąś niewidoczną przeszkodę.

- Jesteśmy panu bardzo wdzięczne - mówiła. - Pierwszy wieczór znaczy tak wiele. Zanim pan przyszedł, byliśmy w ogromnie mauvais quart d'heure (nieprzyjemny kwadrans, kłopotliwa sytuacja).

Pan Beebe wyraził swoje ubolewanie.

- Czy pan przypadkiem nie zna nazwiska tego starszego mężczyzny, który siedział

naprzeciwko nas podczas obiadu?

- Nazywa się Emerson.
- Czy zna go pan bliżej?
- Tak samo jak resztę gości.
- W takim razie nic już nie powiem.

Pan Beebe nie musiał nakłaniać jej długo, by dodała:

- Moja kuzynka Lucy jest jeszcze bardzo młoda. Służę jej za opiekunkę. Byłoby bardzo niedobrze, gdyby miała dług wdzięczności w stosunku do ludzi, których w ogóle nie znamy. Tym bardziej że ich maniery są, delikatnie mówiąc, dziwaczne. Mam nadzieję, że dobrze się zachowałam.

- Zachowała się pani bardzo naturalnie - zapewnił. Zamilkł na chwilę, po czym rzekł:

- Uważam jednak, że nie stałoby się nic złego, gdybyście się panie zgodziły na tę zamianę.

- Oczywiście, nic złego by się nie stało. Ale byłybyśmy im zobowiązane.

- To dość szczególny człowiek - odparł pan Beebe z wahaniem.

- Sądzę, że nie próbowałyby wykorzystać tej sytuacji - dodał łagodnie. - Nie oczekiwałby też dowodów wdzięczności. Ma on pewną zaletę - jeżeli można to nazwać zaletą - mówienia tego, co myśli, prosto z mostu. Ma pokoje, na których mu nie zależy. Wie, że dla was przedstawiają one wartość, dlatego proponuje zamianę. Zapewniam panią, że składając tę propozycję nie liczył na waszą wdzięczność, tak samo, jak nie myślał o dobrych manierach. Czasem bardzo trudno jest zrozumieć ludzi, którzy mówią prawdę, a przynajmniej dla mnie nie jest to łatwe.

Lucy, która dotąd słuchała w milczeniu, powiedziała z uśmiechem:

- Miałam nadzieję, że okaże się miły. Zawsze staram się wierzyć w ludzi.

- Jest miły i męczący zarazem - odrzekł pan Beebe. - Różnię się od niego niemal pod każdym względem, zapewne tak jak i pani. Większość ludzi reaguje na niego w ten sam sposób - gdziekolwiek się pojawi, odwracają się od niego plecami. Jest pozbawiony taktu i manier, i nigdy nie potrafi zatrzymać swych opinii dla siebie. Doszło do tego, że chcieliśmy się na niego poskarżyć signorze, ale bardzo się cieszę, że zmieniliśmy zdanie.

- Czy mam przez to rozumieć, że jest socjalistą? - zapytała panna Barlett.

Pan Beebe wykrzywił usta.

- I prawdopodobnie swego syna również wychował na socjalistę? - ciągnęła panna Barlett.

- Nie znam George'a zbyt dobrze. Mam wrażenie, że jest jeszcze bardzo niedojrzały.

Ale zdaje się, że to miły młody człowiek i chyba ma dobrze w głowie. Oczywiście, możliwe, że jest socjalistą, jak jego ojciec, skoro odziedziczył po nim wszystkie dziwactwa.

- Uspokoił mnie pan. A zatem powinnam była przyjąć ich propozycję? - zapytała. - Pewnie myśli pan, że jestem ograniczona i podejrzliwa?

- Ależ skąd! Nic podobnego nie przysłoby mi nawet do głowy - zapewnił.

- Może jednak powinnam przeprosić ich za moją arogancję?

Pan Beebe drgnął zniecierpliwiony. Powtórzył, że to zupełnie nie potrzebne, po czym wstał i wyszedł do palarni.

- Znudziłam go? - zapytała panna Barlett, kiedy się oddalił. - Dlaczego nic nie mówiłaś, Lucy? Jestem pewna, że woli młode osoby. Mam nadzieję, że nie zniechęciłam go do reszty? Sądziłam, że dotrzyma ci towarzystwa nie tylko podczas obiadu, ale i wieczorem.

- Jest taki miły - odparła Lucy. - Tak go właśnie zapamiętałam. Dostrzega dobro w każdym człowieku. A przy tym wcale nie wygląda na duchownego.

- Ależ Lucy... - zaczęła Charlotta.

- Rozumiesz, co mam na myśli? - przerwała jej kuzynka. - A poza tym wiesz, jak duchowni się śmieją! Pan Beebe śmieje się jak każdy normalny człowiek.

- Zabawna jesteś! I taka podobna do matki. Ciekawe, co ona powie o panu Beebe.

- Sądzę, że w Windy Corner wszyscy go zaakceptują... To takie modne słowo. Przywykłam do Tunbridge Wells, tam wszyscy jesteśmy tak beznadziejnie zacofani.

- Mhm - mruknęła Lucy z przygnębieniem. Poczwała nagłą niechęć - do samej siebie, do pana Beebe'a, do Tunbridge Wells, do Windy Corner. Próbowwała zanalizować swoje uczucia, ale jak zwykle jej się to nie udało.

- Obawiam się, że nie jestem najweselszą towarzyszką podróży - powiedziała Charlotta.

„Jestem samolubna i niedobra - pomyślała Lucy. Muszę zwracać więcej uwagi na otoczenie. Biedna Charlotta... To okropne nie mieć pieniędzy.”

Na szczęście jedna ze starszych dam, która od jakiegoś czasu obserwowała kuzynki, podeszła do nich i z łagodnym uśmiechem zapytała, czy może się przyłączyć. Usadowiła się w fotelu i spokojnym, uprzejmym tonem rozpoczęła rozmowę. Niełatwo było się zdecydować na przyjazd tutaj, ale niewątpliwie warto - stwierdziła. Zdrowie jej siostry poprawiło się ogromnie, to niewątpliwie zasługa klimatu... W nocy jednak należy koniecznie zamykać okna, a woda do picia nie powinna stać w karafkach dłużej niż przez jedną noc. Mówiła spokojnie, ale ciekawie, i kto wie, czy jej wywody nie były bardziej godne uwagi, niż burzliwa dyskusja na temat Gibelinów i Gwelfów (Gibelinowie i Gwelfowie - dwa

zwalczające się obozy polityczne we Włoszech w okresie od Xii do XV wieku), która odbywała się w drugiej części pokoju. Doprawdy ten wieczór w Wenecji, kiedy znalazła w swej sypialni to coś, co jest gorsze od pchły, choć lepsze od czego innego. Ten wieczór był prawdziwą katastrofą.

- Tutaj jesteście panie bezpieczne jak we własnym domu - zapewniła kuzynki. - Signora Bertolini tak bardzo przypomina Angielkę.

- Być może, ale w naszych pokojach jest jakiś dziwny zapach - wtrąciła Lucy ze zboląłą miną. - Aż strach położyć się do łóżka.

- Prawda! Pokoje pań wychodzą na dziedziniec - westchnęła dama. - Gdyby pan Emerson okazał więcej taktu! Było nam pań tak żal podczas obiadu!

- Sądzę, że pan Emerson miał dobre chęci - rzekła Lucy.

- Bez wątpienia - powiedziała panna Barlett. - Pan Beebe właśnie zbeształ mnie za moją podejrzliwość... Ja miałam na względzie tylko dobro mojej kuzynki.

- To zrozumiałe - powiedziała starsza dama, po czym szepnęła do Charlotty, że nigdy za dużo ostrożności, kiedy w grę wchodzi młoda dziewczyna.

Lucy udała, że nie słyszy, ale poczuła się niezręcznie. W domu nikt nie traktował jej w ten sposób, a przynajmniej tego nie zauważała.

- Stary pan Emerson - ciągnęła dama - no cóż, to osobliwe. Jest nietaktowny, to prawda; ale czy nie zauważyła pani, że niektórzy robią rzeczy ogromnie niedelikatnie, a jednocześnie piękne?

- Piękne? - powtórzyła panna Barlett, zaskoczona tym określeniem. - Czy piękno i subtelność nie idą w parze?

- Tak można by pomyśleć - odparła dama bezradnie. - Ale to wszystko wcale nie jest takie proste, jak by się zdawało.

Przerwała, bo pojawił się pan Beebe.

- Panno Barlett! Z zamianą pokoi nie będzie żadnego problemu - oznajmił, uśmiechając się promiennie. - Tak się cieszę! Pan Emerson poruszył ten temat w palarni i z całą świadomością zachęciłem go, by ponowił propozycję. Pozwolił mi przyjść tu i zapytać panią jeszcze raz o zdanie. Powiedział, że będzie zaszczycony...

- Och, Charlotto! - krzyknęła Lucy. - Musimy się zgodzić. Pan Emerson robi przecież wszystko, żeby...

Panna Barlett milczała.

- Zdaje się, że wzięto mnie za natręta - rzekł pan Beebe po chwili. - Przepraszam, że przerwałem paniom rozmowę - dodał i wyraźnie dotknięty ruszył w stronę drzwi. Panna

Barlett poczekała jeszcze moment, po czym powiedziała:

- Droga Lucy, moje życzenia się nie liczą. Ważne jest twoje zdanie. Byłoby nie do pomyślenia, gdybym zabraniała ci czegokolwiek. Jestem tu przecież tylko dzięki tobie. Jeżeli chcesz, żebym usunęła tych dzentelmenów z ich pokoi, zrobię to. Panie Beebe, czy byłby pan łaskaw przekazać panu Emersonowi, że przyjmuję jego uprzejmą propozycję? Niechże pan Emerson przyjdzie tu do nas. Chcę mu osobiście podziękować.

Mówiąc to podniosła głos tak, że usłyszeli ją wszyscy obecni w salonie. Przerwano dyskusję o Gibelinach i Gwelfach; zapadła cisza. Pan Beebe skłonił się i odszedł, przeklinając w duchu płec niewieścią.

- Pamiętaj, Lucy, ty nie masz z tym nic wspólnego - powiedziała Charlotta. - Obiecujesz?

Pan Beebe pojawił się ponownie.

- Pan Emerson jest zajęty, ale przysłał syna - oznajmił nerwowo spoglądając w dół na siedzące w niskich fotelach damy.

- Mój ojciec - powiedział młodzieniec - jest teraz w wannie, nie możecie więc panie podziękować mu osobiście. Ale przekażę ojcu wszystko, jak tylko wyjdzie.

Panna Barlett poczuła, że jej uprzejmość i dobre maniery tracą swą moc wobec słowa „wanna”. Nie ulegało wątpliwości, że z tego starcia, ku jawnej radości pana Beebe'a i skrywanej radości Lucy, młody pan Emerson wyszedł zwycięsko.

- Biedny chłopiec! - wykrzyknęła panna Barlett kiedy się oddalił. - Jest wściekły na ojca. Wszystko, co może zrobić w tej sytuacji, to przestrzegać dobrych manier.

- Za jakieś pół godziny wasze pokoje będą gotowe - powiedział pan Beebe, uśmiechając się nieznacznie. Spojrzał z zamyśleniem na obie kuzynki i życząc im dobrej nocy odszedł do swego pokoju, by pisać swój filozoficzny dziennik.

- Ach! - westchnęła starsza dama i wzdrygnęła się, jakby do salonu wpadł zimny podmuch wiatru. - Mężczyźni czasem nie zdają sobie sprawy... - przerwała, ale panna Barlett zrozumiała ją doskonale. Przez chwilę prowadziły ożywioną, acz cichą rozmowę, której głównym tematem było to, że mężczyźni czasem nie całkiem...

Lucy, z braku innego zajęcia, podeszła do półki z książkami i sięgnawszy po przewodnik Baedekera, jąła powtarzać najważniejsze fakty z historii Florencji. Miała szczerzy zamiar dobrze się bawić nazajutrz. Po pół godzinie panna Barlett westchnęła i podniosła się z fotela.

- Myślę, że można już zaryzykować. Nie, Lucy, zostań tutaj. Ja się tym wszystkim zajmę - powiedziała.

- Jak ty sobie ze wszystkim dobrze radzisz - rzekła Lucy.

- Naturalnie, moja droga. To mój obowiązek.

- Chciałabym ci jednak pomóc.

- Nie, kochanie, nie trzeba.

Energia Charlotty!? I jej oddanie! Zawsze była taka, lecz doprawdy, podczas tej podróży przechodziła samą siebie.

Tak właśnie myślała Lucy, a przynajmniej usiłowała tak myśleć. A jednak jakiś buntowniczy duch w niej sprawiał, że zastanawiała się, czy nie można było przyjąć propozycji Emersona w nieco bardziej uprzejmy sposób. Po tym wszystkim przestała się prawie cieszyć z zamiany pokoi.

- Chciałabym, żebyś wiedziała, dlaczego wzięłam większy pokój - odezwała się panna Barlett, przerywając jej rozmyślania. - Naturalnie, to ty powinnaś go dostać. Wiem jednak skądinąd, że należy on do tego młodego człowieka i... jestem pewna, że to nie spodobałoby się twojej matce.

Lucy spojrzała na nią zmieszana.

- Jeżeli masz być komuś wdzięczna - ciągnęła Charlotta - to lepiej, żeby był to stary pan Emerson, a nie jego syn. Na swój sposób jestem kobietą bywałą i wiem, do czego mogą doprowadzić takie sytuacje. Pan Beebe jednak gwarantuje nam, że...

- Jestem pewna, że moja matka nie miałaby nic przeciwko temu - powiedziała Lucy czując jednocześnie, że tak naprawdę to nie rozumie sedna całej sprawy. Panna Barlett objęła ją z westchnieniem, życząc dobrej nocy i Lucy poczuła nagle, że rozpaczliwie brak jej powietrza.

Kiedy znalazła się w pokoju, otworzyła szeroko okno, odetchnęła i wychylając się jak najdalej spojrzała na światła tańczące na Arno, na cyprysy San Miniato, na zarysy Apeninów, czarne na tle wschodzącego księżyca, i z wdzięcznością pomyślała o tym dobrym człowieku, który oddał jej swój pokój.

W tym samym czasie panna Barlett starannie spuściła żaluzje i dokładnie zamknęła drzwi swej sypialni. Następnie rozpoczęła szczegółowe oględziny pokoju, szukając ewentualnych skrytek lub tajemnych przejść. Wtedy właśnie znalazła przypięty nad umywalką kawałek papieru, na którym ktoś nagryzmołił w pośpiechu ogromny znak zapytania. Nic więcej.

„Co to może znaczyć?” - pomyślała i sięgnęła po świecę, by przyjrzeć się dokładniej. Kartka, z początku pozbawiona znaczenia, wydała się jej złowieszczą, emanująca złem. W pierwszej chwili chciała zniszczyć to dziwne przesłanie. Na szczęście jednak przypomniała

sobie, że musi ona należeć do młodego pana Emersona. Odpięła ją ostrożnie i włożyła pomiędzy dwa kawałki bibuły, żeby się nie zabrudziła. Obeszła ponownie pokój, westchnęła jak zwykle ciężko i położyła się do łóżka.

ROZDZIAŁ II: W SANTA CROCE BEZ PRZEWODNIKA

Cudownie było obudzić się we Florencji! Otworzyć oczy i ujrzeć jasny, przestronny pokój z podłogą z czerwonej terakoty, która zawsze wygląda czysto, choć nigdy taka nie jest, i sufitem malowanym w różowe gryfy i błękitne amorki, igrające wśród żółtych skrzypiec i fagotów. Przyjemnie było otworzyć szeroko okno, przycinając sobie palec nieznaną klamką, wychylić się daleko, wystawiając głowę i ramiona na słońce, i ogarnąć wzrokiem precudne wzgórze i drzewa, marmurowe kościoły i Arno, szemrzącą wesoło w dole.

Na piaszczystym brzegu uwijali się mężczyźni, uzbrojeni w szpadle i rzeszota. Środkiem rzeki płynęła łódź, zmierzająca pilnie do jakiegoś tajemniczego celu. Tramwaj elektryczny przejechał z hałasem pod oknem pensjonatu. Wewnątrz, poza jednym turystą, nie było nikogo, za to platformy wypełniali Włosi, którzy najwyraźniej woleli stać. Gromadka dzieci próbowała uwiesić się z tyłu pojazdu; konduktor, bynajmniej nie rozzłoszczony, odganiał je lekkimi uderzeniami. Po chwili na ulicy pojawił się oddział żołnierzy. Przystojni, drobni mężczyźni w zbyt obszernych płaszczach dźwigali tornistry obszyte czymś, co już dawno przestało przypominać futro. Obok kroczyli oficerowie, o groźnych, acz nie zdradzających inteligencji twarzach, z przodu zaś biegli rozbrykani chłopcy, zachwyceni tym niecodziennym widokiem. Tramwaj, otoczony tą gromadą, poruszał się z trudem, niczym gąsienica atakowana przez mrówki. Jeden z chłopców potknął się i upadł jak długi, a w tej samej chwili z którejś bramy wyszło na ulicę kilka białych wołów. Tramwaj zatrzymał się i gdyby nie dobre rady staruszka sprzedającego haczyki do zapinania guzików, pewnie nigdy nie ruszyłby z miejsca.

Obserwując takie błahostki można stracić wiele cennych godzin. dlatego też podróżnik, który przyjeżdża do Włoch, by podziwiać geniusz Giotta lub przekonać się o upadku papieżstwa, często pamięta jedynie błękitne niebo i ludzi, którzy pod nim mieszkają. Z Lucy stałoby się pewnie podobnie, gdyby nie panna Barlett, która wkroczyła do pokoju. Powiedziała coś o otwartych drzwiach i wychylaniu się półnago z okna, po czym oznajmiła, że jeżeli się nie pośpieszą, najlepsza część dnia minie. Zanim Lucy zeszła na dół, Charlotta uporała się ze śniadaniem i siedziała przy pełnym okruszyn stole, gawędząc z poznaną ubiegłego wieczora damą.

Rozmowa toczyła się wartko, wkrótce jednak okazało się, że panna Barlett jest mimo wszystko odrobinę zmęczona i wolałaby nie wychodzić nigdzie tego ranka, chyba że Lucy bardzo na tym zależy. Lucy zależało na tym, gdyż był to w końcu jej pierwszy dzień we

Florencji. Mogłaby jednak wyjść sama. Do tego z kolei panna Barlett nie mogła dopuścić. W tej sytuacji pójdzie razem z Lucy. Nie, nie, w żadnym razie. Skoro tak, Lucy również zostanie w domu. Ależ to zupełnie wykluczone!

W tym momencie do rozmowy wtrąciła się starsza dama.

- Proszę się nie obawiać. Anglikom nic tutaj nie grozi. Moja droga przyjaciółka, contessa Baroncelli, ma dwie córki. Kiedy opiekunka nie może odprowadzić ich do szkoły, idą same. Zakładają wówczas słomiane kapelusze z płaskim rondem i starannie upinają włosy z tyłu głowy. Wszyscy biorą je za Angielki i jak dotąd nic im się jeszcze nie przytrafiło.

Panna Barlett nie dała się przekonać. Pójdzie razem z Lucy, zresztą ten ból głowy zaczyna już mijać. W tym momencie starsza dama oznajmiła, że zamierza spędzić rano w Santa Croce i będzie zachwycona, jeżeli Lucy dotrzyma jej towarzystwa.

- Kto wie, może spotka nas jakaś przygoda w drodze powrotnej, panno Honeychurch?

Lucy przystała na propozycję z wdzięcznością i natychmiast otworzyła przewodnik, by zobaczyć, gdzie mieści się Santa Croce. Starsza dama spojrzała na nią z udaną dezaprobatą.

- Panno Lucy, sędzę, że niedługo przestanie pani ufać bedekerowi. Jest taki powierzchowny. Prawdziwe Włochy... te można poznać tylko dzięki wytrwałej obserwacji.

Brzmiało to obiecująco. Lucy uporała się szybko ze śniadaniem i pełna entuzjazmu ruszyła za nową znajomą. Florencja czekała i w obliczu tego faktu signora, pensjonat i jego mieszkańcy znikli jak nocna mara.

Panna Lavish - bo tak nazywała się przewodniczka Lucy - skręciła w zalaną słońcem Lungarno. Jak cudownie ciepło! Ale ten wiatr, który zrywa się od czasu do czasu, jest całkiem przenikliwy, czyż nie? Ponte alle Grazie, godzien uwagi, wspomniany przez Dantego; San Miniato, doprawdy przepiękny. Weszły w jakąś bramę. Panna Lavish zatrzymała się i łapiąc Lucy za ramię zawołała:

- Zapach! Prawdziwy zapach Florencji! Każde miasto, moja droga, ma swój własny zapach.

- Uważa pani, że to ładny zapach? - zapytała ostrożnie Lucy, która odziedziczyła po matce niechęć do brudu.

- Do Włoch nie przyjeżdża się, by szukać piękna. Do Włoch przyjeżdża się szukać prawdziwego życia. Buon giorno! Buon giorno! (Dzień dobry!) wykrzyknęła machając ręką. - Spójrz na ten wóz z beczkami wina! Widzisz, jak patrzy na nas woźnica? Prawdziwa, prosta dusza, nie ma nic cenniejszego. Buon giorno! Posłuchaj starej kobiety, Lucy: nigdy nie zawadzi okazać grzeczności ludziom niższego stanu. To właśnie jest demokracja. Muszę

przyznać, że jednocześnie prawdziwie popieram radykałów. Masz ci los, czy powiedziałam coś szokującego?

- Ależ nie, nie! - zawołała Lucy. - My również jesteśmy radykałami, jak najbardziej! Mój ojciec głosował na pana Gladstone, dopóki ten nie postąpił tak w sprawie Irlandii.

- Rozumiem. A teraz przestaliście ich popierać?

- Ależ... gdyby mój ojciec żył, jestem pewna, że znowu głosowałby na radykałów, teraz kiedy sprawa Irlandii jest już rozwiązana. Podczas ostatnich wyborów stłuczono nam szybę we frontowych drzwiach. Freddy jest pewien, że to torysi, choć mama mówi, że to niemożliwe.

- Okropność! W którym miejscu zamieszkacie?

- Jakies pięć mil od Dorking, patrząc od strony Weald.

Panna Lavish zwolniła kroku, wyraźnie zainteresowana.

- To cudowne miejsce, znam je bardzo dobrze. Pełno tam przemyłych ludzi. Czy znasz sir Harr'ego Otwaya? To radykał co się zowie.

- Owszem, znam go doskonale.

- A starą panią Butterworth, filantropkę?

- Zaraz, zaraz... Tak, wydzierżawiła od nas kawałek ziemi! Czyż to nie zabawne?

- Ach, więc macie w Surrey posiadłość? - mruknęła panna Lavish, wznosząc oczy w górę, gdzie między domami widniał wąski pasek nieba.

- Właściwie nie - odparła Lucy pospiesznie nie chcąc uchodzić za snobkę. - Tylko trzydzieści akrów - ogród i kawałek ziemi, nic więcej.

Starsza dama przyjęła to spokojnie i powiedziała, że jej ciotka w Suffolk ma posiadłość tej samej wielkości. Florencja zeszła na drugi plan. Próbowały przypomnieć sobie nazwisko niejakiej lady Louisy, która zamieszkała w ubiegłym roku w pobliżu Summer Street. Wyprowadziła się wkrótce potem, twierdząc, że nie podoba jej się okolica. Doprawdy trudno pojąć. Nareszcie panna Lavish przypomniała sobie nazwisko. W sekundę później zatrzymała się gwałtownie, wołając:

- Niech nas Bóg ma w swojej opiece! Zgubiłyśmy drogę.

Istotnie, zdawało się, że od Santa Croce, którego wieżę było widać z okien pensjonatu, dzieli je jeszcze spora odległość. Kiedy wychodziły, panna Lavish dała do zrozumienia, że doskonale zna Florencję, toteż Lucy nie zwracała uwagi na to, którądy idą.

- Zabłądziłyśmy! Droga Lucy, musiałyśmy skręcić w złą ulicę. Wyśmieją nas, kiedy wrócimy. Co robisz? Dwie samotne kobiety w obcym mieście... Oto, co nazywam przygodą!

Lucy pragnąc zobaczyć Santa Croce zasugerowała, żeby zapytać o drogę.

- Ależ to tchórzostwo! Nie, nie! I nie zaglądam do bedekera! Oddaj mi go! Pójdziemy, gdzie nas oczy poniosą.

Ruszyły przed siebie, mijając niezliczone, brązowo - szare ulice, wąskie i brzydkie, jakich wiele we wschodniej części miasta. Lucy czuła, że jej nastrój pogarsza się z każdym krokiem. W gruncie rzeczy Florencja nie była tak piękna, jak mówiono.

Przez jedną tylko krótką, cudowną chwilę gotowa była zmienić zdanie. Kiedy dotarły na plac Annunziata, ich oczom ukazały się wyrzeźbione w terakocie cudowne dziecięce postaci. Stały tam, wznosząc do nieba silne, białe ramiona; Lucy nigdy nie widziała czegoś równie pięknego. Panna Lavish ponaglała ją jednak mówiąc, że do przejścia pozostało jeszcze około mili.

Zrobiło się późno i obie damy postanowiły coś przekąsić. W małym, napotkanym po drodze sklepiku kupiły gorącą pastę z kasztanów. Miała smak papieru, w który ją zawinięto, olejku do włosów i wielkiej niewiadomej. Nasyciły się jednak na tyle, by dojść do kolejnego placu. Był ogromny i zakurzony, a na jego przeciwległym końcu wznosiła się czarno - biała, zdumiewająco brzydka fasada. Dotarły do Santa Croce.

- Poczekaj chwilę, niechże ci ludzie stąd pójdą - szepnęła panna Lavish do Lucy, wskazując na dwóch mężczyzn stojących bezradnie pośrodku placu. - Nie chciałabym z nimi rozmawiać. Tak nie znoszę konwencjonalnych kontaktów... Idą do kościoła! Ach, tak właśnie wygląda Brytyjczyk w roli turysty!

- Wczoraj wieczorem siedzieli naprzeciwko nas przy obiedzie - odrzekła Lucy. - To ogromnie miło z ich strony, że odstąpili nam swe pokoje.

- Spójrz tylko na nich! - zaśmiała się panna Lavish. - Chodzą sobie po Florencji niczym para baranów. Gdybym to ja wpuszczała turystów do tego kraju, poddałabym ich surowemu egzaminowi jeszcze w Dover.

- Och, a jakie zadałaby pani pytania? - zapytała Lucy niespokojnie.

Starsza dama kładąc rękę na ramieniu dziewczyny zapewniła ją, że zasługuje na najwyższą ocenę. Tak rozmawiając zbliżyły się do kościoła i już miały wejść do środka, gdy panna Lavish zatrzymała się gwałtownie, pisnęła i zamachała rękoma.

- To mój włoski przyjaciel! - wykrzyknęła, wskazując jakiegoś mężczyznę. - Muszę zamienić z nim parę słów.

Minęło dziesięć minut i Lucy zaczęła się niecierpliwić. Zaczepiali ją żebracy, a ciepły wiatr wznosił tumany drażniącego pyłu. Przypomniała sobie, że młoda dziewczyna nie powinna błąkać się sama w publicznych miejscach. Zawróciła wolno w stronę placu, chcąc dołączyć do swej oryginalnej przewodniczki, jednak w tej samej chwili panna Lavish i jej

znajomy znikli w bocznej uliczce, gestykulując zawzięcie.

Oczy Lucy wypełniły się łzami oburzenia. Panna Lavish porzuciła ją tak niespodziewanie, a w dodatku zabrała przewodnik. Jak znaleźć drogę do domu? Jak bez przewodnika oglądać Santa Croce? Jej pierwszy poranek był stracony, a kto wie, czy jeszcze kiedykolwiek odwiedzi Florencję? Jeszcze przed chwilą wszystko wydawało się takie proste i przyjemne. Rozmawiała z panną Lavish, utwierdzając się w przekonaniu o własnej błyskotliwości. Teraz zła i upokorzona weszła do kościoła, na próżno usiłując sobie przypomnieć, czy zbudowali go franciszkanie czy dominikanie.

„Zapewne, to piękny budynek - pomyślała. - Ale jaki zimny i wielki!” Oczywiście, były tam freski Giotto i Lucy gotowa była obejrzeć je z właściwym szacunkiem. Ale skąd miała wiedzieć, które to? Rozglądała się wokół z lekceważeniem, nie chcąc podziwiać dzieł nieznanego pochodzenia. Nie było nikogo, kto powiedziałby jej, który z licznych kamiennych grobowców był tym najpiękniejszym, wymienianym w przewodniku przez pana Ruskina?

Niespodziewanie jednak jej nastrój uległ zmianie. Spojrzała na tabliczki umieszczone przy wejściu. Pierwsza z nich zabraniała wprowadzać psy. Druga zawierała uprzejmą prośbę, by przez szacunek dla świętego miejsca powstrzymać się przed pluciem na posadzkę. Lucy zerknęła na zwiedzających. Ich nosy czerwienią dorównywały okładkom bedekerów - tak zimno było w kościele. Troje dzieci weszło do środka i skropiwszy się obficie święconą wodą ruszyło w stronę grobowca Machiavellego. Tam, w nabożnym skupieniu, zaczęły dotykać kamiennej płyty palcami, chusteczkami do nosa, czołami, powtarzając wielokrotnie tę czynność i najwyraźniej biorąc Maciavellego za któregoś ze świętych. Nagle jedno z dzieci potknęło się - Lucy skoczyła mu na ratunek, ale dobiegła za późno. Chłopczyk upadł, uderzając się o kamienną stopę biskupa. Pan Emerson, będący świadkiem całej sceny, zbliżył się do Lucy szybkim krokiem.

- Przeklęty biskup! - wykrzyknął. - Tak samo twardy za życia, jak po śmierci! Wyjdź na słońce, dziecino, tam gdzie twoje miejsce. Okropny biskup!

Chłopczyk zapłakał głośno, przestraszony obecnością tych dziwnych ludzi, którzy pomogli mu wstać, otrzepali, a teraz mówią coś do niego w dziwnym języku.

- Proszę spojrzeć - rzekł pan Emerson do Lucy. - Potłuczony, przestraszony chłopczyzna! Ale czegoż innego można spodziewać się od kościoła?

Lucy usiłowała podnieść chłopczyka, ale jego nóżki uginały się, jakby były z wosku. Osuwał się na podłogę krzycząc przeraźliwie. Na szczęście jakaś włoska dama, która klęczała nie opodal, na pozór pogrążona w modlitwie, przyszła im z pomocą. Z cudowną łatwością, właściwą tylko matkom, postawiła chłopczyka na nogi. Odszedł pośpiesznie, mamrocząc coś

do siebie.

- Mądra z pani kobieta. Dokonała pani więcej niż ci wszyscy, zgromadzeni tutaj - powiedział pan Emerson, wskazując na otaczające ich sarkofagi. - Nie należę do pani wyznania, ale najbardziej wierzę w tych, którzy pomagają bliźniemu.

- Niente (Nie ma o czym mówić, to nic wielkiego) - odparła dama i powróciła do swych modlitw.

- Nie jestem pewna, czy ona zna angielski - rzekła Lucy.

Teraz, kiedy jej nastrój poprawił się, nie odczuwała pogardy dla Emersonów. Postanowiła być uprzejma i w miarę możliwości zatrzeć wrażenie, jakie ubiegłego wieczoru musiała na nich wyrzeć Charlotta.

- Jestem pewien, że ta kobieta zrozumiała - odparł pan Emerson. - Ale co pani tu robi? Czy obejrzała już pani kościół?

- Nie! - wykrzyknęła Lucy z żalem. - Przyszłam tutaj z panną Lavish, która miała mnie oprowadzić, ale - o zgrozo - tuż przed drzwiami po prostu uciekła i zostawiła mnie samą! Czekałam i czekałam, i w końcu zmuszona byłam wejść do środka sama.

- Ale dlaczego miałyby pani nie wejść? - zapytał pan Emerson.

- No właśnie, dlaczego miałyby pani nie wejść sama? - powtórzył George za ojcem, po raz pierwszy zwracając się bezpośrednio do Lucy.

- Ale panna Lavish zabrała mój przewodnik!

- Przewodnik? - powiedział pan Emerson. - Cieszę się, że to tym się pani martwi. To rzeczywiście powód do zmartwienia.

Lucy spojrzała na niego zaintrygowana.

- Skoro nie ma pani przewodnika - powiedział George - powinna pani pójść z nami.

- Dziękuję bardzo - odrzekła ostrożnie. - Proszę nie myśleć, że chciałam do panów dołączyć. Chciałam tylko pomóc temu chłopcykowi i jeszcze raz podziękować panom za odstąpienie pokoi. Mam nadzieję, że nie naraziłyśmy panów na wielką niewygodę.

- Moja droga - powiedział pan Emerson łagodnie. - Zdaje mi się, że powtarza pani słowa zasłyszane od starszych. Niechże pani nie udaje takiej delikatnej. To nieznośne. Lepiej niech pani powie, którą część kościoła chce pani zobaczyć. Oprowadzimy panią z prawdziwą przyjemnością.

To było niesłychanie impertynenckie i Lucy wiedziała, że powinna być wściekła. Czasem jednak stracić humor jest równie trudno, jak kiedy indziej go odzyskać. Pan Emerson był starym człowiekiem i zapewne śmieszyły go młode panny. Z drugiej strony jego syn był młodym mężczyzną i na niego po prostu powinna być obrażona. Na niego też spojrzała,

zanim udzieliła odpowiedzi.

- Nie jestem niezdolna, jak sądzę. Chętnie zobaczyłabym Giotta, jeżeli tylko powiecie mi, gdzie jest.

Młody człowiek skinął głową i z ponurą satysfakcją ruszył do kaplicy Peruzzich. Miał w sobie coś z nauczyciela i Lucy poczuła się jak dziecko, które poprawnie odpowiedziało na zadane pytanie.

Kaplicę wypełniał już nabożny tłumek, słuchający z powagą informacji o tym, jakie wartości duchowe reprezentuje sztuka Giotta.

- Ileż średniowiecznej pasji - grzmiał mówca - widać w tej świątyni, zbudowanej na długo, zanim świat usłyszał o renesansie. Ileż jest majestatu w tych pozbawionych perspektywy i proporcji freskach, teraz niestety częściowo niewidocznych ze względu na renowację. Czyż może istnieć coś piękniejszego i bardziej prawdziwego? Jak mało znaczy wiedza i technika malarska w obliczu prawdziwej wiary!

- Nie! - zawołał pan Emerson stanowczo zbyt głośno. - To nie prawda! Wiara, rzeczywiście! Co prawdziwego jest w tych freskach? Spójrzcie na tego grubasa w niebieskim stroju - powiedział, wskazując na „Wniebowstąpienie świętego Jana”. - Musi ważyć tyle co ja, a unosi się do nieba niczym balon.

Zgromadzeni w kaplicy ludzie poruszyli się niespokojnie. Lucy drgnęła również. Wiedziała, że nie powinna z nimi przebywać, zdawało się jednak, że Emersonowie rzucili na nią urok. W ich towarzystwie zapominała o dobrych manierach.

- Czy sądzicie, że to w ogóle naprawdę się wydarzyło? - dodał pan Emerson.

- Jeżeli się wydarzyło, to myślę, że właśnie w ten sposób. Ja również wolałbym pójść do nieba o własnych siłach, a nie niesiony przez cherubinów - odparł George. - Chciałbym też, żeby moi przyjaciele patrzyli na mnie z nieba, kiedy będę się tam dostawał - tak jak to widać tutaj.

- Ty nigdy nie pójdziesz do nieba - rzekł stary pan Emerson. - Ty i ja, drogi chłopcze, spoczniemy w pokoju w ziemi, która nas zrodziła, nasze imiona pójdą w zapomnienie, lecz nasze dzieło ostanie się.

- Niektórzy widzą tylko pusty grób, nie są w stanie dostrzec świętego, który wznosi się do góry. Jeżeli to się wydarzyło, to w taki właśnie sposób - powtórzył George.

- Przepraszam - powiedział ktoś lodowatym głosem. - Zdaje się, że za mało tu miejsca dla nas wszystkich. Nie będziemy wam więcej przeszkadzać.

Mężczyzna okazał się duchownym; słuchający go ludzie musieli być pod jego opieką, ponieważ oprócz przewodników trzymali także modlitewniki. W milczeniu opuścili kaplicę.

Wśród posłusznej gromadki Lucy dostrzegła dwie starsze damy z pensjonatu „Bertolini” - panny Teresę i Katarzynę Alan. Ruszyli bez słowa ku wyjściu.

- Stójcie! - krzyknął pan Emerson. - Wystarczy miejsca dla wszystkich! Zatrzymajcie się!

Jego słowa pozostały bez echa. Wkrótce z sąsiedniej kaplicy rozległ się ponownie głos duchownego, opisującego tym razem życie świętego Franciszka.

- George, zdaje mi się, że ten duchowny jest wikarym w Brixton.

- Możliwe. Nie przypominam go sobie - odparł George, przechodząc do następnej kaplicy.

- Powinienem porozmawiać z nim i przypomnieć, kim jestem. Tak, to pan Eager. Dlaczego wyszedł? Czy mówiliśmy za głośno? To niesłychane! Powinienem pójść tam i przeprosić. Nie sądzisz? Może wtedy wróci?

- On nie wróci, ojczu.

Ale pan Emerson, skruszony i nieszczęśliwy, pospieszył przeprosić wielbnego Eagera. Po chwili Lucy i George usłyszeli dwa pełne pasji głosy. Lucy usłyszała, jak duchowny ponownie przerywa. Po chwili dotarł do nich podniesiony, agresywny głos starszego pana i krótkie, szorstkie odpowiedzi wielbnego Eagera. George, który każde drobne niepowodzenie gotów był uważać za tragedię, słuchał uważnie.

- Mój ojciec ma taki wpływ na wszystkich - odezwał się George. - On po prostu stara się być dobry.

- Myślę, że wszyscy się staramy - odrzekła Lucy, uśmiechając się nerwowo.

- Uważamy, że to nas udoskonala. Ale on jest dobry dla ludzi, bo ich kocha. A oni najczęściej boją się go albo się na niego gniewają.

- Jak to niemądrze z ich strony! - powiedziała Lucy, choć w głębi serca dobrze ich rozumiała. - Sądzę, że kiedy z dobrą wolą idzie w parze takt...

- Takt! - wykrzyknął George, pogardliwie unosząc głowę.

Najwyraźniej powiedziała coś niewłaściwego. Patrzyła, jak przemierza kaplicę. Jego twarz była zbyt poważna przy tak młodym wieku i póki nie padło na nią światło - surowa. Kiedy wyszedł z cienia, jego twarz okazała się łagodna. Lucy przypomniała się postać, którą widziała na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej w Rzymie. Był to mężczyzna niosący kosz żołądź. Zdrowy i muskularny, miał w sobie jednak piękno tragedii, której jedyne rozwiązanie kryje się w mroku.

Te rozmyślania nie trwały długo - Lucy nie zwykła była doświadczać przeżyć tak subtelnych. Nadejście pana Emersona pozwoliło jej powrócić do jedyne znanego jej świata

- świata szybkiej mowy.

- Zbesztano cię? - zapytał George cicho.

- Zrobiliśmy przykrość tylu ludziom. Nie wrócą tutaj.

- „... dostrzegać dobro w bliźnich... wewnętrzne piękno... wizja braterstwa człowieka...” - dobiegło z sąsiedniej kaplicy.

- Przynajmniej panią zajmujemy się należycie - ciągnął pan Emerson. - Czy przyjrzała się już pani freskom?

- Tak - odrzekła Lucy. - Są cudowne. Czy nie wie pan” który z grobowców jest tym, o którym pisze Ruskin?

Pan Emerson nie wiedział, zaproponował jednak, że mogą spróbować go odnaleźć. George, ku zadowoleniu Lucy, nie zechciał dotrzymać im towarzystwa, odeszła więc ze starszym panem. Santa Croce, choć przypominał stodołę, zgromadził w swych murach wiele pięknych rzeczy.

Kościół roił się od żebraków i przewodników, którzy nachalnie oferowali swe usługi. Natknęli się też na staruszkę z psem. Odbywała się msza - ksiądz wyglądał na onieśmiałego liczbą turystów. Pan Emerson rozglądał się wokół nieobecny wzrokiem. Potem niecierpliwie spojrzał na swego syna.

- Dlaczego on się wpatruje w te freski? - powiedział. - Ja nie widzę w nich nic godnego uwagi.

- A ja lubię Giotta - odparła Lucy. - Jest taki ponadczasowy. Chociaż bardziej odpowiadają mi dzieci Della Robii.

- Słusznie, panno Honeychurch, słusznie. Jedno dziecko warte jest więcej od tuzina świętych. A moje dziecko warte jest tyle, co cały raj, z tego zaś co widzę, żyje w piekle.

Lucy milczała.

- W piekle, powiadam. Jestem nieszczęśliwy - powtórzył.

- Och - powiedziała Lucy.

- Jak taki zdrowy i silny chłopiec może być nieszczęśliwy? Czego może mu brakować? Proszę przy tym pomyśleć, jak go wychowałem! Jest wolny od ignorancji, od wszelkich przesądów, które sprawiają, że ludzie walczą ze sobą w imię wiary. Powinien być szczęśliwy otrzymawszy taką edukację.

Lucy nie znała się na teologii, ale czuła, że pan Emerson to stary, niemądry i niewierzący człowiek, którego nie powinna słuchać. Co powiedziałaby jej matka, zobaczywszy ją w takim towarzystwie? Co powiedziałaby Charlotta?

- Co z nim począć? Przyjeżdża do Włoch i zamiast się cieszyć, zachowuje się jak

dziecko, które stłukło sobie kolano... Co pani powiedziała?

Lucy nie odzywała się wcale.

- Niechże pani nie będzie głupiutka! - zawołał nagle. - Przecież nie wymagam, żeby się pani zakochała w moim chłopcu. Myślę natomiast, że mogłaby pani spróbować go zrozumieć. Jesteście w tym samym wieku. Przypuszczam, że potrafi być pani mądra. Mogłaby mi pani pomóc. George zna tak niewiele kobiet. Pani zostaje tu na kilka tygodni, jak sądzę? Niechże pani będzie sobą. Proszę się nie poddawać wpływom otoczenia. Proszę pozwolić, żeby na światło dzienne wydobyły się te myśli, z których istnienia nie zdaje sobie pani sprawy. Proszę spróbować zrozumieć George'a. To może być dobre dla was obojga. Wiem, że dzieje się z nim coś złego, nie wiem jednak dlaczego - zakończył.

Lucy milczała, zaskoczona tą przemową.

- A co takiego dzieje się z George'em? - zapytała w końcu nieśmiało.

- Och... po prostu wszystko idzie nie tak.

- Wszystko?

- Wszystko w świecie. Proszę mi wierzyć - powiedział z powagą.

- Panie Emerson, co pan chce przez to powiedzieć?

- Z daleka, z ciemności i ze światła.

I nieba wietrzystego.

Duch życia wionął na mnie - otom jest. (Alfred Edward Housman, „A Shropshire Lad”) - odrzekł pan Emerson w odpowiedzi, a mówił głosem tak zwyczajnym, że Lucy z początku nie zorientowała się, że cytuje poezję. - Ja i George wiemy o tym, po co się jednak martwić? Kiedyś wszyscy powrócimy tam, skąd przyszliśmy. Życie jest jak drobna fala na bezmiernym, gładkim oceanie. Jednak czy z tego powodu powinniśmy być nieszczęśliwi? Kochajmy się, pracujmy, weselmy! Nie wierzę w smutek świata.

Lucy skinęła potakująco.

- Proszę zatem sprawić, żeby mój chłopiec czuł tak samo. Niech zrozumie, że w świecie, oprócz wiecznego „Dlaczego?” , istnieje również „Tak”, nawet jeśli uznać je za przemijające.

Niespodziewanie Lucy wybuchnęła śmiechem. Cóż innego można zrobić w podobnej sytuacji? Młody człowiek cierpiący na melancholię, bo wszystko w świecie jest nie tak, jak być powinno, bo życie jest falą, słowem „Tak”, czy Bóg wie czym jeszcze!

- Przepraszam! - zawołała. - Pan pomyśli, że jestem bez serca, ale...ale - przerwała, po czym dodała już spokojniej. - Pana syn potrzebuje zajęcia. Czy nie ma niczego, co by go zajmowało? I ja mam zmartwienia, ale zapominam o nich, kiedy siadam przy fortepianie. Mój

brat zbiera znaczki. Może pański syn nudzi się tutaj? Proszę zabrać go w Alpy albo nad jeziora.

Twarz starszego pana posmutniała; dotknął delikatnie jej ramienia. „Dałam mu dobrą radę” - pomyślała Lucy, biorąc ten gest za wyraz wdzięczności. Pan Emerson to poczciwy, ale niemądry człowiek - zdecydowała. Czowała, że wraca jej dobry humor.

George, który zbliżał się ku nim lawirując między grobowcami, wyglądał żałośnie i śmiesznie zarazem.

- Panna Barlett - oznajmił ponuro.

- Gdzie, na Boga? - zawołała Lucy, czując, że świat wcale nie jest taki piękny, jak jej się przed chwilą zdawało.

- W nawie.

- No tak. Ta stara plotkarka, panna Alan, musiała... - zaczęła i urwała, przywołując się do porządku.

- Biedna dziewczyna! - wykrzyknął pan Emerson. - Biedna dziewczyna.

Tego określenia nie mogła pominąć milczeniem, bo zbyt dokładnie wyrażało stan jej uczuć.

- Biedna? - powtórzyła Lucy. - Nie rozumiem tej uwagi. Jestem bardzo szczęśliwa, i bawię się świetnie, zapewniam pana. Proszę nie tracić czasu i nie martwić się o mnie. Świat jest wystarczająco smutny i bez tego, czyż nie? Żegnam. Dziękuję obu panom za ich dobroć. Oto i moja kuzynka. Cóż za cudny poranek! Santa Croce to przepiękny kościół! - zawołała z przekonaniem i ruszyła na spotkanie panny Barlett.

ROZDZIAŁ III: MUZYKA, FIOŁKI I LITERATURA „Ż”

Codziennosc była dla Lucy chaosem, w którym nie zawsze odnajdywała właściwe miejsce. O ile łatwiej było usiąść przy fortepianie! Nie ulegać nikomu i z nikim nie walczyć. Królestwo muzyki rządzi się własnymi prawami. Przyjmuje tych, których świat odrzuca. Zwykły śmiertelnik wkracza doń bez trudu, kiedy tylko zacznie grać. My zaś patrzymy zdumieni, zastanawiając się, jak zdołał nam umknąć, gotowi czcić go i wielbić, jeśli tylko uchyli rąbka tajemnicy i przetłumaczy swe doznania na zrozumiały dla nas język. A jeśli nie może tego zrobić? Lucy nie robiła tego nigdy.

Nie była wybitną pianistką. Grała akurat tak dobrze, jak przystało na jej wiek i pozycję. Nie należała do tych egzaltowanych młodych dam, których gra jest zawsze podniosłym spektaklem. Jej wykonaniom nie brakowało pasji, lecz było w nich coś, co nie dawało się łatwo zdefiniować. Jej gra wyrażała miłość, zazdrość, nienawiść. Nade wszystko jednak było w niej Zwycięstwo... Zwycięstwo czego i nad czym, nie sposób powiedzieć słowami. Niektóre sonaty Beethovena pełne są tragizmu, mogą jednak wyrażać triumf i to zależy od grającego. Lucy wybrała triumf.

Któregoś deszczowego popołudnia otworzyła małe pianino, stojące w pensjonacie. Kilka osób zebrało się wokół, chwalać jej grę. Przekonawszy się, że Lucy nie reaguje na komplementy, słuchacze rozeszli się do swoich pokoi, by pisać dzienniki lub spać. Nie zwróciła uwagi na pana Emersona, który szukał syna, na pannę Barlett szukającą panny Lavish ani na pannę Lavish szukającą swej papierośnicy. Zdawało się, że - jak każdego prawdziwego artystę - odurza ją dotyk klawiatury, jakby czyjeś palce pieściły jej dłonie, jakby w muzyce, niespodziewanie, dotyk stał się ważniejszy od dźwięku.

Pan Beebe, siedząc nie zauważony w oknie, zastanawiał się nad tym dziwnym zjawiskiem, jakim była gra Lucy. Uderzyło go to już w Tunbridge Wells. Spotkał Lucy podczas jednego z tych wieczorów, kiedy to wyższa klasa zabawia niższą. Panie i panowie, pod wodzą pastora, śpiewali i recytowali, publiczność słuchała z powagą. Jeden z punktów programu głosił: „Panna Honeychurch. Fortepian. Beethoven”. Pan Beebe zastanawiał się właśnie, czy będą to „Ruiny Aten” czy „Adelaide” i drgnął, usłyszawszy pierwsze takty Opus Iii. Trwał w niepewności przez cały wstęp - bo zanim tempo nie stanie się szybsze, nie wiadomo, co zamierza artysta - by wkrótce zrozumieć, że nie będzie to zwykła interpretacja. Finał... finał głosił zwycięstwo. Cieszył się, że zagrała tylko pierwszą część utworu, bo nie byłby w stanie skupić uwagi na zawiłościach tempa dziewięć szesnastych.

- Kto to taki? - zapytał pan Beebe pastora, kiedy umilkły oklaski.

- Kuzynka jednej z moich parafianek. Wydaje mi się, że jej interpretacja nie była najszcześniejsza. Beethoven jest taki prosty i bezpośredni... Grać go w ten sposób, to graniczy z perwersją.

- Proszę mnie przedstawić.

- Będzie zachwycona. Ona i panna Barleet są pod wrażeniem pana kazania.

- Mojego kazania? - zawołał. - Dlaczego w ogóle go słuchała?

Zrozumiał, kiedy go przedstawiono. Panna Honeychurch, oddzielona od fortepianu, okazała się zwykłą młodą osóbką, z mnóstwem ciemnych włosów i bladą, dziecinną jeszcze twarzą. Uwielbiała chodzić na koncerty i mieszkać tu, u kuzynki, uwielbiała też mrożoną kawę i bezy. Nie wątpił, że i kazanie jej się podobało.

- Jeśli panna Honeychurch zacznie kiedykolwiek żyć tak jak gra, będzie to bardzo ekscytujące - i dla nas, i dla niej samej - powiedział pastorowi, opuszczając Tunbridge Wells. To samo powtórzył teraz Lucy, kiedy zamknęła pianino i podeszła do niego z wyrazem rozmarzenia na twarzy.

- To zabawne - odparła, powracając natychmiast do rzeczywistości. - Ktoś powiedział już to mojej matce. Nie bardzo jej się to podobało.

- Czy pani Honeychurch nie lubi muzyki?

- Nie ma nic przeciwko. Po prostu nie lubi, kiedy entuzjazmuje się czymkolwiek. Uważa, że to głupie z mojej strony. Myśli, że... nie wiem, jak to powiedzieć... Kiedyś na przykład powiedziałam, że... wolę mój utwór niż czyjś inny. Naturalnie, nie chodziło mi o to, że gram lepiej. Miałam na myśli...

- Oczywiście - przerwał jej, zastanawiając się, dlaczego w ogóle mu to mówi.

- Muzyka - zaczęła Lucy, po czym wpatrzyła się w deszcz za oknem. Całe życie południa zostało zdeorganizowane, a najpiękniejszy naród Europy zamienił się w zbiorowisko ubrań. Zarówno rzeka, jak ulice miały tę samą, brudnożółtą barwę. Most, widoczny z okien pensjonatu, stał się brudno szary, wzgórza brudnopurpurowe. Gdzieś tam, wśród deszczu, błąkały się panna Lavish i panna Barleet, które tego popołudnia postanowiły zwiedzić Torre del Gallo.

- Cóż takiego z muzyką? - podchwycił pan Beebe.

- Biedna Charlotta, przemoknie do suchej nitki - usłyszał w odpowiedzi.

Taka wyprawa była typowa dla panny Barlett. Wiadomo było, że wróci zmarznięta, wyczerpana, głodna, lecz szczęśliwa, ze zniszczoną spódnicą, przewodnikiem rozmiękłym na papkę i dokuczliwym kaszlem. Następnego ranka, kiedy cały świat będzie śpiewać, a

powietrze wpływać do ust niczym wino, nie ruszy się z salonu, mówiąc, że jest za stara, by dotrzymać towarzystwa młodym, zdrowym pannom.

Panna Lavish jest dość oryginalna - mruknęła Lucy. To zdanie stało się maksymą w pensjonacie. „Panna Lavish jest dość oryginalna.” Pan Beebe miał swoje wątpliwości co do tej opinii, a właściwie, prawdę mówiąc, uważał, że jest ona zbyt łagodna. Składał to jednak na karb małostkowości właściwej duchownym. Dzięki takiemu podejściu udawało mu się zachowywać spokój.

- Czy to prawda - ciągnęła Lucy ze zgrozą - że panna Lavish pisze książkę?

- Tak mówią.

- A o czym ona będzie?

- Będzie to powieść - odparł pan Beebe - o życiu we współczesnych Włoszech. Zresztą, proszę zapytać pannę Alan. Ona potrafi mówić lepiej niż ktokolwiek, kogo znam.

- Wolalabym, żeby panna Lavish powiedziała mi o tym sama. Tak się przecież zaprzyjaźniłyśmy. Uważam jednak, że nie powinna porzucać mnie niespodziewanie tego ranka w Santa Croce. Charlotta była strasznie zła, kiedy znalazła mnie tam samą. Ja w związku z tym byłam zła na pannę Lavish, to chyba naturalne?

- W każdym razie obie damy nadrobiły to z nawiązką - stwierdził pan Beebe.

Interesowała go nagle przyjaźń dwóch kobiet tak różnych jak panna Barlett i panna Lavish. Właściwie nie rozstawały się ze sobą. Lucy, jeżeli im towarzyszyła, pozostawała na uboczu. Pannę Lavish był w stanie zrozumieć. Ale pannę Barlett? Czyżby to pobyt we Florencji zniechęcił ją do roli surowej przyzwoitki? Pasjonowała go obserwacja starszych panien, były jego specjalnością, a zawód, jaki wykonywał, dostarczał mu aż nazbyt wielu sposobności do pogłębienia tej wiedzy. Dziewczęta takie jak Lucy były urocze, ale pan Beebe miał swoje głębokie przyczyny, by traktować płęć przeciwną z rezerwą. Uważał, że lepiej być obserwatorem niż niewolnikiem.

Lucy po raz trzeci powtórzyła, że Charlotta przemoknie do suchej nitki. Wody Arno podniosły się, zmywając z przybrzeża wszystkie ślady. Na południowym zachodzie pojawiła się bladożółta poświata, co mogło oznaczać poprawę pogody, o ile oczywiście nie zapowiadało jej pogorszenia. Lucy uchyliła okno. Zimny podmuch wtargnął do pokoju; panna Katarzyna Alan, która weszła właśnie do pokoju, pisnęła przeraźliwie.

- Droga panno Honeychurch! Złapie pani katar. No a pan, panie Beebe? Czy to rozsądnie? Kto by powiedział, że to Włochy? Moja siostra stara się właśnie o gorącą wodę. Tutejsze warunki pozostawiają wiele do życzenia.

Podeszła do nich nieśmiało i usiadła zakłopotana, jak zawsze, kiedy wchodziła do

pokoju, w którym znajdował się mężczyzna, lub mężczyzna i kobieta.

- Słyszałam, jak pani grała, panno Honeychurch, choć byłam w swoim pokoju... W swoim pokoju, też mi coś. W tym kraju nie istnieje pojęcie własności prywatnej. Nigdzie nie można czuć się w pełni bezpiecznie.

Lucy odpowiedziała coś stosownego. Pan Beebe żałował, że nie może opowiedzieć paniom o swojej przygodzie w Modenie, o tym jak to pewnego dnia, kiedy brał kąpiel, wpadła do jego pokoju służąca i widząc go w wannie zawołała przyjaźnie: „Fa niente, sono vecchia” (Proszę się nie bać, jestem stara).

- Całkowicie się z panią zgadzam, panno Alan - powiedział zamiast tego. - Włosi to okropny naród. Wszędzie się modlą, wszystko widzą i znają nasze życzenia, zanim sami je sobie uświadomimy. Jesteśmy zdani na ich łaskę, oni po prostu czytają w naszych myślach. Począwszy od dorożkarza, na... Giotcie skończywszy, wszyscy wyciągają od nas ostatnie grosze. To okropne. I są tacy powierzchowni. Życie intelektualne to termin obcy w tym kraju... Signora Bertolini powiedziała mi któregoś dnia: „Panie Beebe, gdyby pan wiedział, co ja cierpię nad edukacją moich dzieci! Nie chcę, żeby moją małą Wiktorię uczył Włoch - ignorant, co żadna rzecz nie umie wytłumaczyć!”

Panna Alan milczała. Ona i jej siostra nie przepadały za panem Beebe'em. Po części odstraszał je wygląd pastora - czy można się spodziewać czegoś dobrego po mężczyźnie o takich bokobrodach? Siedząc na krześle, panna Alan odkryła wykonaną z imitacji brązu papierośnicę, na której widniały, ułożone z turkusów, inicjały E.L.

- To własność panny Lavish - powiedział pan Beebe. - Miła z niej osoba, ale mogłaby zacząć palić fajkę.

- Och, panie Beebe - zawołała panna Alan, tłumiąc śmiech. - To rzeczywiście okropne, że ona pali, ale nie aż tak okropne, jak pan sądzi. Wszystko zaczęło się, kiedy dorobek całego jej życia uległ zniszczeniu. To stanowi jakieś usprawiedliwienie.

Lucy spojrzała na nią z ciekawością. Pan Beebe rozsiadł się wygodnie i pozwolił panie Alan mówić.

- Panna Lavish pisała powieść - zaczęła. - Obawiam się, że niezbyt dobrą. Tak to bywa, że utalentowani ludzie źle czasem wykorzystują swe zdolności. To, co się stało, było rzeczywiście okropne. Nie znam szczegółów, dość jednak, że cała, prawie ukończona książka uległa zniszczeniu, a panna Lavish nie potrafi przypomnieć sobie tego, co napisała. Biedactwo, nic dziwnego, że zaczęła palić. Powiem wam w sekrecie, że pisze kolejną powieść. Któregoś dnia powiedziała Teresie i panie Pole, że dotyczy współczesnych Włoch. Panna Lavish, zanim przyjechała tutaj, była w Perugii. Tutaj jednak znalazła prawdziwe

źródło inspiracji. Pamiętajcie, mówię to wszystko w tajemnicy. Tak, w każdym człowieku, nawet w takim, którego nie darzymy sympatią, można znaleźć coś pięknego.

Panna Alan niewątpliwie posiadała tę cenną umiejętność. Subtelny patos zdobił jej słowa, przydając im niespodziewanej piękności, jak wówczas gdy w jesiennym lesie pojawia się zapach wiosny.

- Niemniej jednak, panna Lavish jest odrobinę... nie chcę powiedzieć niekobieca, ale... Zachowała się tak dziwnie, kiedy przyjechali Emersonowie - dodała, jakby nie chciała wydać się zbyt tolerancyjną.

Pan Beebe uśmiechnął się do siebie. Wiedział, że panna Alan zaczęła anegdotę, której w żadnym razie nie powinna opowiadać w obecności dżentelmena.

- Nie wiem, czy zauważyła pani, panno Honeychurch, że panna Pole, ta dama o gęstych, jasnych włosach, pija do obiadu lemoniadę. Otóż proszę sobie wyobrazić, stary pan Emerson powiedział jej, że lemoniada... - urwała i zarumieniła się po uszy. Pan Beebe, jak zwykle taktowny, wstał, by zamówić herbatę.

- Żołądek! Ostrzegł ją, że lemoniada szkodzi na żołądek, wywołując nadkwasotę - ciągnęła panna Alan gorączkowym szeptem. - Muszę przyznać, że zapomniałam się i wybuchnęłam śmiechem. To stało się tak niespodziewanie. Teresa jednak miała rację, nie powinnam była się śmiać. Proszę sobie jednak wyobrazić, że panna Lavish była zachwycona tą uwagą na temat „Ż”... Powiedziała, że lubi, kiedy ludzie wyrażała się prosto. Sądziła, że Emersonowie są komiwojażerami i cały czas starała się dowieść, że handel i tylko handel jest przyczyną wielkości Anglii. Teresa zniecierpliwiona tą gadaniną, wstała od stołu, zanim podano sery. Odchodząc powiedziała: „Droga panno Lavish, oto ktoś, kto potrafiłby zbić pani argumenty lepiej ode mnie” i wskazała na ten piękny portret lorda Tennysona. „Wcześni wiktorianie! Też mi coś!” Tak więc moja siostra wyszła, ja zaś poczułam się zmuszona do rozmowy. „Panno Lavish - powiedziałam - i ja zaliczam się do wczesnych wiktorian, przynajmniej na tyle, żeby nie tolerować krytyk skierowanych pod adresem naszej umiłowanej królowej.” To było okropne. Przypomniałam pannie Lavish o wizycie królowej w Irlandii i muszę przyznać, że to ją nieco zbiło z tropu. Na nieszczęście jednak pan Emerson usłyszał, co powiedziałam, i zawołał tym swoim tubalnym głosem: „Racja, święta racja. Chwała tej kobiecie za wizytę w Irlandii!” Kobiecie!... Mówię tak nieskładnie, ale sama pani widzi, jak musiałyśmy być zmieszane z powodu tego, co mówił na temat „Ż”. To jeszcze nie wszystko. Proszę sobie wyobrazić, że po obiedzie panna Lavish podeszła do mnie i powiedziała: „Panno Alan, idę do palarni porozmawiać z panem Emersonem. To taki interesujący człowiek. Proszę do nas dołączyć”. Ma się rozumieć, odmówiłam, a wtedy panna

Lavish miała czelność powiedzieć, że rozmowa z panem Emersonem mogłaby poszerzyć moje horyzonty, że ona sama ma czterech braci, z których trzech ukończyli uniwersytet, a jeden służy w armii, i że oni nie unikają rozmów z prostymi ludźmi.

- Panna Lavish molestowała wszystkich - wtrącił pan Beebe, który wszedł właśnie do pokoju, niosąc herbatę. - Pannę Pole, mnie, wszystkich, w końcu oświadczyła: „Pójdę sama”. Poszła. Po pięciu minutach wróciła niepostrzeżenie i zasiadła do pasjansa.

- Co się tam mogło stać? - zawołała Lucy podekscytowana.

- Tego nikt nie wie i nikt się nie dowie. Panna Lavish nigdy nie ośmieli się tego powiedzieć, a pan Emerson nie uważa, żeby warto było o tym mówić - odparł pan Beebe.

- Panie Beebe... czy pan Emerson, stary pan Emerson, czy on jest miły? Muszę to wiedzieć.

Pan Beebe roześmiał się i powiedział, że na to pytanie Lucy powinna sama sobie znaleźć odpowiedź.

- Ale to tak trudno stwierdzić... Czasem zachowuje się dziwacznie, ale czasem w ogóle mi to nie przeszkadza. Panno Alan, jak pani sądzi?

Mała stara dama potrząsnęła głową i westchnęła z dezaprobatą.

- Panno Alan, pani jest chyba zmuszona darzyć Emersonów sympatią... po tym incydencie z fiołkami... - wtrącił pan Beebe, najwyraźniej ubawiony całą tą rozmową. Panna Alan drgnęła.

- Z fiołkami? Kto powiedział panu o fiołkach? Skąd pan o tym wie? To niewiarygodne, jak rozchodzą się plotki. Tak, panno Honeychurch, któregoś dnia przyozdobili cały nasz pokój fiołkami. Ale nigdy nie wybaczę Emersonom ich zachowania w Santa Croce. Biedna panna Honeychurch! To po prostu okropne. Zmieniłam zdanie. Nie, panie Beebe, nie lubię Emersonów.

Pan Beebe uśmiechnął się lekko. Próbował wprowadzić Emersonów w życie towarzyskie pensjonatu i najwyraźniej mu się to nie udało. Pozostał jedyną przyjazną im osobą. Panna Lavish i panna Alan nie kryły wrogości. Panna Barlett z trudem zdobywała się na uprzejmość, a to tylko ze względu na zaciągnięty dług wdzięczności. Lucy... z nią sprawy wyglądały inaczej. Z jej opowiadania o tym, co się stała w Santa Croce, pan Beebe wywnioskował, że Emersonowie w dość niezwykły sposób próbowali narzucić jej swoje towarzystwo, co więcej, próbowali pokazać jej świat z własnego punktu widzenia, zainteresować ich własnymi smutkami i radościami. To było impertynenckie, bez wątpienia. Tych dwóch nie powinno mieć wpływu na Lucy. W końcu nic o nich nie wiedział. Radości i smutki pensjonatu to błahostki, Lucy zaś miała być jego parafianką.

- A ja sędzę jednak, że to mili ludzie - powiedziała Lucy, stojąc twarzą do okna. - Choć tacy dziwni... zupełnie różni od nas.

- Czy oni nie dopraszają się, żebyś z nimi wychodziła, moja droga? - zapytała starsza dama natarczywie.

- Tak było tylko raz. Charlotta nie była tym zachwycona i powiedziała im coś... Oczywiście bardzo uprzejmie.

- To słusznie z jej strony. Oni nas nie rozumieją. Powinni przebywać z ludźmi równymi sobie.

Pan Beebe zamyślił się. Wyglądało na to, że Emersonowie zrezygnowali z pozyskania sobie względów pensjonariuszy. Pan Emerson stał się równie milczący jak George. Dobrze byłoby, gdyby ta gromadka spędziła razem miły dzień. Może jakaś wycieczka? Pan Beebe znajdował radość w dostarczaniu bliźnim przyjemnych wspomnień.

Tymczasem nadszedł wieczór. Powietrze stało się bardziej przejrzyste, kolory wzgórz i drzew czyściejsze, a Arno straciła swą błotnistą barwę. Spoza chmur wyłoniły się zielono - niebieskie pasma, potem zaś blada, świetlista smuga spłynęła na ziemię i splukana deszczem fasada San Miniato zabłysła na moment w zachodzącym słońcu.

- Za późno, żeby iść dokądkolwiek - westchnęła z ulgą panna Alan. - Wszystkie galerie są już zamknięte.

- A ja chyba wyjdę - oznajmiła Lucy. - Przejadę się po mieście tramwajem, na platformie obok motorniczego.

Spojrzeni na nią z niepokojem. Pan Beebe, który czuł się odpowiedzialny za nią pod nieobecność panny Barlett, powiedział nieśmiało:

- Chętnie dotrzymałbym pani towarzystwa. Niestety, mam do napisania tyle listów... Jeżeli rzeczywiście chce pani wyjść sama, może lepiej pójść piechotą?

- Włosi, moja droga, wiesz co mam na myśli - dodała panna Alan.

- Może spotka mnie jakaś przygoda - odparła Lucy przekornie.

Patrzyli na nią z niezadowoleniem, obiecała więc panu Beebe'owi, że nie pójdzie daleko i będzie się trzymać ulic uczęszczanych przez turystów.

- Nie powinna w ogóle wychodzić - stwierdził pan Beebe, wyglądając za nią przez okno. - Nie powinna i wie o tym. Tak, tak... Za dużo Beethovena nikomu nie wychodzi na zdrowie.

ROZDZIAŁ IV: CZWARTY ROZDZIAŁ

Pan Beebe miał rację. Lucy nigdy nie zdawała sobie tak jasno sprawy ze stanu swych uczuć, jak po grze. Nie bawił jej dowcip pana Beebe'a ani dwuznaczne świergotanie panny Alan. Rozmowa z nimi znudziła Lucy; pragnęła, aby wydarzyło się coś ważnego. Była przy tym dziwnie przekonana, że spotka ją to w tramwaju. Cóż, kiedy na to właśnie nie mogła sobie pozwolić. To nie byłoby dystygowane. Dlaczego wszystko, co naprawdę warte uwagi, jest niedystygowane? I niekobiece?

Charlotta wyjaśniła jej to kiedyś. To nie dlatego, że kobiety są gorsze od mężczyzn - są po prostu inne. Mają raczej skłaniać do działania, niż działać same. Pośrednio, za pomocą swego taktu i dobrego imienia, dama może osiągnąć wiele. Jeśli jednak sama ruszy do walki, czeka ją krytyka, pogarda, a wreszcie - zapomnienie. Wiele wierszy napisano, by tego dowieść.

Tak, średniowieczna kobieta istnieje nadal. Nie ma już smoków i rycerzy, ona sama jednak tkwi w nas, mimo upływu czasu. Panowała w niejednym wczesnowiktoriańskim zamku, była królową każdej wiktoriańskiej pieśni. Słodko jest chronić ją w chwilach wolnych od interesów, słodko czcić za dobrze ugotowany obiad. Ale niestety! I w jej głowie lęgną się dziwaczne pomysły. Silne wiatry, rozległe panoramy i zielony bezmiar morza - oto, co ją pociąga. Dostrzegła królestwo tego świata - jego bogactwo, piękno i wojny. Świat ten, niczym świetlista skorupa, wypełniona ogniem, pędzi ku niebu, które od niego ucieka. Mężczyźni, stwierdziwszy, że to ona ich do tego popycha, poruszają się z wdziękiem po powierzchni, odbywają czarowne spotkania z innymi mężczyznami, szczęśliwi, nie dlatego, że są męscy, lecz dlatego, że są żywi. Zanim przedstawienie dobiegnie końca, ona porzuci zaszczytny tytuł Wiecznej Kobiety i odejdzie, pod swą przemijającą doczesną postacią.

Lucy nie była zwolenniczką modelu kobiety średniowiecznej, którego jej otoczenie nie traktowało z respektem. Nie była jednak buntowniczką. Jeśli pewne zasady zbytnio ograniczały jej swobodę, omijała je, czasami odczuwając z tego powodu wyrzuty sumienia. Tego wieczoru jednak poczuła w sobie dziwną przekorę. Pragnęła zrobić coś, co potępiliby wszyscy jej opiekunowie. Dlatego też, nie mogąc pojechać tramwajem, udała się do sklepu Alinariego.

Kupiła tam fotografię „Narodzin Wenus” Botticellego. Nagość bogini psuła ten skądinąd jakże piękny obraz; panna Barlett przekonywała Lucy, że można się obejść bez tej reprodukcji. „Tempesta” Giorgione'a, „Idolino” i parę fresków z Kaplicy Sykstyńskiej oraz

Apoksyomenos dopełniły całości. Po namyśle kupiła jeszcze „Koronację” Fra Angelica, „Wniebowstąpienie świętego Jana” Giotta i kilka Madonn Guido Reniego.

Wydała prawie siedem lirów, ale wrota do wolności wciąż zdawały się zamknięte. Była świadoma swego niezadowolenia; świadomość ta okazała się dla niej rzeczą nową. „Świat pełen jest cudów, gdybym tylko mogła się na nie natknąć” - pomyślała. Nic dziwnego, że pani Honeychurch nie przepadała za muzyką, skoro czyniła ona jej córkę drażliwą, niepraktyczną i skłoną do irytacji.

„Nic mi się nigdy nie przytrafia” - stwierdziła Lucy, wchodząc na Piazza Signora. Spojrzała obojętnie na otaczające ją cuda, teraz dobrze już znane. Wielki plac tonął w cieniu; słońce pokazało się zbyt późno, by go oświetlić. Neptun, ukryty w półmroku, wyglądał w połowie jak bóg, w połowie jak zjawa. Jego fontanna pluskała sennie ponad głowami próżnujących na brzegu mężczyzn i satyrów. Loggia wyglądała jak potrójne wejście do grotty, w której żyją rozliczne bóstwa, nieuchwytnie, lecz nieśmiertelne, patrzące na przechodzących i odchodzących ludzi. Nastąpiła godzina iluzji, to jest, godzina, w czasie której rzeczy obce stają się rzeczywiste. Ktoś starszy o takiej porze i w takim miejscu zadowoliliby się tą ilością doznań. Lucy pragnęła czegoś więcej.

Spojrzała z zadumą na wieżę pałacu, która wyrastała z cienia jak złota kolumna. Zdawało się, że to już nie wieża, że nie wspiera się już na ziemi, lecz jak nieosiągalny klejnot pulsuje na tle spokojnego nieba. Jej blask zahipnotyzował Lucy. Spuściła oczy i zawróciła.

I wówczas coś się wydarzyło.

- Cinque lire! (Pięć lirów) - wykrzyknął jakiś głos. - Cinque lire!

Zrozumiała, że chodziło o dług. Dwaj Włosi stali kilka kroków od niej, mierząc się nawzajem wściekłym wzrokiem, a potem jeden wymierzył drugiemu cios w pierś. Uderzony mężczyzna zmarszczył brwi, pochylił się w stronę Lucy i spojrzał na nią z wyrazem zainteresowania. Otworzył usta, jakby chciał coś ważnego powiedzieć, i po jego nieogolonym podbródku spłynęła strużka krwi.

Z mroku wyłoniło się wiele postaci. Tłum oddzielił Lucy od leżącego mężczyzny i poniół go do fontanny. Dostrzegła George'a Emersona. Stał niedaleko, ale nie widziała go wyraźnie. Wszystko dookoła straciło ostrość, a potem pałac i ciemniejące niebo zakołysało się i runęły na Lucy, powoli i cicho. „Co się stało?” - pomyślała.

- Co się stało? - zapytała słabym głosem i otworzyła oczy.

George Emerson patrzył na nią, teraz jednak widziała go wyraźnie.

Oto jeden mężczyzna nie żył, drugi zaś trzymał ją w ramionach.

Znajdowali się na jakichś schodach po drugiej stronie placu. Zrozumiała, że musiał ją

tu przynieść. Kiedy się odezwała, wstał i zaczął otrzępywać sobie kolana.

- Co się stało? - powtórzyła.

- Zemdlała pani - odparł.

- Och... przepraszam bardzo.

Jak się pani czuje?

- Doskonale. Znakomicie - zapewniła go i pokiwała głową z uśmiechem.

- No, to chodźmy do domu. Nie ma co tu siedzieć - powiedział i wyciągnął do niej rękę. Udała, że tego nie widzi. Krzyki przy fontannie nie ustawały. Świat wydawał się błądy i pozbawiony swych pierwotnych rysów.

- Jak to ładnie z pana strony! - zawołała. - Mogłam się potłuc upadając. Czuję się dobrze. Mogę pójść sama, dziękuję panu.

Stał nieruchomo, wciąż wyciągając rękę.

- Moje fotografie! - krzyknęła nagle.

- Jakie fotografie?

- Kupiłam je u Alinariego. Musiałam je upuścić tam na placu. - Spojrzała na niego uważnie. - Czy byłby pan tak dobry i poszedł ich poszukać?

Skinął głową.

W chwili kiedy się odwrócił, Lucy zerwała się na równe nogi z przebiegłością maniaka i ruszyła w stronę Arno.

- Panno Honeychurch! - zawołał raptownie.

Zatrzymała się przyciskając rękę do piersi.

- Proszę usiąść - rozkazał. - Pani nie czuje się wystarczająco dobrze, by mogła pani iść sama.

- Czuję się dobrze, dziękuję panu.

- Nie sądzę. Nie próbowałaby pani uciec, gdyby się pani dobrze czuła.

- Ale ja...

- Jeżeli pani nie usiądzie, nie pójdę po fotografie - zagroził.

- Ale wolałabym zostać sama.

- Ten człowiek nie żyje. Proszę usiąść i nie ruszać się, dopóki nie wrócę - powiedział kategorycznie. Usiadła posłusznie, zaskoczona jego tonem.

Z mroku, niczym nocne zjawy, wyłoniły się postacie w czarnych kapturach. Wieża pałacu straciła swój blask i jakby złączyła się z ziemią. Lucy zastanawiała się, jak rozmawiać z George'em Emersonem, gdy wróci z pogrążonego w cieniu placu. „Co się stało? - pomyślała znów i przyszło jej do głowy, że tak samo jak ten umierający człowiek przekroczyła pewną

duchową granicę.

Kiedy George wrócił, zaczęła mówić z ożywieniem o tym, co jeszcze pięć minut temu sprawiło, że zemdlała. To morderstwo ilustruje charakter Włochów... czyż nie? Podniosła się bez jego pomocy i dość pewnie ruszyła w stronę Arno. Wyminęli dorożkarza, który wołał coś zachęcająco.

- Morderca próbował pocałować tego człowieka, którego zabił - czy Włosi nie są dziwni? - ciągnęła. - I oddał się w ręce policji. Pan Beebe mówił, że Włosi wiedzą wszystko, ja jednak uważam, że są jak duże dzieci. Kiedy moja kuzynka i ja byliśmy wczoraj w Pitti...

George wrzucił coś do rzeki.

- Co to było? - zapytała.

- Niepotrzebna rzecz - odrzekł szorstko.

- Panie Emerson!

- Słucham?

- Gdzie są moje fotografie?

Milczał.

- Wydaje mi się, że to moje fotografie pan wyrzucił.

- Nie wiedziałem, co z nimi zrobić! - krzyknął, niczym rozzłoszczony chłopiec. Serce Lucy zabiło żywiej. - Były poplamione krwią. Cieszę się, że pani o tym powiedziała. Cały czas zastanawiałem się, co z nimi zrobić. Już ich nie ma. Popłynął do morza - powiedział, wskazując na spienioną rzekę. - Wie pani, mam wrażenie, że stało się coś ważnego i muszę temu stawić czoła - dodał po chwili. - Nie mam na myśli tego morderstwa, chodzi mi o to, że...

Lucy poczuła, że musi mu przerwać.

- Coś się stało - powtórzył - i muszę dowiedzieć się, co.

- Panie Emerson...

Spojrzał na nią zniecierpliwiony.

- Mam do pana prośbę - powiedziała szybko.

Byli już niedaleko pensjonatu. Lucy zatrzymała się i zwrócona twarzą do rzeki oparła łokcie na kamiennym murku, biegnącym wzdłuż nadbrzeża. George uczynił to samo.

W takiej identyczności gestów bywa coś magicznego. Utajona wspólnota dwóch osób ujawnia się bez udziału świadomości, tak jakby ich ciała rozmawiały własnym językiem. Lucy wyprostowała się gwałtownie.

- Zachowałam się śmiesznie - rzekła.

George zdawał się być zajęty własnymi myślami.

- Nigdy jeszcze niczego tak się nie wstydziłam. Nie wiem, co mi się stało - ciągnęła.

- Ja sam o mało nie zemdlałem - odparł. W jego głosie pojawił się cień irytacji.

- ...Jestem panu ogromnie zobowiązana.

- To drobiazg.

- Chciałam pana prosić... To znaczy, wie pan, jak ludzie plotkują. Czy rozumie pan. co mam na myśli?

- Obawiam się, że nie.

- Chciałabym prosić, żeby nie mówił pan nikomu o moim głupim zachowaniu.

- O tym, że... ach tak, oczywiście.

- Dziękuję. I czy mógłby pan... - urwała.

Rzeka kłębiła się, prawie czarna w ciemniejącym zmierzchu. Wrzucił do wody jej fotografie. Nagle zrozumiała, że od człowieka takiego jak on próżno oczekiwać rycerskości. Nie skrzywdziłby jej czczymi plotkami, był godzien zaufania, inteligentny, a nawet dobry. Mógł także mieć o niej dobre zdanie. Brakło mu jednak rycerskości, a jego myśli, tak jak i zachowanie, nie zmieniały się pod wpływem strachu. Nie warto było mówić: „Wie pan, jak ludzie plotkują” i oczekiwać, że sam odpowie sobie resztę.

Ten człowiek trzymał ją dziś w ramionach i wiedziała, że nie zapomniał o tym, podobnie jak nie zapomniał o krwi, która splamiła fotografie od Alinariego. Coś się wydarzyło, coś, co nie dotyczyło zabitego mężczyzny, ale ich dwojga.

- Dziękuję bardzo - powtórzyła. - Jakie to dziwne. Jak szybko wszystko wraca do normy. Jesteśmy tacy sami, mimo tego, co się stało.

- Ja nie jestem już taki sam.

Spojrzała na niego pytająco.

- Wydaje mi się, że chcę żyć - dodał.

- Co pan powiedział?

- ...Tak, chcę żyć - powtórzył.

Lucy oparła się o murek i spojrzała na Arno, której szum wydał się jej zaskakującą melodią.

ROZDZIAŁ V: MIŁE PERSPEKTYWY

„Nikt nie wie, co zrobi Charlotta Barlett” - głosiło rodzinne powiedzenie. Skróconą opowieść o przygodzie Lucy przyjęła ze zrozumieniem i współczuciem, a uprzejmość pana George'a Emersona uznała za godną najwyższej pochwały. Ją i pannę Lavish również spotkała przygoda. W drodze powrotnej zostały zatrzymane przy bramie; zuchwali strażnicy próbowali przeszukać ich torebki. Mogło się to nieprzyjemnie skończyć, na szczęście jednak panna Lavish potrafiła wszystkiemu zaradzić.

Tak oto Lucy w tej nowej sytuacji znalazła się sama. Nikt nie widział jej na Piazza ani potem nad Arno. Podczas obiadu pan Beebe zauważył jej niespokojne spojrzenie, ale mruknął tylko coś na temat Beethovena, przypuszczał jednak, że Lucy oczekuje na przygodę, nie sądził, że już ma ją za sobą. Ta samotność ją przygniatała. Przywykła do tego, że każdą jej myśl i każdy postępek akceptowano lub potępiano. Pozostawiona samej sobie, zupełnie nie wiedziała, co począć.

Nazajutrz przy śniadaniu podjęła zdecydowane kroki. Miała do wyboru dwa warianty. Pan Beebe szedł na Torre del Gallo w towarzystwie Emersonów i jakichś amerykańskich dam. Czy panna Barlett i panna Honeychurch nie zechciałyby się przyłączyć?

Charlotta nie przyjęła zaproszenia, ponieważ była tam w ubiegłe popołudnie podczas deszczu. Ale Lucy powinna koniecznie skorzystać z tej okazji. W ten sposób uniknie robienia zakupów, wymieniania pieniędzy, odbierania listów, oraz innych kłopotliwych spraw, z którymi ona sama zamierzała uporać się tego ranka.

- Nie, Charlotto! - zawołała dziewczyna serdecznie. - To naprawdę miło z pana strony, panie Beebe, ale dotrzymam towarzystwa mojej kuzynce.

- Wspaniale, kochanie - odparła panna Barlett i zarumieniła się lekko z radości, co z kolei sprawiło, że i Lucy się zarumieniła, zawstydzona własną obłudą. Jak odrażająco zachowywała się od dawna w stosunku do Charlotty. Teraz jednak się zmieni. Przez cały ranek będzie dla niej naprawdę miła.

Ruszyły wzdłuż Lungarno trzymając się pod rękę. Rzeka toczyła z szumem swe żółte wody. Panna Barlett zatrzymała się i spojrzała w dół, opierając łokcie o murek w tym samym miejscu, w którym Lucy rozmawiała ubiegłego wieczoru z George'em.

- Szkoda, że Freddy i twoja matka tego nie widzą - powiedziała, jak zwykle w takich okolicznościach. - ...Och, Lucy, myślisz o Torre del Gallo! Bałam się, że zaczniesz żałować.

Lucy nie żałowała. Po wczorajszym dniu, dziwnym i zaskakującym, wołała zakupy z

Charlottą od George'a Emersona i Torre del Gallo razem wziętych. Nie będąc w stanie zrozumieć tego, co stało się ubiegłego popołudnia, Lucy wołała do tego nie wracać. Mogła szczerze zaprzeczyć obawom kuzynki.

Choć udało się jej uniknąć głównego aktora wczorajszych wydarzeń, sceneria pozostała nie zmieniona. Charlotta, jakby popychana tajemną siłą, ruszyła w stronę Piazza Signora. Nie mogła uwierzyć, że kamienie, loggia, fontanna, wieża pałacu mają taką siłę wyrazu.

Na miejscu znalazły pannę Lavish z poranną gazetą w ręku. Okropne zdarzenie z ubiegłego dnia dostarczyło jej pewnego pomysłu do książki, którą pisała. Przywitała je radośnie, jej twarz jaśniała ożywieniem.

- Ach! Panna Honeychurch! Proszę tu podejść! Mam szczęście. Musi mi pani opowiedzieć, co tu się zdarzyło. Od początku do końca. To warte opisanie.

Lucy milczała, stukając w ziemię czubkiem parasolki.

- A może woli pani o tym nie mówić?

- Przykro mi, ale chyba nie - odpowiedziała.

Obie damy wymieniły znaczące spojrzenia; młode dziewczęta to takie wrażliwe istoty...

- To ja przepraszam - rzekła panna Lavish. - My, literaci, jesteśmy pozbawieni skrupułów. Nie ma takiego sekretu, którego nie wydobylibyśmy na światło dzienne.

Podeszła do fontanny, po czym ponownie cofnęła się o kilka kroków, jak malarz, który pragnie właściwie uchwycić proporcje. Oznajmiła, że przyszła na Piazza o ósmej rano, by „zbierać materiał”. Oczywiście, wiele szczegółów zupełnie się nie nadawało, ale to zawsze można zmienić. Na przykład ci dwaj mężczyźni, którzy kłócili się o pięć lirów. To proste! Zamiast pięciu lirów pojawi się młoda kobieta. Ileż w tym tragizmu, a do tego dodatkowy, znakomity wątek!

- Jak nazywa się główna bohaterka? - zapytała panna Barlett.

- Eleonora - odparła panna Lavish, której na chrzcie dano imię Eleonora.

- A jaki jest wątek?

Miłość, morderstwo, porwanie, zemsta - oto wątek. A wszystko to narodziło się w porannym słońcu, na Piazza, gdzie wśród plusku fontanny próżnują satyrowie.

- Wybaczcie, że was tak zanudzam - ciągnęła panna Lavish. - To cudowne mówić do osób, które chcą słuchać. Oczywiście to, co przedstawiłam, to zaledwie zarys. Znajdzie się miejsce na opisy Florencji i kilka humorystycznych postaci. I ostrzegam uczciwie: będę bezlitosna dla brytyjskich turystów.

- Niegodziwa kobieto - zawołała panna Barlett. - Jestem pewna, że ma pani na myśli Emersonów.

- Panna Lavish posłała jej makiawelski uśmiech.

- Przyznaję, że będąc we Włoszech nie darzę sympatią rodaków. Włosi, pogardzani Włosi! O ich życiu chcę pisać. Zawsze powtarzam i zdania nie zmienię, że zdarzenia takie jak wczorajsze nie są mniej tragiczne od innych tylko dlatego, że biorą w nich udział ludzie niżsi od nas stanem.

Kuzynki milczały przez chwilę z szacunkiem, po czym pożegnały pannę Lavish, życząc jej owocnej pracy.

- To mądra kobieta powiedziała panna Barlett, kiedy opuszczały plac. - Ta jej ostatnia uwaga, czy nie jest uderzająco prawdziwa? To będzie wspaniała książka, powiadam ci, Lucy.

Lucy przytaknęła milcząco. Pragnęła za wszelką cenę uniknąć tematu. Tego ranka jej zmysły były niezwykle wyczulone. Miała dziwną pewność, że panna Lavish wystawiła na próbę jej prawdomówność.

- Jest emancypantką, ale w najlepszym znaczeniu tego słowa - ciągnęła wolno panna Barlett. - Szokuje tylko tych, którzy patrzą na rzeczy powierzchownie. Rozmawialiśmy wczoraj dość długo. Wierzy w prawdę, sprawiedliwość i prawa człowieka. Powiedziała mi, że współczesna kobieta... Panie Eager! Co za miła niespodzianka!

- Miła, ale nie niespodzianka - odparł kapelan z uprzejmym uśmiechem. - Obserwowałem panie od jakiegoś czasu.

- Rozmawialiśmy z panną Lavish.

Zmarszczył brwi. - Widziałem. Andate via! Sono occupato! (Odejdź! Jestem zajęty!) - zawołał do sprzedawcy pocztówek, który zbliżył się z zachęcającym uśmiechem. - Ale, ale... czy pani i panna Honeychurch nie miałybyście ochoty na wycieczkę? Moglibyśmy pojechać do Fiesole i wrócić przez Seettignano. Moglibyśmy też zatrzymać się po drodze i udać się na przechadzkę po wzgórzach. Widok na Florencję jest stamtąd wprost cudowny, o wiele ładniejszy niż z Fiesole. Alessio Baldovinetti umieścił go na swoich obrazach. Ten człowiek miał niezwykle wycucie krajobrazu. Wprost niezwykle. Ale kto o to dba w dzisiejszych czasach?

Panna Barlett nie słyszała o Alessio Baldovinettim, wiedziała jednak, że pan Eager nie jest zwykłym kapelanem. Florencja stała się jego prawdziwym domem. Znał ludzi, którzy nie korzystali z bedekera, którzy nie wyobrażali już sobie dnia bez sjesty i widzieli we Florencji rzeczy, o jakich nie śniło się mieszkańcom pensjonatów; ludzi, którzy czytali, pisali i dyskutowali o sprawach niedostępnych dla wszystkich tych, którzy zjawiali się we Florencji z

kupnem Cooka w kieszeni. Zaproszenie od wielebnego Eagera było zatem powodem do dumy. Tylko niewielu spośród trzódki pastora dostępowało tego zaszczytu.

Kilka dni temu Lucy nie posiadałaby się z radości. Cóż, kiedy wszystko się zmienia. Wycieczka z wielebnym Eagerem i panną Barlett nie wydawała się wielką atrakcją, toteż Lucy bez przekonania dołączyła się do podziękowań Charlotty. Dopiero kiedy okazało się, że i pan Beebe jest zaproszony, jej podziękowania zabrzmiały bardziej szczerze.

- W dzisiejszych trudnych, pełnych zgiełku czasach przyroda jest prawdziwym źródłem prostoty i świeżości. Andate via! Andate presto, presto! (Odejdź, proszę, odejdź!) Ach, miasto! Choćby najpiękniejsze, zawsze pozostanie miastem - rzekł pastor.

Obie damy przytaknęły posłusznie.

- Słyszałem o tym, co się wczoraj wydarzyło w tym miejscu - ciągnął pan Eager. - Dla kogoś, kto jak ja kocha Florencję Dantego i Savonaroli, taka rzecz to profanacja... To takie upokarzające!

- W istocie - odrzekła panna Barlett. - Panna Honeychurch przechodziła właśnie tamtędy, kiedy to się stało. Biedactwo, ledwie może o tym mówić - powiedziała patrząc na Lucy z dumą.

- Jak to się stało, że się pani tam znalazła? - zapytał pan Eager z ojcowską troską.

- Proszę jej nie winić, to mój błąd. Zostawiłam ją bez opieki.

- Była więc pani sama, panno Honeychurch? - pan Eager pochylił ku Lucy swą ciemną, przystojną twarz.

- Tak.

- Znajoma osoba z naszego pensjonatu przyprowadziła ją z powrotem - wtrąciła panna Barlett, zręcznie ukrywając płęć dobroczyńcy.

- Dla niej również musiało to być straszne przeżycie - odparł pan Eager, dając się zwieść zgodnie z intencją Charlotty. - Mam nadzieję, że żadna z pań... że nie stało się to w waszej bezpośredniej bliskości.

Jedną z wielu rzeczy, które Lucy zauważyła tego dnia, była okropna, przesadna delikatność, z jaką poważni ludzie omijali słowo „krew”. George Emerson traktował ten temat z zaskakującą prostotą.

- Ten człowiek zmarł przy fontannie - powiedziała.

- A pani i pani znajoma...

- Były po drugiej stronie placu - wtrąciła Charlotta pospiesznie.

Całe szczęście zatem. Nie widziały panie, oczywiście, tych okropnych zdjęć, które prasa brukowa... Ach, proszę spojrzeć! Co za okropność - powiedział, wskazując na

sprzedawcę pocztówek. - Ten człowiek to plaga publiczna. Wie doskonale, że jestem rezydentem, a mimo to nie przestaje zachwalać tych tandetnych widoczków.

Sprzedawca zbliżył się i niespodziewanie rozpostarł harmonijkę fotografii, wręczając jeden koniec Lucy, a drugi pannie Barlett, łącząc ich ręce lśniąca wstęgą kościołów, obrazów i widoków.

- Tego już za dużo! - zawołał pastor, wrywając zdjęcia damom.

Sprzedawca krzyknął przeraźliwie, bo harmonijka rozdarła się w jednym miejscu.

- Z chęcią kupię... - zaczęła panna Barlett.

- Proszę go zignorować - rozkazał ostro pan Eager. Cała trójka ruszyła szybko do przodu.

Który Włoch jednak pozwoli się zignorować? Sprzedawca szedł za nimi, grożąc i lamentując. Czy młoda panienka nie zlituje się nad biednym Włochem? Nękał ich dopóty, dopóki nie zapłacili mu za szkodę. Odeszli tak pozbawieni myśli i uczuć, jakby dopiero pojawili się na tym świecie.

Panna Barlett wspomniała coś o zakupach, pan Eager chętnie podjął się roli przewodnika. Dzięki niemu znalazły całe mnóstwo prezentów i pamiątek: pozłacane, ozdobne ramki do obrazków i inne, proste, z dębowego drewna, Dantego wydane na welinowym papierze, tanie mozaikowe broszki, znakomity prezent na Boże Narodzenie., szpilki, wazoniki, talerzyki, fotografie, Erosa i Psyche w alabarze, i świętego Piotra do kompletu, a wszystko dwukrotnie droższe niż w Londynie. Ten poranek zostawił Lucy niemiłe wspomnienia. Panna Barlett i pan Eager przerażali ją, choć nie była w stanie powiedzieć dlaczego. Co dziwniejsze, czuła dla nich dziwną pogardę. Czy panna Lavish i pan Eager rzeczywiście zasługują na podziw, jakim darzyła ich Charlotta? Charlotta... była tylko Charlottą i w niczym nie ustępowała pozostałej dwójce.

- ...Syn robotnika, to wiem na pewno, sam był jakimś mechanikiem - mówił pan Eager. Rozmawiali o Emersonach. - Potem zaczął pisywać do socjalistycznej prasy. Spotkałem go w Brixton.

- To interesujące - rzekła panna Barlett. - Czy nadal jest dziennikarzem?

- Nie. Korzystnie się ożenił - odparł pan Eager wzdychając.

- Ach, więc ma żonę!

- Ona nie żyje, panno Barlett. Zastanawiam się... tak, zastanawiam się, jak śmie spojrzeć mi w oczy, jak śmie przyznawać się do znajomości ze mną. Kiedyś, w Londynie, należał do mojej parafii... Czy pamięta pani, panno Honeychurch, jak potraktowałem go tego dnia w Santa Croce? Proszę zapamiętać: on nie zasługuje na nic innego.

- Co takiego? - wykrzyknęła Lucy, czując, że się czerwieni.

Pan Eager próbował zmienić temat, ale to, co powiedział, brzmiało zbyt tajemniczo i frapująco. Panna Barlett płonęła z ciekawości. Lucy, choć miała nadzieję już nigdy nie zobaczyć Emersonów, nie chciała ich bezpodstawnie potępiać.

- Czy chodzi panu o to - zapytała Lucy - że jest niewierzący? Wiemy o tym.

- Lucy, kochanie... - przerwała jej Charlotta.

- Zdziwiłbym się, gdybyście panie znały jego przeszłość. Chłopiec... był niewinnym dzieckiem, jego winić nie można, choć Bóg jeden wie, na kogo wyrósł po otrzymaniu takiego wykształcenia.

- Może jest to coś, czego nie powinniśmy wiedzieć? - spytała panna Barlett.

- W istocie - potwierdził pan Eager. - Dlatego nic już więcej nie powiem.

- Powiedział pan bardzo niewiele - zawołała Lucy zniecierpliwiona.

- Tyle właśnie miałem zamiar powiedzieć - odparł zimno i spojrzał na dziewczynę z oburzeniem. Lucy nie pozostawała mu dłużna. Odwróciła się od lady sklepowej, dysząc gniewnie. Spojrzał na jej zmarszczone brwi i zaciśnięte usta.

- Chodzi o morderstwo, jeśli koniecznie musi pani wiedzieć! - wykrzyknął ze złością.

- Ten człowiek zabił swoją żonę.

- Jak? - zapytała, nie dając się zbić z tropu.

- Zabił ją... zabił w obliczu Boga. Tego dnia w Santa Croce - czy mówili coś przeciwko mnie?

- Ani słowa, panie Eager, ani jednego słowa.

- Bałem się, że chcieli mnie zniesławić. Przypuszczam, że to tylko ich osobisty wdzięk sprawia, że ich pani broni?

- Wcale ich nie bronię - zawołała Lucy, tracąc nagle odwagę. - Wcale mi na nich nie zależy.

- Jak mógł pan pomyśleć, że moja kuzynka broni Emersonów? - wtrąciła panna Barlett, zmieszana tą nieprzyjemną sceną. Sprzedawca najwyraźniej przysłuchiwał się rozmowie.

- Zabił swoją żonę w obliczu Boga - powtórzył pan Eager.

Użycie słowa „Bóg” było w tym kontekście zastanawiające. Pan Eager najwyraźniej starał się uzasadnić w ten sposób swój ciężki zarzut. Po jego słowach zapadło kłopotliwe milczenie. Panna Barlett kupiła pospiesznie niewielką kopię Krzywej Wieży i ruszyła w stronę wyjścia.

- Opuść już panie - powiedział pan Eager, spoglądając na zegarek.

Panna Barlett podziękowała mu i wyraziła nadzieję, że planowana wycieczka uda się znakomicie.

- Wycieczka? Czy nadal jesteśmy zaproszone? - zawołała Lucy, ale Charlotta zmroziła ją wzrokiem. Pan Eager potwierdził zaproszenie.

- Wycieczka! Też mi coś! - zawołała Lucy, kiedy się oddalił. - Przecież to samo ustaliliśmy z panem Beebe'em. Czy nie uważasz, że pan Eager zachowuje się absurdalnie? Przecież równie dobrze my moglibyśmy go zaprosić!

Panna Barlett zamyśliła się.

- Wiesz, moja droga - powiedziała po chwili - jeżeli ta wycieczka, na którą my i pan Beebe mieliśmy zaprosić pana Eagera, jest tą samą, na którą on zaprosił nas... mogą z tego wyniknąć pewne komplikacje.

- Jak to?

- Pan Beebe zaprosił Eleanor Lavish...

- Wobec tego trzeba będzie wziąć jeszcze jeden powóz.

- Nie tylko. Chodzi o to, że pan Eager nie znosi panny Lavish, a ona wie o tym doskonale... Powiedzmy szczerze, Eleonora jest dla niego zbyt ekstrawagancka.

Znajdowały się teraz w jednym z angielskich banków. Lucy stała nieruchomo wśród „Punchów” i „Graphiców”, usiłując sformułować pytanie, rodzące się w jej głowie. Dobrze znany świat zniknął, niczym podciągnięta w górę teatralna kurtyna, ukazując magiczne miasto, w którym ludzie myśleli i robili rzeczy nie spotykane gdzie indziej.

Szczęśliwa Charlotta! sprawy bez znaczenia absorbowały ją tak dalece, że te naprawdę ważne umykały jej uwagi. Teraz przycupnęła w kącie, usiłując wydobyć z zawieszzonego na szyi lnianego woreczka kwit kredytowy. Powiedziano jej, że we Włoszech to jedyny bezpieczny sposób noszenia pieniędzy.

- Czy to pan Beebe zapomniał powiedzieć wielebnemu Eagerowi, czy też pan Eager zapomniał powiedzieć nam, czy też obaj postanowili wyłączyć Eleonorę z tych planów, co jest chyba niemożliwe - w każdym razie musimy być gotowe. Tak naprawdę, droga Lucy, to na twoim towarzystwie im zależy. Ja jestem zaproszona, bo tego wymaga wychowanie. Tak, mnie i Eleonorze przypada drugie miejsce w orszaku. Wystarczy nam jednokonny powóz. Ach, jakie to wszystko skomplikowane.

- To prawda - rzekła Lucy z powagą.

Charlotta, z twarzą zaczerwienioną z wysiłku, zapinała guziki sukni.

- Biedactwo - powiedziała, zerkając na Lucy. - Mam nadzieję, że Florencja cię nie nudzi. Powiedz słówko i zabiorę cię stąd na koniec świata.

- Dziękuję, Charlotto - odparła.

Czekały na nią dwa listy. Pierwszy, od brata, jak zwykle pełen radości i humoru. Drugi, od matki, informował o nowo kupionych krokusach, które miały być żółte, a okazały się fioletowe, o nowej pokojówce, która przez pomyłkę podlała paprocie lemoniadą, i o okropnych, dwurodzinnych domkach, które zbudowano na Summer Street, i które doprowadzały do rozpaczony sir Harry'ego Otwaya. Czytając ten list, Lucy poczuła ciepłą, pełną swobody atmosferę domu, gdzie każdy robił to, na co miał ochotę, gdzie nigdzie nie działo się nic złego. Droga wiodąca przez sosnowy las, jasny, wesoły salon, widok na Sussex Weald, wszystko to stanęło jej przed oczami, wyraźne i świetliste.

- Jakie wiadomości? - zapytała panna Barlett.

- Pani Vyse i jej syn wyjechali do Rzymu - odparła Lucy, wymieniając wiadomość, która najmniej ją interesowała. - Znasz Vyse'ów, Charlotto?

- Och, nie idźmy tędy, chodźmy przez Piazza Signora.

- To mili ludzie. Bardzo mądrzy, w moim rozumieniu tego słowa. Czy nie chciałabyś być w Rzymie?

- Ogromnie!

Piazza Signora to miejsce zbyt kamienne, by można je uznać za piękne. Brakuje mu trawy i kwiatów, nie ma też tam fresków, błyszczących marmurów ani błyszczących cegieł. Lucy rozejrzała się wokoło i zawołała gwałtownie:

- Charlotto! Już wiem! Mam pomysł. Jedźmy do Rzymu już jutro do hotelu Vyes'ów. Już wiem, co mi jest. Mam dość Florencji. Powiedziałaś, że zabierzesz mnie na koniec świata. Zrób to!

Panna Barlett odpowiedziała z równym ożywieniem.

- Ty trzpiotko! A co by się stało z naszą wycieczką?

Śmiejąc się z tej niepoważnej sugestii ruszyły w drogę powrotną, zostawiając Piazza Signora zastygły w swym posepnym pięknie.

ROZDZIAŁ VI: WIELEBNY ARTUR BEEBE, WIELEBNY CUTHBERT EAGER, PAN EMERSON, PAN GEORGE EMERSON, PANNA ELEONORA LAVISH, PANNA CHARLOTTA BARLETT I PANNA LUCY HONEYCHURCH JADĄ NA WYCIECZKĘ

Tego pamiętnego ranka do Fiesole wioził ich Faeton, poganiając szaleńczo konie swego pracodawcy z typowo młodzieńczym brakiem odpowiedzialności. Pan Beebe rozpoznał go od razu. Nie zmienił go Wiek Wiary ani Wiek Zwątpienia - był to Faeton w Toskanii, powożący bryczką. Była i Persefona, którą za ogólnym przyzwoleniem zabrał po drodze, zapewniając, że to jego siostra; blada Persefona, wysoka i smukła, powracająca wraz z wiosną do matki, wciąż jeszcze mrużąc oczy w blasku słońca. Pan Eager zaprotestował przeciwko dodatkowej pasażerce, ale damy wstawiły się za nią. Wyjaśniono dobitnie, jak wielka to łaska, i bogini mogła usiąść u boku woźnicy.

Ledwie ruszyli, Faeton przrzucił lewą wodzę ponad głowę dziewczyny tak, by móc powozić obejmując jej talię ramieniem. Nie zaprotestowała, pan Eager, który siedział tyłem do koni, nie widział tego niestosownego zachowania i nadal prowadził rozmowę z Lucy. Oprócz nich w powozie znajdowała się jeszcze panna Lavish i pan Emerson. Stała się bowiem rzecz straszna - pan Beebe, nie pytając pana Eagera o zdanie, podwoił liczbę uczestników wyprawy. Tak więc, kiedy przyszło do wsiadania, panna Barlett i panna Lavish straciły całkiem głowę, zaskoczone nową sytuacją. Panna Lavish usiadła w końcu z Lucy, a panna Barlett znalazła się w drugim powozie, razem z George'em Emersonem i panem Beebe'em.

Pan Eager był niepoczyszony takim obrotem sprawy. Lucy i panna Barlett miały pewien styl; pan Beebe, choć nieodpowiedzialny, był uzdolnionym człowiekiem. Ale ta nędzna pisarka i dziennikarz, który zamordował własną żonę - to nie było towarzystwo, którego szukał.

Lucy, odziana w biel, słuchając grzecznie pana Eagera, rzucając chłodne spojrzenia pannie Lavish i obserwując bacznie pana Emersona, który jak dotąd drzemał, usypiony obfitym lunchem i leniwą wiosenną atmosferą. Lucy uznała tę wyprawę za zrządzenie losu. Jak dotąd jednak udawało jej się unikać George'a Emersona. Dał jej otwarcie do zrozumienia, iż pragnie podtrzymać znajomość, ona zaś odrzuciła tę propozycję. Nie uczyniła tak z powodu niechęci, lecz dlatego, że nadal nie wiedziała, co naprawdę stało się między nimi owego pamiętnego dnia. Podejrzewała, że George wiedział i to ją przerażało.

Zrozumiała, że to, co naprawdę ważne, nie stało się w Loggii, ale potem, nad rzeką.

Stracić panowanie nad sobą w obliczu śmierci, to zrozumiałe. Jednak rozmawiać o tym potem, pozwolić na to pełne wzajemnego milczenia zrozumienie - było błędem, którego nie mogła złożyć na karb emocji, błędem podstawowym. W ich wspólnym zamyśleniu nad ciemniejącą rzeką, jak i we wspólnym powrocie do domu było coś godnego potępienia. Poczucie winy było z początku nieznaczące. Mało brakowało, a dołączyłaby do wycieczki do Torre del Gallo. A jednak za każdym razem, kiedy unikała George'a, czuła się zobowiązana do ponownego ukrycia się przed nim. A teraz ironia losu, skupiona w osobach jej kuzynki i obu pastorów, sprawiła, że nie było jej dane wyjechać z Florencji bez odbycia tej wycieczki na wzgórze.

Pan Eager zabawiał Lucy uprzejmą rozmową, najwyraźniej zapomniawszy już o niedawnej sprzeczce.

- Czy pani studiuje sztukę, panno Honeychurch? - zapytał.

- Skądże znowu!

- Może zatem podróżuje pani tak jak ja, jako badacz natury ludzkiej? - podsunęła panna Lavish.

- Jestem tu jako turystka.

- Och, doprawdy? - wykrzyknął pan Eager. - Proszę mi wybaczyć, ale muszę powiedzieć, że my, rezydenci, mamy dla turystów dużo współczucia. Przerzucają was z miejsca na miejsce jak paczki, wysyłają z Wenecji do Florencji, z Florencji do Rzymu, upychają w pensjonatach i hotelach. Wasza świadomość i wrażliwość nie wykracza poza bedeker, a waszym jedynym pragnieniem jest zobaczyć właśnie to, co „trzeba” i pędzić dalej. Tym właśnie są dla was podróże. Ha, ha!

- Zgadza się - powiedziała panna Lavish. - Ograniczenie i powierzchowność anglosaskich turystów to prawdziwa plaga.

- Otóż właśnie! Ale angielska kolonia we Florencji, panno Honeychurch, jest prawdziwie warta uwagi. Oczywiście nie w całości. Niektórzy Anglicy zamieszkali tutaj zajmują się handlem. Większość jednak stanowią studenci. Lady Helena Laverstock na przykład zajmuje się dziełami Fra Angelica. Właśnie mijamy jej willę, po lewej stronie. Nie, nie. Może ją pani zobaczyć tylko jeśli pani wstanie... Proszę nie wstawać, bo pani upadnie. Lady Laverstock jest bardzo dumna z tego żywopłotu. Idealne schronienie, w istocie. Będąc wewnątrz ma się wrażenie, że czas cofnął się o kilka stuleci. Niektórzy powiadają nawet, że jej ogród służył za scenę do Dekameronu, co dodaje jeszcze uroku, czyż nie?

- Och, to pasjonujące! - zawołała panna Lavish z uniesieniem.

- Proszę mi powiedzieć gdzie dokładnie rozgrywa się ta cudowna scena z dnia

siódmego?

Pan Eager informował już jednak pannę Honeychurch, że po prawej stronie drogi mieszka pan Jakiś Ktoś, Amerykanin w najlepszym znaczeniu tego słowa (prawdziwa rzadkość w dzisiejszych czasach), i że dom Jakichś Innych znajduje się nieco dalej w dole.

- Na pewno zna pani jej monografie, ukazały się w serii „Średniowieczne ścieżki”. Czasem, pijąc herbatą w ich pięknym domu, słyszę tramwaj przejeżdżający nieopodal, pełen spoconych, brudnych, tępych turystów, którzy spędzą w Fiesole godzinę czy dwie tylko po to, by móc powiedzieć, że tu byli... Myślę wówczas o tym... jak mało wiedzą o tym, co leży tak blisko, na wyciągnięcie ręki.

W czasie gdy pan Eager wygłaszał tę przemowę dwie postaci na koźle oddawały się bezwstydnym figlom. Lucy spojrzała na nich z zazdrością. Zachowywali się nieprzystojnie, zgoda, ale sprawiło im to wyraźną przyjemność. Co więcej, zapewne jako jedyni czerpali radość z całej wyprawy.

Powóz, podskakując szaleńczo, przemknął przez Piazza di Fiesole i wjechał w ulicę Settignano.

- Piano! Piano (Wolniej! Ostrożniej!) - zawołał pan Eager, machając dłonią.

- Va bene, signore, va bene, va bene! (Dobrze, panie, dobrze!) - zawołał śpiewnie Faeton i jeszcze popędził konie.

Pan Eager i panna Lavish rozmawiali o Alessio Baldovinettim, o tym, jakie miejsce zajmuje wśród mistrzów włoskiego renesansu. Drugi powóz pozostał daleko w tyle. Konie przeszły w galop i potężna, zmorzona snem postać pana Emersona poczęła uderzać w pastora z regularnością tłoka jakiejś wielkiej maszyny.

- Piano! Piano! - zawołał wielebny Eager ponownie i spojrzał na Lucy z udręką. Powóz zakołysał się gwałtownie. Faeton, który od dłuższego czasu usiłował pocałować Persefonę, właśnie dopiął swego.

To, co wydarzyło potem, było, jak powiedziała później panna Barlett, ogromnie nieprzyjemne. Pan Eager zatrzymał powóz, kazał wysiąść Persefonie i oznajmił surowo, że nie da woźnicy napiwku.

- To moja siostra - zawołał chłopiec, patrząc na nich z żalem.

Pan Eager nazwał go kłamcą. Faeton spuścił głowę, zmartwiony nie samym oskarżeniem, ale jego formą. Pan Emerson, który obudził się, gdy zatrzymano powóz, oznajmił kategorycznie, że kochanków nie wolno rozdzielać i dla potwierdzenia tej opinii poklepał Faetona po plecach. Również panna Lavish, z właściwą sobie wrażliwością, stanęła po stronie niesfornej dwójki, choć wcale nie pragnęła wspierać pana Emersona.

- Uważam, że należy zostawić ich w spokoju - oświadczyła. - Obawiam się jednak, że nie uzyskam wielkiego poparcia. Zawsze opowiadałam się przeciwko konwenansom. To właśnie nazywam przygodą.

- Nie wolno nam ustąpić - upierał się pan Eager. - Znam te sztuczki. Traktują nas, jakbyśmy byli bandą turystów od Cooka.

- Ależ nie, to nieprawda! - zawołała panna Lavish żarliwie.

W tym czasie pojawił się drugi powóz; pan Beebe był zdania, że po tym ostrzeżeniu para będzie zachowywać się jak należy.

- Niech ich pan zostawi - błagał pan Emerson. - Czy szczęście napotyka się tak często, że powinniśmy zrzucić je z kozła naszego powozu, jeśli akurat tam się usadowiło? Być wiezionym przez kochanków, sam król mógłby nam pozazdrościć! Rozdzielić ich to świętokradztwo!

Panna Barlett przerwała mu mówiąc, że zbierają się gapie.

Pan Eager zwrócił się ponownie do woźnicy. Język włoski, który w ustach Włochów jest jak rwący strumień pełen wodospadów i zdradliwych gazów, w ustach wielebnego Eagera przypominał jedynie kwaśną, piskliwą fontannę, wznoszącą się wyżej i wyżej, coraz szybciej i ostrzej, by zakończyć się niespodziewanie, bez żadnego uzasadnienia w intonacji.

- Signorina! - zawołał woźnica do Lucy, kiedy pastor zamilkł.

- Signorina! - powtórzyła Persefona cudownym kontraltem, wskazując, nie wiedzieć czemu, na drugi powóz.

Obie wpatrzyły się w siebie milcząco, po chwili Persefona zsiadła z kozła.

- Nareszcie zwycięstwo! - wykrzyknął pan Eager, kiedy ruszyli.

- To nie zwycięstwo - odparł pan Emerson. - To klęska. Rozdzielił pan dwoje szczęśliwych ludzi.

Pan Eager zamknął oczy. To, że siedział obok pana Emersona, nie było wystarczającym powodem, by z nim rozmawiać. Drzemka dodała jednak sił starszemu panu. Zmusił Lucy, by przyznała mu rację, po czym przekrzykując turkot kół pytał o zdanie syna.

- Próbowaliśmy kupić coś, czego kupić się nie da. Płacimy temu chłopcu tylko za to, że nas wiezie; jego dusza nie jest naszą własnością.

Panna Lavish zmarszczyła brwi. Co począć, kiedy osoba zakwalifikowana jako typowy przedstawiciel rasy brytyjskiej zaczyna nagle mówić rzeczy zupełnie nieoczekiwane?

- Nie powoził dobrze - powiedziała w końcu.

- Nie zgadzam się. Spało mi się doskonale. Za to teraz trzęsie nami jak może. Czy dziwi to panią? Najchętniej w ogóle by nas wyrzucił i, co gorsza, ma ku temu pełne prawo!

Nie wolno tak traktować młodych. Czy słyszała pani kiedyś o Lorenzo Medicim?

Panna Lavish podskoczyła.

- Czy słyszałam? O którym pan mówił? O Lorenzo Wielkim, o Lorenzu, księciu Urbino, czy o Lorenzo z powodu swego małego wzrostu zwanym Lorenzino?

- Bóg jeden wie - odparł pan Emerson nie tracąc animuszu. - Mówię o poecie. Napisał on: „Nie walcz z wiosną”, chyba jakoś tak, słyszałem to wczoraj.

Pan Eager nie potrafił zrezygnować ze sposobności wykazania się erudycją.

- „Non fate guerra al Maggio” - mruknął pan Eager. - Co znaczy dokładnie: „Z majem nie wojuj”.

- A my właśnie to czynimy. Spójrzcie! - ciągnął pan Emerson, wskazując na Val d'Arno leżącą daleko w dole, skapaną w pierwszej, delikatnej zieleni. - Pięćdziesiąt mil wiosny czeka na nasz zachwyt. Czy jest jakaś różnica między wiosną, która budzi się w naturze, i wiosną, która budzi się w człowieku? Otóż nie ma żadnej. My jednak wielbimy tę pierwszą i tępiemy drugą, zawstydzeni faktem, że te same prawa rządzą obiema.

Zapadło milczenie. Po chwili pan Eager dał sygnał do postoju i uroczyście zarządził przechadzkę. U ich stóp rozpościerała się dolina, schodząca łagodnie w dół niczym wielki amfiteatr, pełna bladozielonych drzewek oliwnych. Droga zakręcała łagodnie, oplatając dolinę niczym wielka wstęga. Na to właśnie miejsce, prawie pięćset lat temu, zwrócił uwagę Alessio Baldovinetti. Stojąc tu widział Val d'Arno i odległą Florencję, i je właśnie uwiecznił na swoim obrazie. Skąd jednak patrzył? Tę kwestię zamierzał rozwiązać pan Eager. Panna Lavish podzielała jego ciekawość.

Nie łatwo jest jednak zatrzymać w pamięci obrazy Baldovinettiego, nawet jeśli obejrzało się je przed wyjściem. Mgiełka zasnuwająca dolinę dodatkowo utrudniało zadanie. Uczestnicy wycieczki podzielili się na grupki. Lucy ruszyła za Charlottą o panną Lavish; Emersonowie zaczęli rozmawiać z woźnicą, obaj duchowni zadowolili się swoim towarzystwem.

Dwie starsze damy zaczęły rozmowę nie dotyczącą już Alessio Baldovinettiego, ścisząc głos w ten charakterystyczny, dobrze Lucy znany sposób. W czasie drogi panna Barlett zapytała George'a Emersona, czym się zajmuje. W odpowiedzi usłyszała, że młody pan Emerson pracuje na kolei. Na kolei! Gdyby wiedziała, że może usłyszeć coś tak okropnego, nigdy nie zadałaby tego pytania! Pan Beebe zrećźnie zmienił temat rozmowy, jest więc nadzieja, że chłopiec nie poczuł się dotknięty.

- Na kolei! - zawołała panna Lavish, wybuchając śmiechem. - Niech mnie diabli! Oczywiście, że na kolei. - Nie mogła powstrzymać wesołości. - Przecież z niego wykapany

bagażowy!

- Eleonoro, bądź cicho! - syknęła panna Barlett, ciągnąc ją za rękaw. - Jeszcze cię usłyszą!

- Trudno, nic na to nie poradzę. Bagażowy, bagażowy... - powtarzała panna Lavish, nie przestając chichotać.

- Eleonoro!

- Emersonowie nie usłyszą - wtrąciła Lucy. - A nawet gdyby usłyszeli, nie sądzę, żeby poczuli się dotknięci.

Panna Lavish nie była tym zachwycona.

- To panna Honeychurch słucha? - zawołała gniewnie. - Proszę stąd odejść!

- Lucy, kochanie, czy nie powinnaś być z panem Eagerem? - dodała Charlotta.

- Teraz już go nie znajdę, a poza tym wcale nie chcę go szukać - odparła Lucy.

- Pan Eager może poczuć się urażony. W końcu to dla ciebie urządził tę przejażdżkę.

- Ale ja wolałabym zostać z wami.

- To jak szkolna wycieczka. Chłopcy i dziewczyny oddzielnie.

Panna Lucy, proszę odejść, To, co tu mówimy, nie jest odpowiednie dla pani uszu - powiedziała panna Lavish stanowczo.

Lucy nie zamierzała jednak ustąpić. W miarę jak pobyt we Florencji dobiegał końca, czuła się dobrze jedynie w towarzystwie osób, które były jej obojętne. Taką osobą była panna Lavish, jak również, w tym momencie, Charlotta.

Żałowała, że zwróciła na siebie ich uwagę. Rozzłościła je obie swoim towarzystwem i najwyraźniej postanowiły jej się pozbyć.

- Życie jest czasem takie męczące - westchnęła panna Barlett. - Wiesz, Lucy, są chwile, kiedy żałuję, że nie ma tu twojej matki i Freddy'ego.

- Usiądźmy tutaj - powiedziała panna Lavish, widząc, że nie złamią uporą swą podopiecznej. - Spójrz, jaka jestem przewidująca. - Uśmiechając się z zadowoleniem wyciągnęła dwa nieprzemakalne kwadratowe kawałki materiału, takie, które chronią turystę przed wilgotną trawą i chłodem marmurowych schodów. Usiadła na jednym - dla kogo miał być drugi?

- Lucy, kochanie, siadaj. Ja siadę na ziemi - powiedziała Charlotta. - Od lat nie miałam reumatyzmu. Jeśli poczuję, że mi dokucza, to wstanę. Pomyśl, co by powiedziała twoja matka, widząc cię siedzącą na trawie w tej białej sukience. - To mówiąc usiadła ciężko w miejscu, które wydawało się szczególnie mokre. - No i proszę, siedzimy sobie wspaniale. Nie martw się, Lucy, mojej sukni nic się nie stanie. Jest bardzo cienka, ale za to brązowa. Siadaj,

kochanie, siadaj.

- Odkasznęła głośno. - Nie bój się, to nie przeziębienie. Mam tę chrypkę już od trzech dni.

To było jedyne możliwe wyjście z sytuacji. Po pięciu minutach Lucy odeszła, pokonana, by poszukać pana Beebe'a i pana Eagera.

Zwróciła się do woźniców, którzy palili leniwie cygara, rozparci w powozach. Faeton wstał na jej widok, witając ją z łaskawością księcia i serdecznością bliskiego krewnego.

- Dove? (Gdzie?) - zaczęła Lucy po namyśle.

Na jego twarzy pojawił się promienny uśmiech. Oczywiście, że wiedział, gdzie. Nie tak daleko, zapewnił, wykonując szeroki gest, który obejmował trzy czwarte horyzontu. Przyłożył palce do czoła i zmarszczył brwi.

Lucy gorączkowo szukała słów.

- Dove buoni uomini? (Gdzie dobry pan?) - zapytała w końcu. - Uno - piu - piccolo (Jeszcze - jedno - małe.) - dodała po chwili, gdy Faeton wskazał na swoje cygare.

- Czy otrzymał je pan od pana Beebe'a, tego niższego, jednego z dwóch towarzyszących nam wspaniałych ludzi?

Skinął głową i uśmiechając się promiennie, przywiązał konia do drzewa, nasadził mocniej kapelusz, musnął wąsy i zanim minęło ćwierć minuty, gotów był do drogi. Włosi to urodzeni przewodnicy. Wydaje się, że ziemia jest dla nich jak mapa, albo raczej jak szachownica, na której pionki poruszają się w znajomy, określony sposób.

Faeton zatrzymał się tylko raz, by zerwać dla Lucy kilka ogromnych fiołków. podziękowała z prawdziwą radością. U boku tego prostego człowieka świat wydawał jej się piękny i nieskomplikowany. Po raz pierwszy poczuła wiosnę. Wskazał na fiołki, które rosły tu w ogromnych ilościach i spojrzał na nią pytająco.

- Ma buoni uomini... (Dobry pan...) - odparła.

Skinął głową. Oczywiście. Dobry pan najpierw, potem fiołki. Przyspieszyli kroku, przedzierając się przez gęstą, wysoką trawę. Wokoło ciągnęło się morze zieleni, pocięte tu i ówdzie brązowymi smugami krzaków. Nie wyjmując z ust cygara Faeton torował Lucy drogę. Napawała się wolnością. Każdy krok, każda gałązka, były dla niej ważne.

- Co to było? - zapytała, słysząc daleko w tyle jakiś głos. - Czy to pan Eager? - Faeton wzruszył ramionami. Ignorancja Włochów jest czasem bardziej godna uwagi niż ich doświadczenie. Faeton nie potrafił zrozumieć, że być może rozminęli się z pastorem. Ich oczom ukazał się rozległy widok - Lucy dostrzegła rzekę, złocistą równinę i dalsze wzgórza.

- Ecco! (Otóż i on!) - zawołał.

Z ust Lucy wyrwał się okrzyk zachwytu. Znajdowała się na miniaturowej polance, pokrytej fiołkami. Otoczyły ją światło i piękno. Ruszyła przed siebie.

- Odwagi! - zawołał jej towarzysz, stojąc teraz jakieś sześć stóp powyżej. - Odwagi i miłości!

Nie odpowiedziała.

Stromy stok u jej stóp tonął w kwiatach. Fiołki spływały na dół strumieniami, opływając pnie drzew, gromadząc się w zagłębieniach i nawadniając stok błękitem.

Na przeciwległym brzegu, niczym pływak, który szykuje się do skoku, stał dobry pan. Nie był to jednak ten, którego Lucy szukała, był za to sam.

George odwrócił się słysząc jej nadejście. Przez chwilę stał nieruchomo, wpatrując się w nią z zachwytem. Jej twarz promieniała radością, fiołki rozbijały się o jej suknię jak niebieskie fale. Faeton zniknął niepostrzeżenie. George podbiegł do Lucy i pocałował ją. Zanim zdążyła powiedzieć czy nawet odczuć cokolwiek, ciszę, jaka zapadła wokoło, przerwało wołanie:

- Lucy! Lucy! Lucy!

Była to panna Barlett, znieruchomiała wśród zieleni jak brązowy posąg.

ROZDZIAŁ VII: POWRÓT

Zdawało się, że wszyscy przystąpili do udziału w jakiejś skomplikowanej grze. Jaka to była gra i jakie pozycje zajęli gracze - tego Lucy nie potrafiła zrozumieć. Najpierw odnalazł się pan Eager. Spojrzał na kuzynki podejrzliwie, ale Charlotta nie dała mu dojść do słowa, mówiąc bez przerwy, głośno i bez związku. Pan Emerson, który zbliżył się do nich szukając syna, został odesłany w bliżej niesprecyzowanym kierunku. Panu Beebe'owi, który pozostał neutralny, nakazano udać się do powozów i dopilnować, żeby były gotowe do powrotu. Powstało ogólne zamieszanie. Między nimi znajdował się pan - nie wielki bóg Pan, którego pochowano już dwa tysiące lat temu, ale bożek Pan, patron towarzyskich katastrof i nieudanych pikników. Pan Beebe zgubił się w drodze do powozów i w samotności skonsumował zawartość koszyka z prowiantem, który zabrał ze sobą jako miłą niespodziankę. Panna Lavish zgubiła pannę Barlett. Lucy zgubiła pana Eagera. Pan Emerson nie mógł znaleźć George'a, a panna Barlett swojej nieprzemakalnej podkładki. Faeton również przegrał.

Ten ostatni fakt nie ulegał wątpliwości. Faeton wspiął się na kozioł drząc i postawił kołnierz, prorokując pogorszenie pogody.

- Jedźmy natychmiast - rzekł. - Signorino pójdzie piechotą.

- Całą drogę? To mu zajmie parę godzin - powiedział pan Beebe.

- Bez wątplenia. Powiedziałem mu, że to nierozsądne - odparł, nie patrząc na nikogo.

Ta klęska bardzo go dotknęła. On jeden grał umiejętnie, używając całej swojej intuicji. On jeden domyślał się prawdy. Anglicy nie mają serca, nie widzą tego, co ważne.

Postanowiono jechać, nie czekając na młodego pana Emersona.

Panna Barlett spojrzała na woźnicę z niechęcią. Była pewna, że to jego czarna głowa mignęła w krzakach. Trzeba jak najszybciej wracać. Ten Włoch mógł zyskać niezłą historyjkę do opowiadania w tawernie. To jednak nie było najgorsze. Najważniejsza była opinia pensjonariuszy. Charlotta spojrzała na Lucy siedzącą u jej boku i na pana Eagera, który rzucał im obu podejrzliwe spojrzenia, i z ożywieniem zaczęła mówić o Alessio Baldovinettim.

Wraz z nastaniem zmroku zaczęło padać. Damy bezskutecznie usiłowały się schronić pod parasolką. Błyskawica rozdarła niebo, a zawtórował jej krzyk panny Lavish, która bała się burzy. Lucy drgnęła niespokojnie. Pan Eager pochylił się ku niej i rzekł:

- Odwagi, panno Honeychurch, odwagi! W tym szaleństwie żywiołów jest coś niemal bluźnierczego. Czy naprawdę spodziewa się pani, że te wszystkie chmury i cały ten

elektryczny bałagan jest po to, żeby nam zaszkodzić?

- Nie, oczywiście, ale...

- Nawet z naukowego punktu widzenia małe są szanse, abyśmy zostali porażeni. Stalowe noże, jedyne rzeczy, które mogłyby przyciągnąć prąd, są w drugim powozie. A poza tym, jesteśmy dużo bezpieczniejsi jadąc, niż gdybyśmy szli. Odwagi, odwagi!

Charlotta uściśnęła Lucy przyjacielsko. Nasza potrzeba ciepłych gestów bywa tak silna, że przyjmujemy je z radością, nie zastanawiając się nad ich prawdziwym znaczeniem ani nad ceną, jaką przyjdzie nam za nie zapłacić. Tym jednym uściśnięciem panna Barlett zyskała więcej, niż mogłyby jej dać długie kazania i krzyżowy ogień pytań.

Byli już niedaleko Florencji, kiedy oba powozy się zatrzymały.

- Panie Eager! - zawołał pan Beebe. - Czy mógłby pan do nas dołączyć? Potrzebujemy pana towarzystwa.

- George! - wykrzyknął pan Emerson. - Proszę zapytać waszego woźnicy, dokąd poszedł George. Mój chłopiec może zgubić drogę. Może mu się przydarzyć coś złego.

- Niech pan idzie, panie Eager - powiedziała panna Barlett. - Proszę nie pytać o nic woźnicy, on nic nie wie. Proszę iść i pomóc biednemu panu Beebe. stracił równowagę... Wcale mnie to nie dziwi.

- Może mu się coś stać! - wołał starzy pan. - Może mu się coś stać!

- Jakże typowe zachowanie - mruknął pan Eager i wysiadł z powozu.

- Co on wie? - wyszeptała Lucy, kiedy zostały same. - Co on wie Charlotto?

- Nic, kochanie. Zapewniam cię, że pan Eager nie wie o niczym. Za to ten Włoch... - wskazała na woźnicę - on wie wszystko. Wielki Boże, czy nie powinniśmy... czy nie powinnam - powiedziała zmieszana i sięgnęła po pieniądze. - To okropne, co musimy zrobić, ale on widział wszystko. Silenzio! (Cisza!) - powiedziała głośno i wręczyła Faetanowi zwinięty banknot.

- Va bene (Dobrze.) - zapewnił, chowając pieniądze do kieszeni. Lucy spuściła oczy.

Nagle tuż przed nimi rozległ się huk eksplozji. Piorun uderzył w linię tramwajową i jeden z wielkich słupów runął na ziemię. Gdyby nie pan Beebe, który zatrzymał ich przed chwilą, mogłoby dojść do poważnego wypadku. Zatrzymali się ponownie i wysiedli, krzycząc z radości i ściskając się wzajemnie.

Dziwny nastrój minął szybko. Panna Lavish pierwsza odzyskała równowagę. Włosi jednak siedzieli nieruchomo, bladzi z wrażenia.

- Charlotto, Charlotto! - zawołała Lucy niespodziewanie, jakby ten wypadek obudził w niej wyrzuty sumienia. Ostrzegałaś mnie, ale ja nie słuchałam.

- Nie płacz, kochanie. Uspokój się.

- Byłam głupia i uparta. To wszystko jest takie okropne... I jeszcze ten człowiek tam na placu. On nie umarł, prawda?

- Nie, kochanie, na pewno nie.

- To wszystko dzieje się tak niespodziewanie. Tym razem to moja wina. Zobaczyłam te fiołki i...

- Co było potem?

- Wiesz, co było.

Panna Barlett milczała.

- Chcę być szczerą - szepnęła Lucy drżąc. - Tak trudno jest mówić samą prawdę.

- Nie martw się, kochanie. Poczekaj, uspokój się. Porozmawiamy o tym później - powiedziała Charlotta, obejmując ją opiekuńczo.

Nastroje poprawiły się wraz z końcem burzy. Pan Emerson przestał się bać o syna, pan Beebe opowiadał coś wesołego, pan Eager sprzeczał się z panną Lavish. Dalsza podróż przeszła bez niespodzianek.

Reszta dnia minęła spokojnie. Lucy i Charlotta spędziły ją w salonie, słuchając panny Alan. Czas płynął powoli.

- Lucy, kochanie, chodź ze mną na górę, rozczeszę ci włosy - powiedziała w końcu Charlotta. Kiedy znalazły się w pokoju, zamknęła starannie drzwi i wskazała kuzynce wiklinowe krzesło.

- A więc, co zrobimy? - zapytała.

Lucy milczała, zaskoczona tym pytaniem.

- Co zrobimy, kochanie? - powtórzyła Charlotta. - To ty musisz zdecydować.

Deszcz szumiał za oknem, a wielki pokój wydawał się wilgotny i zimny. Mała świeczka migotała niespokojnie na komodzie, budząc ogromne, fantastyczne cienie. Na dole, w ciemnościach przejechał tramwaj. Lucy poczuła, że ogarnia ją wielki smutek. Podniosła w górę oczy, malowidła na suficie zdawały się wyblakłe i bezbarwne.

- Pada już od czterech godzin - powiedziała w końcu.

Panna Barlett zignorowała tę uwagę.

- Jak go uciszyć? - zapytała.

- Woźnicę?

- Nie, moja droga, mówię o George'u Emersonie.

Lucy wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju.

- Nie rozumiem, powiedziała w końcu.

- Co zrobić, żeby nie mówił o tym nikomu?

- Sądzę, że nigdy tego nie zrobi.

- Chciałabym mieć taką nadzieję. Niestety, spotkałam już w życiu podobnych mężczyzn i ... rzadko kiedy zatrzymują oni swoje wyczyny dla siebie.

- Wyczyny? - zawołała Lucy, wzburzona tym określeniem.

- Moje ty biedactwo, czy sądzisz, że jesteś pierwszą osobą, którą tak potraktował? Nie jestem pruderyjna i nie chcę go odsądzać od czci i wiary, ale z pewnością jest to człowiek całkiem pozbawiony ogłady. Złóżmy to na karb jego przeszłości i edukacji, jaką odebrał. Co jednak proponujesz zrobić?

- Czy nie można by z nim porozmawiać? - powiedziała Lucy.

Charlotte spojrzała na nią ze zgrozą.

- Czy zamierzasz go błagać, żeby nie rozpowiadał o tym, co się stało?

- Oczywiście, że nie. Myślę, że nie będzie sprawiał trudności.

- Moja droga, jesteś taka niedoświadczona. Nawet nie wiesz, jacy potrafią być mężczyźni. Pomyśl, co by się stało dzisiaj, gdybym nie przyszła w porę?

- Nie wiem - odparła Lucy ponuro.

Coś w jej głosie sprawiło, że panna Barlett powtórzyła pytanie.

- Co by się stało, gdybym nie przyszła?

- Nie wiem - zawołała Lucy ponownie, podchodząc do okna.

- Odejdź od okna, kochanie. Ktoś może cię zobaczyć z ulicy.

Lucy posłuchała.

- Jaka szkoda, że nie ma tu twojego brata! - ciągnęła dalej panna Barlett. - Jesteśmy bezradne. Pan Beebe ani pan Eager na nic się tu nie zdadzą. Ale twój brat! Jest młody, lecz jestem pewna, że stanąłby dzielnie w twojej obronie. Chwała Bogu, że są jeszcze na tym świecie prawdziwi mężczyźni, którzy wiedzą, że należy szanować kobiety... W jutrzejszym porannym pociągu może być tłok - dodała niespodziewanie.

- W jakim pociągu?

- W pociągu do Rzymu, ma się rozumieć. Odjeżdża o ósmej rano.

- Signora nie będzie tym zachwycona.

- Trudno - odrzekła Charlotte.

- Każe nam zapłacić za resztę tygodnia.

- Wiem o tym. Myślę jednak, że będzie nam dużo lepiej w Rzymie. Poza tym, w hotelu, w którym zatrzymali się Vyse'owie, nie trzeba płacić za popołudniową herbatę. Moja droga, nie ma na co czekać.

To mówiąc, Charlotta uklękła przy pustym kufrze i przystąpiła do pakowania, wzdychając ciężko od czasu do czasu. Lucy uklękła obok kuzynki i objęła ją ramieniem, powodowana dziwnym impulsem, którego sama nie umiałaby sobie wytłumaczyć. Ogarnęła ją nagle przemożna potrzeba ludzkiego ciepła.

Panna Barlett odwzajemniła uścisk, była jednak na tyle doświadczona, by się domyślać, co dzieje się w duszy jej młodej kuzynki.

- Najdroższa Lucy, czy kiedykolwiek mi wybaczysz? - zapytała po chwili milczenia.

Lucy wiedziała doskonale, co to znaczy przebaczać Charlotcie.

Odsunęła się od niej i zapytała ostrożnie:

- Charlotto, co masz na myśli?

- Wiem, jak bardzo cię irytuję swoim zachowaniem.

- Ależ...

- Cała nasza podróż - ciągnęła panna Barlett, nie dając Lucy dojść do słowa - jest klęską. Powinna była przewidzieć, że tak się stanie. Potrzebny ci ktoś młodszy, ktoś, kogo naprawdę lubisz. Ja jestem zbyt nudna i staromodna.

- Proszę...

- Jediną pociechą jest to, że znalazłaś towarzystwo, które bardziej ci odpowiadało, i mogłaś spędzić część czasu beze mnie. Mam swoje własne poglądy na temat tego, jak powinna zachowywać się dama. Mam jednak nadzieję, że nie starałam się ich zbyt mocno narzucać.

- Nie wolno ci mówić takich rzeczy - przerwała jej Lucy miękko.

Pakowały się dalej w milczeniu.

- Przebrałam - odezwała się Charlotta po chwili. - Nie wywiązałam się z obowiązków, jakie wzięłam na siebie przed twoją matką. Była dla mnie taka hojna. Nigdy, nigdy nie spojrzę jej w oczy po tej klęsce.

- Przecież mama wszystko zrozumie. A poza tym, to co się stało, nie stało się z twojej winy.

- Nie, nie masz racji. To moja wina. Twoja matka nigdy mi nie wybaczy i będzie miała rację. Czy miałam prawo zaprzyjaźnić się tak bardzo z panną Lavish?

- Oczywiście, że tak.

- Irytowałam cię i zaniedbywałam. Twoja matka zrozumie to, kiedy jej opowiesz.

- A dlaczego moja matka miałaby dowiedzieć się o czymkolwiek? - zaproponowała Lucy żywo.

- Przypuszczam, że mówisz jej o wszystkim.

- Najczęściej tak.

- No cóż, nie mogę cię do niczego zmuszać. Skoro uważasz, że nie powinnaś mówić matce o tym, co się stało...

- Charlotta, nie powiem o tym matce ani nikomu. Nie chcę, żeby winą za to, co się stało, obarczono ciebie.

Panna Barlett spojrzała na nią z wdzięcznością, pocałowała lekko w oba policzki i życząc jej dobrej nocy, odesłała do pokoju.

Zachowanie George'a wydawało się niewybaczalne - tak przynajmniej należało sądzić. W obecnej chwili nie potrafiła ani wybaczyć mu, ani go oskarżyć; nie miała własnego zdania. Ponad jej myślami górował głos Charlotty. Charlotta dominowała nad wszystkim. Nawet teraz jej westchnienia dobiegały do sypialni Lucy przez ścianę. Panna Barlett działała niczym wielka artystka. Przez długi czas - a właściwie przez długie lata - jej obecność wydawała się nieistotna. Lecz na koniec ukazał się Lucy kompletny obraz smutnego, pozbawionego miłości świata, w którym młodzi popadają w kłopoty, dopóki nie nabiorą doświadczenia, obraz świata pełnego wstydu, zakazów i barier, które być może pozwolą uniknąć zła, ale na pewno nie przynoszą dobra.

Lucy wyrządzono najgorszą z krzywd, jakie można wyrządzić na tym świecie. Jej szczerłość, pragnienie przyjaźni i miłości zostały wykorzystane. Takiej krzywdy nie zapomina się łatwo. Lucy wiedziała, że już nigdy więcej nie odsoni się tak lekkomyślnie i nieostrożnie. Krzywda, taka jak ta, może mieć niszczący wpływ na psychikę.

Dzwonek do drzwi wejściowych przerwał jej rozmyślenia. Ruszyła w stronę okna, po czym zawróciła i zgasła świeczkę. George, który dopiero teraz dotarł do pensjonatu, stał na dole i patrzył na okno jej pokoju.

Pomyślała, że mogłaby wyjść na korytarz, kiedy będzie mijał jej drzwi, i powiedzieć mu, że wyjeżdża jutro rano, i że tym samym ich niezwykła znajomość dobiega końca. Zanim jednak zdołała postanowić cokolwiek, usłyszała, że drzwi pokoju Charlotty się otwierają.

- Czy mogę zamienić z panem słowo w salonie, panie Emerson? - usłyszała.

Jakiś czas potem ich kroki rozległy się ponownie i głos panny Barlett powiedział:

- Dobranoc, panie Emerson.

Jego ciężkie westchnienie było jedyną odpowiedzią. Przyzwoitka spełniła swą powinność.

- To wszystko nieprawda, nieprawda! - zawołała Lucy z rozpaczą. - Chcę wiedzieć, o co chodzi, chcę już być dorosła.

Panna Barlett zapukała przez ścianę.

- Lucy, kochanie, idź natychmiast do łóżka! Potrzebujesz wypoczynku.
Nazajutrz rano wyjechały do Rzymu.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ VIII: CZŁOWIEK ŚREDNIOWIECZNY

Zasłony w salonie w Windy Corner zaciągnięto szczelnie, by uchronić nowy dywan przed sierpniowym słońcem. Były to ciężkie zasłony, sięgające prawie do podłogi, a światło przedostawało się przez nie z trudem. Poeta, gdyby był obecny, zacytowałby: „Życie niczym gmach z barwnego szkła...” lub porównałby zasłony do bram śluzy, opuszczonych, by powstrzymać ten nieznośny przyptyw nieba. Na zewnątrz rozlewało się morze światłości, wewnątrz blask, choć widoczny, został ograniczony do przyswajalnej dla człowieka formy.

W pokoju znajdowały się dwie osoby. Dziewiętnastoletni chłopiec studiował mały podręcznik anatomii i co jakiś czas spoglądał na kość, leżącą na pianinie. Pojękiwał głośno i sapał, wierząc się na krześle, bo dzień był gorący, litery w książce bardzo drobne, a budowa ciała ludzkiego niemożliwie skomplikowana. Co gorsza, jego matka, pisząca list, odczytywała na głos jego fragmenty, pytając go o zdanie, a co jakiś czas wstawiała, podchodziła do okna, rozchyłała zasłony i wzdychała: „Wciąż jeszcze tam są”.

- Naprawdę? - zawołał chłopiec, kiedy obwieściła ten fakt po raz kolejny. - Wiesz, robi mi się niedobrze, jak tego słucham!

- Naprawdę?! Freddy, na litość boską, jeśli jest ci niedobrze, natychmiast wyjdź z salonu! - zawołała pani Honeychurch z udanym przerażeniem. W ten sposób usiłowała oduczyć swoje dzieci podobnych wyrażań.

Freddy nie odpowiedział.

- Wydaje mi się, że rzecz ma się ku końcowi - dodała pani Honeychurch.

- Trochę czasu im to zajęło - odparł chłopiec.

- Cieszę się, że Cecil podjął jeszcze jedną próbę.

- Dwa razy mu nie wyszło...

- Freddy, sposób, w jaki to mówisz, jest niedelikatny.

- Nie miałem zamiaru być niedelikatny. Uważam jednak, że Lucy już dawno mogła mieć to za sobą. Nie wiem, jak dziewczęta załatwiają te sprawy, ale jeżeli chciała powiedzieć „nie”, mogła to zrobić we Włoszech. Czuję się dość niezręcznie w tej sytuacji.

- Naprawdę, kochanie? To ciekawe!

- Czuję się, jak... nieważne zresztą jak - powiedział i ponownie zajął się czytaniem.

- Posłuchaj, co napisałam do pani Vyse: „Droga pani Vyse...”

- Tak, mam, słyszałem już to.

- Napisałam: „Droga pani Vyse, Cecil właśnie prosił mnie o zgodę i będę szczęśliwa,

jeżeli Lucy przyjmie jego oświadczenia. Uważam jednak...” - przerwała czytanie. - Wiesz, Freddy, byłam naprawdę zdziwiona, że Cecil w ogóle pyta mnie o zdanie. Wydawało mi się, że nie jest staromodny. Tymczasem, kiedy przyszło co do czego, prosi mnie o zgodę.

- Mnie również.

- Ciebie?

Freddy przytaknął.

- Co przez to rozumiesz?

- To, co mówię. Zapytał, czy się zgadzam.

- To przedziwne!

- A to dlaczego? Moja opinia chyba też się liczy.

- A cóż ty wiesz o dziewczętach czy o czymkolwiek? No, i co mu powiedziałaś?

- Powiedziałem: „Żeń się z nią, albo nie, to nie moja sprawa!”

- Świetna rada! - zawołała pani Honeychurch, choć jej własna odpowiedź, mimo że bardziej oględna, miała podobny wydźwięk.

- Problem w tym, że... - zaczął Freddy i przerwał, jakby nie miała odwagi powiedzieć głośno tego, co myśli. Jego matka podeszła do okna.

- Freddy, to niemożliwe! Oni cały czas tam siedzą!

- Mamo, przestań wyglądać przez to okno!

- Czy nie mam już prawa patrzeć przez własne okno? - zawołała. Po chwili wróciła jednak do stołu. - Na której stronie jesteś? Wciąż na trzysta dwudziestej drugiej?

Freddy parsknął i demonstracyjnie przewrócił parę kartek. Oboje zamilkli na chwilę. Z zewnątrz dobiegał szmer przeciągającej się rozmowy.

- Chodzi o to, że... - odezwał się chłopiec i przełknął nerwowo ślinę. - Chodzi o to, że Cecil nie zadowolili się moją zgodą. To znaczy tym, że nie mam nic przeciwko temu. On chciał wiedzieć, czy się cieszę! Czy to nie wspaniałe, dla Lucy i dla całego Windy Corner, że zwrócił na nas uwagę!

- Mam nadzieję, że nie powiedziałaś niczego niemądrego, kochanie?

- Powiedziałem, że wcale się nie cieszę - odparł Freddy zgrzytając zębami. - No i proszę! Wściekł się! To nie moja wina. Nie powinien mnie o to pytać.

- Niemądre dziecko! Myślisz, że jesteś taki szczerzy i wspaniały? To próżność, próżność! Czy sądzisz, że ktoś taki jak Cecil bierze sobie do serca twoją gadaninę? Mam nadzieję, że natarł ci uszu! Jak mogłeś powiedzieć coś podobnego?

- Daj spokój, mamo! Musiałem to powiedzieć. Próbowałem obrócić to w żart, a Cecil roześmiał się i odszedł, może więc nie wziął tego poważnie.

- Nie, Freddy. Tego już za dużo. Wiesz, co stało się między nimi w Rzymie, wiesz, dlaczego on jest teraz tutaj, a mimo to z całą premedytacją starasz się go obrazić i sprawić, żeby opuścił mój dom.

- Wcale nie! - zawołał. - Dałem tylko do zrozumienia, że go nie lubię. Chodzi mi o to, że on powie o tym Lucy - powiedział ze złością i spojrzał na zasłonięte okno.

- Jeżeli o mnie chodzi, lubię Cecila - odparła pani Honeychurch. - Znam jego matkę; on sam zaś jest dobry, mądry, bogaty i wysoko ustosunkowany. Nie musisz kopać pianina, Freddy... Powtarzam jeszcze raz: jest wysoko ustosunkowany. I ma takie wspaniałe maniery.

- Lubilem go aż do tej pory. Ale, mamó, on psuje Lucy pierwszy tydzień w domu. Pan Beebe nieświadomie powiedział o nim coś bardzo trafnego.

- Pan Beebe? - powtórzyła pani Honeychurch, usiłując ukryć zainteresowanie. - Cóż takiego powiedział?

- Wiesz, w jaki sposób on się wysławia. Nigdy do końca nie wiadomo, o co mu chodzi. Powiedział, że: „Pan Vyse to urodzony stary kawaler”, a kiedy zapytałem, co ma na myśli, dodał: „Tak samo jak ja, stworzony jest do wyższych celów”. Nie powiedział nic więcej, ale nawet to dało mi do myślenia. Cecil po prostu mnie drażni, nie umiem tego inaczej wytłumaczyć.

- Oczywiście, że nie umiesz, kochanie. Pozwól, że zrobię to za ciebie. Zazdrościsz Cecilowi, ponieważ może on przyczynić się do tego, że Lucy nie będzie ci więcej robiła krawatów na drutach.

To wyjaśnienie wydało się Freddy'emu możliwe do przyjęcia. W głębi duszy jednak czuł nieufność. Cecil pysznił się swoją atletyczną budową, narzucał innym własny sposób mówienia, był męczący. Freddy rozumiał, że powoduje nim zazdrość. Czy w przeciwnym przypadku mógłby nie lubić kogoś z takich głupich powodów?

- Może być tak? Posłuchaj jeszcze raz - zawołała pani Honeychurch. - „Droga pani Vyse, Cecil właśnie poprosił mnie o zgodę i będę szczęśliwa, jeśli Lucy przyjmie jego oświadczenia, co jej zresztą powiedziałam.” Muszę przepisać ten list od nowa. „...co jej zresztą powiedziałam. Lucy jednak aha się, a w dzisiejszych czasach młodzi powinni sami podejmować takie decyzje”. Napisałam tak, bo nie chcę, żeby myślała, że jesteśmy staromodni. Wiesz, pani Vyse jest nowoczesną kobietą. Chodzi na wykłady, pod każdym łóżkiem ma warstwę kurzu i ślady brudnych palców pokojówki na kontaktach elektrycznych. Jej mieszkanie...

- Właśnie. Przypuśćmy, że Lucy wyjdzie za Cecila - czy będzie wtedy mieszkać na wsi czy w mieście?

- Nie przerywaj mi w taki niemądry sposób, Freddy. Gdzie to ja byłam? Acha, już wiem! „... młodzi powinni sami podejmować takie decyzje. Wiem, że Lucy lubi pani syna, bowiem moja córka mówi mi o wszystkim, co dla niej ważne. Napisała do mnie z Rzymu, kiedy po raz pierwszy jej się oświadczył”. Chyba wykreślę to ostatnie zdanie, brzmi protekcyjnie. Zostawię tylko: „mówi mi o wszystkim, co dla niej ważne”. Czy to też mam wykreślić?

- Tak, wykreśl to - powiedział Freddy, jego matka jednak zmieniła zdanie i postanowiła zostawić ostatnie słowa.

- Przeczytam ci jeszcze raz od początku. „Droga pani Vyse, Cecil właśnie poprosił mnie o zgodę i będę szczęśliwa, jeśli Lucy przyjmie jego oświadczenia, co jej zresztą powiedziałam. Lucy jednak waha się, a w dzisiejszych czasach młodzi sami powinni podejmować takie decyzje. Wiem, że Lucy lubi pani syna, bowiem moja córka mówi mi o wszystkim, co dla niej ważne. Nie wiem jednak, czy...”

- Patrz! - zawołał Freddy.

Zasłony rozchyliły się gwałtownie i do pokoju wszedł Cecil. Jak można siedzieć w ciemności tylko dlatego, że słońce niszczy meble, tego młody pan Vyse nie był w stanie zrozumieć. Dlatego też wchodząc, instynktownie rozsunał ciężkie zasłony. Światło zalało pokój, a za oknem ukazał się taras, taki jaki widuje się przy wielu willach, z rzędem drzew po obu stronach, prostą ławką i dwiema symetrycznymi grządkami kwiatów. Rozległy trawnik zdawał się unosić w drżącym z gorąca powietrzu niczym magiczny, zielony dywan.

Cecil, choć pojawia się w naszej historii dość późno, zasługuje na dokładny opis. Jest to postać średniowieczna i gotycka. Wysoki, dystyngowany, o ostrej linii ramion i wysoko uniesionej głowie, przypomina figury świętych, które strzegą wejścia do francuskich katedr. Cóż, kiedy gotycka rzeźba sama przez się implikuje celibat, tak jak grecka jest symbolem płodności. Może właśnie to miał na myśli pan Beebe, mówiąc o Cecilu, a Freddy, który miał w pogardzie historię i sztukę, mógł instynktownie dojść do podobnego wniosku.

- Cecil! - zawołała pani Honeychurch, wstając od stołu. - Mów, proszę, mów!

- I promessi sposi - odparł młody pan Vyse i widząc, że nie rozumieją, dodał: - Przyjęła mnie.

Dźwięk tych słów, wypowiedzianych po angielsku, sprawił, że pan Vyse zarumienił się i przybrał bardziej ludzki wygląd.

- Tak się cieszę! - zawołała pani Honeychurch.

Freddy wyciągnął niechętnie poplamioną chemikaliami rękę. Żadne z nich nie znało włoskiego, a tak trudno jest wyrazić akceptację i zachwyt we własnym języku, którego używa

się w bardziej prozaicznych sytuacjach dnia codziennego.

- Witaj w rodzinie, Cecilu! To radosny dzień dla nas wszystkich. Jestem pewna, że ty i Lucy będziecie szczęśliwi.

- Mam nadzieję - odparł Cecil, wznosząc oczy do sufitu.

- My, matki - zaczęła pani Honeychurch i przerwała, zdając sobie sprawę, że to, co mówi, jest afektowne i sentymentalne. Spojrzała na Freddy'ego, który stał sztywno wyprostowany pośrodku pokoju z gniewną twarzą.

- Lucy, przyjdź tu, proszę! - zawołał Cecil, by przerwać niezręczną ciszę.

Lucy wstała i ruszyła w stronę domu, uśmiechając się do nich, tak jakby właśnie miała zamiar zaproponować im wspólną grę w tenisa. Podeszła do Freddy'ego i wzięła go za ramiona.

- Uspokój się - powiedział cicho.

- A mnie nie pocałujesz? - zawołała pani Honeychurch. Lucy podeszła do matki i uścisnęła ją mocno.

- Mogłabyś pójść z nimi do ogrodu i opowiedzieć pani Honeychurch o wszystkim? Ja zostanę tutaj, żeby napisać do matki - powiedział Cecil.

- Już idziemy - odrzekł Freddy posłusznie i wszyscy troje wyszli na zalany słońcem taras. Cecil patrzył za nimi. Wiedział, że miną krzewy, trawnik i grządki z daliami i dopiero wtedy, wśród pomidorów i fasoli, omówią to wielkie wydarzenie. Na jego twarzy pojawił się pobłażliwy uśmiech. Wciąż odwrócony w stronę okna zapalił papierosa i przebiegł myślą wydarzenia, które zakończyły się tak szczęśliwie.

Znał Lucy od wielu lat, od niedawna jednak wydawała mu się przeciętną, choć obdarzoną muzycznym talentem, osobką. Wszystko zmieniło się tego lata, kiedy ona i jej okropna kuzynka pojawiły się niespodziewanie w Rzymie i kazały się zaprowadzić do Świętego Piotra. Wydała mu się wtedy typową turystką - piskliwą, chudą i pokrytą kurzem podróżnym. Potem jednak zaszła w niej zaskakująca zmiana, tak jakby Włochy wypełniły ją światłem i, co najważniejsze, cieniem. Była jak kobieta Leonarda da Vinci, którą kochamy nie tyle dla niej samej, ile dla jej milczenia. Zmiany w jej charakterze zachodziły niemal z dnia na dzień.

Miejsce chłodnej uprzejmości Cecila zajęło wkrótce żywe zainteresowanie. Już w Rzymie dał jej do zrozumienia, że tworzyliby dobrą parę. Odmówiła delikatnie, ale i kategorycznie i, kiedy padły już te straszne słowa, traktowała go jak dawniej. Trzy miesiące później, wśród zielonych szczytów alpejskich, ponowił propozycję w najbardziej suchy i tradycyjny sposób. Bardziej niż kiedykolwiek przypominała mu obrazy Leonarda; niezwykle

skąły rzucały cień na jej opaloną twarz; kiedy przemówił, obróciła się i stała tak pomiędzy nim a światłem, a za nią ciągnęły się niezmiernie doliny, Wrócił z nią do domu bez zakłopotania, nie czując się wcale jak odrzucony konkurent. To, co naprawdę ważne, pozostało nienaruszone. Teraz poprosił ją po raz trzeci i przyjęła go, tak samo łagodnie, jak przedtem odrzucała, nie tłumacząc niczym swoich poprzednich decyzji. Powiedziała, że go kocha i uczyni wszystko, aby był szczęśliwy.

Jego matka również byłaby zadowolona; prosił ją o radę w tej sprawie. Musi napisać do niej długi list.

Spojrzał na swą rękę, sprawdzając, czy nie znalazły się na niej chemikalia Freddy'ego, i podszedł do stołu. „Droga pani Vyse” - przeczytał i cofnął się gwałtownie. Po chwili wahania usiadł na krześle w odległym końcu pokoju i położywszy kartkę na kolanie, zaczął pisać.

Po chwili przerwał, by zapalić drugiego papierosa. Nie smakował już tak jak poprzedni. Rozejrzał się krytycznie po salonie. Jego wzrok ponownie padł na stół. List pani Honeychurch... Nie chciał go czytać, nigdy nie poddawał się takim pokusom. Mimo to martwił się, że matka Lucy pisała o nim. Sam zresztą dostarczył temu powodu, wszak prosił ją o zgodę, zanim podjął trzecią próbę. Chciał wiedzieć, że otoczenie, jakiegokolwiek by było, udziela mu poparcia. Pani Honeychurch była uprzejma, choć niezbyt wylewna, Freddy natomiast...

- To jeszcze chłopiec - powiedział Cecil do siebie. - Reprezentuję to wszystko, co on odrzuca. Dlaczego miałby się cieszyć z takiego szwagra?

Rodzina Lucy była zamożna, lecz raczej przeciętna. Cecil zrozumiał jednak szybko, że jego narzeczona ulepiona jest z innej gliny. Już wkrótce wprowadzi ją w bardziej odpowiednie towarzystwo.

- Pan Beebe - obwieściła pokojówka i do pokoju wszedł nowy proboszcz Summer Street.

Cecil spojrzał na niego krytycznie.

- Przyszedłem na herbatę, panie Vyse - powiedział przybyły. - Czy sądzi pan, że uda mi się ją dostać?

- To prawdopodobne - odrzekł Cecil. - W tym domu karmią każdego, kto przychodzi. Proszę nie siadać na tym krześle, młody Honeychurch zostawił na nim kość.

- Okropne!

- Tak, ja również nie rozumiem, jak pani Honeychurch może pozwalać na coś podobnego.

- Przyszedłem na herbatę i na plotki, panie Vyse. Tak, to ważna wiadomość.

- Wiadomość? Nie rozumiem pana - odparł Cecil sztywno. - Jaką wiadomość ma pan na myśli?

Pan pochylił się ku niemu z uśmiechem.

- Idąc tutaj spotkałem sir Harry'ego Otwaya. Wygląda więc na to, że jestem pierwszy! Sir Otway kupił od pana Flacka „Cissie” i „Alberta”.

- Doprawdy? - rzekł Cecil, przeklinając własną podejrzliwość. Co za groteskowa pomyłka! Jak mógł przypuszczać, że duchowny i dżentelmen czyniłby tak bezceremonialne uwagi o jego zaręczynach! Skwapliwie zapytał, kim są „Cissie” i „Albert”.

- Co to za pytanie! Spędzić tydzień w Windy Corner i nie wiedzieć, że „Cissie” i „Albert” to dwie bliźniacze wille, które zbudowano naprzeciwko kościoła! Powiem o tym pani Honeychurch.

- Nigdy nie orientuję się w tych sprawach. Nie potrafię odróżnić Rady Parafii od Rady Gminy, jeśli jest jakaś różnica. Przyjeżdżam na wieś, by odwiedzać przyjaciół i podziwiać przyrodę. Londyn i Włochy to jedyne miejsca, w których jestem tolerowany.

Pan Beebe spiesznie zmienił temat zmartwioną reakcją Cecila.

- Proszę mi powiedzieć, panie Vyse, jaki jest pana zawód?

- Nie mam żadnego zawodu. To kolejny przykład mojej dekadencji. Jestem głęboko przekonany, że dopóki nie przeszkadzam nikomu swoją osobą, mam prawo robić to, co mi odpowiada. Wiem, powinienem zdobywać pieniądze i poświęcić się rzeczom, o które nie dbam ani trochę. Cóż, kiedy do tej pory nie udało mi się tego dokonać.

- Zazdroszczę panu - powiedział pan Beebe, uśmiechając się z przymusem. - To wspaniałe, jeśli można nic nie robić. - W głębi ducha żywił przekonanie, że każdy człowiek powinien mieć jakieś zajęcie.

- Cieszę się, że pan to mówi. Wolę nie myśleć, co powiedziałby ktoś inny, na przykład Freddy Honeychurch.

- Och, Freddy to dobry chłopiec, nieprawdaż?

- W istocie. Tacy jak on uczynili Anglię tym, czym jest - odparł Cecil i w następnej chwili pożałował swoich słów. Dlaczego akurat dzisiaj musiał zachować się w taki sposób? By zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, zaczął z ożywieniem wypytywać o matkę pana Beebe'a, starą damę, której prawie nie znał. Nie omieszkał również pochwalić liberalnych poglądów proboszcza i jego światłego spojrzenia na filozofię i naukę.

- Gdzie są wszyscy? - zapytał w końcu pan Beebe. - Chciałbym napić się herbaty przed wieczorną mszą.

- Przypuszczam, że Anna nie powiadomiła ich jeszcze o pana przybyciu. Służba w tym domu zawsze zachowuje się w ten sposób. Wszystko, co mówi się do Anny, trzeba powtarzać dwa razy, a poza tym ona wpada na każdy mebel, jaki znajdzie się na jej drodze. Jeśli chodzi o Marię... Nie pamiętam w tej chwili jej wad, ale na pewno ma ich wiele. Czy możemy poszukać kogoś w ogrodzie?

- Maria zostawia śmietniczki pośrodku schodów.

- Eufemia z kolei robi skwarki wielkości kotleta.

Obydwaj wybuchnęli śmiechem.

- Freddy... - zaczął Cecil.

- Ach, Freddy ma wiele wad. Nikt, oprócz jego matki nie potrafi wymienić ich wszystkich. Panna Honeychurch ma ich zdecydowanie mniej.

- Nie ma żadnych - przerwał mu Cecil za śmiertelną powagą.

- Zgoda. Teraz nie ma żadnych.

- Teraz?

- Nie mówię tego cynicznie. Mam pewną teorię na temat panny Honeychurch. Proszę powiedzieć, jak to możliwe, że żyjąc tak, jak żyje, gra w taki niezwykły sposób? Jestem pewien, że któregoś dnia jej życie stanie się równie niezwykłe jak gra. Muzyka i życie połączą się i staną jednym... Wówczas będzie heroicznie dobra, by być złą czy dobra.

Cecil spojrział na proboszcza z zaciekawieniem.

- A więc teraz, jeżeli chodzi o tę życiową stronę, panna Honeychurch nie wydaje się godna uwagi? - zapytał.

- No cóż, widziałem ją tylko w Tunbridge Wells i we Florencji, i nie wydała mi się zbyt interesującą osobą. Kiedy przyjechałem tutaj, była jeszcze w podróży. O ile się nie mylę, pan spotkał ją w Rzymie. Prawda, pan znał ją już wcześniej! Nie, we Florencji nie wydała mi się interesująca, choć cały czas miałem nadzieję, że będzie inaczej.

- W jakim sensie?

Przechadzali się tam i z powrotem po terasie, coraz bardziej zainteresowani rozmową.

- Równie dobrze mógłby mnie pan zapytać, jaki utwór zamierza zagrać w najbliższym czasie. Miałem po prostu wrażenie, że zyskała skrzydła i zamierza ich użyć. W moim dzienniku z Florencji znajduje się taki śliczny obrazek: panna Honeychurch jak latawiec, którego sznurek trzyma panna Barlett. Obrazek numer dwa: latawiec ucieka do nieba, panna Barlett zostaje ze sznurkiem w dłoni.

- Czy tak się rzeczywiście stało? - zapytał Cecil.

- Nie sądzę.

- Teraz więzy są zerwane - powiedział młody człowiek głębkim głosem. W tej samej chwili zrozumiał, że spośród wszystkich absurdalnych i godnych pogardy sposobów obwieszczania zaręczyn wybrał ten najgorszy. Przeklinał swoje zamiłowanie do przenośni. Czyżby zasugerował, że to on jest niebem, do którego wznosi się Lucy?

- Więzy? Co ma pan na myśli? - dopytywał się pan Beebe.

- Chciałem powiedzieć, że właśnie przyjęła moje oświadczyzny.

- Winienem panu przeprosiny - powiedział pan Beebe, w pełni świadom rozczarowania, które zadźwięczało w jego głosie. - Nie wiedziałem... Nie powinienem był mówić tych wszystkich rzeczy. Panie Vyse, pan powinien był mnie uprzedzić.

Zobaczył Lucy idącą w stronę domu i poczuł, że jego rozczarowanie wzrasta.

Cecil, który naturalnie wolałby usłyszeć gratulacje, spojrzał na niego z goryczą. Czy tak właśnie świat odbierał jego postępowanie? Oczywiście, pogardzał światem jako całością, tak jak to winien robić każdy, kto potrafi myśleć; Cecil traktował to niemal jak sprawdzian na stopień rozwoju człowieka. Był jednak wrażliwy na to, czego osobiście doświadczał.

Czasami bywał szorstki.

- Zdaje się, że to dla pana szokująca nowina - rzekł sucho. - Obawiam się, że nie popiera pan decyzji Lucy.

- Nie to miałem na myśli. Powinien mnie pan jednak powstrzymać. Znam pannę Honeychurch dość krótko, być może nie powinienem był wyrażać moich opinii tak pochopnie, a już z pewnością nie przed panem.

- Czy powiedział pan coś, czego pan żałuje?

Pan Beebe próbował odzyskać równowagę. W istocie, pan Vyse miał szczególny dar stawiania swych rozmówców w nieprzyjemnej sytuacji. Pastor był zmuszony odwołać się do swego autorytetu jako osoby duchownej.

- Nie, nie powiedziałem niczego takiego. We Florencji przewidziałem, że jej ciche, spokojne dzieciństwo dobiegnie końca - i tak się też stało. Przewidziałem, że w jej życiu wydarzy się coś ważnego. Wydarzyło się. Nauczyła się - proszę pozwolić mi skończyć, skoro już zacząłem - nauczyła się, co to znaczy kochać, a to największa lekcja, jaką daje nam nasze ziemskie życie. - Pomachał kapeluszem zbliżającej się trójce i ciągnął dalej. - Nauczyła się tego dzięki panu i od pana zależy, ile ta wiedza przyniesie jej dobrego - jego głos, choć nie pozbawiony moralizatorstwa, brzmiał szczerze.

- Grazie tante (Bardzo dziękuję) - odrzekł Cecil, który nie lubił kazań.

- Czy słyszał pan? - zawołała pani Honeychurch, kiedy byli już wystarczająco blisko. - Panie Beebe, czy słyszał już pan nowinę?

Freddy, który zdążył odzyskać humor, gwizdał weselnego marsza. Młodość szybko godzi się z faktem dokonanym.

- Owszem - odparł pan Beebe i spojrzał na Lucy. - Pani Honeychurch, zrobię teraz to, co do mnie należy. Błogosławię im na każdy dzień ich życia, niech będą szczęśliwi jako mąż i żona, jako ojciec i matka. A teraz poproszę o herbatę.

- Nareszcie powiedział pan coś sensownego. Proszę nie zapominać, że w Windy Corner być poważnym jest w złym tonie.

Te słowa, niczym zaklęcie, przywróciły normalną atmosferę domu. Zaręczyny mają w sobie moc, która prędzej czy później wprowadza wszystkich w stan radosnego zadziwienia. Z dala od nich, w samotności swoich pokoi, pan Beebe, a nawet Freddy odzyskaliby zapewne zdolność krytycyzmu. Każdy z uczestników wydarzenia, niezależnie od rzeczywistego stopnia zaangażowania, okazuje niezmierny entuzjazm. Co dziwniejsze, zdarza się, że po jakimś czasie zaczynamy naprawdę odczuwać radość. Zjawisko to można porównać do tego, co zdarza się nam w świątyniach obcej wiary. Dopóki nie znajdziemy się wewnątrz, patrzymy na rzecz całą obojętnie. Kiedy jednak staniemy twarzą w twarz z obcymi bogami, budzi się w nas coś, co bardzo przypomina wiarę.

Tak więc, mimo wszystkich nieprzyjemności, zapanowała w końcu ogólna wesołość, która, nawet jeśli nosiła w sobie znamiona hipokryzji, była tak intensywna, że mogła stać się autentyczna. Anna podawała każdy talerz niczym ślubny prezent, a jedyną rzeczą, o którą się potknęła, były drzwi salonu. Pan Beebe odzyskał humor, Freddy przechodził sam siebie, zwracając się do Cecila per „Fiasco”, co było rodzinnym określeniem narzeczonego. Pani Honeychurch, czarująca i godna, zapowiadała się dobrze jako przyszła teściowa. Lucy i Cecil okazywali jednak pewną wstrzemięźliwość wiedząc, że wkrótce przeżyją chwile o wiele ważniejsze i bardziej radosne.

ROZDZIAŁ IX: LUCY JAKO DZIEŁO SZTUKI

Kilka dni po zaręczynach pani Honeychurch skłoniła Lucy i jej Fiasco do wzięcia udziału w małym garden party, które miało odbyć się w sąsiedztwie. Naturalnie, chciała pokazać, że jej córka wychodzi za mąż za tak przystojnego mężczyznę.

Cecil istotnie prezentował się dobrze. Smukły i wysoki, wyglądał bardzo dystyngowanie, kiedy towarzyszył Lucy i z wdziękiem pochylał ku niej swą długą, bladą twarz, by usłyszeć, co do niego mówi. Pani Honeychurch, uszczęśliwiona licznymi gratulacjami, nieopatrznie przedstawiła Cecila kilku nudnym wdowom.

W czasie przyjęcia czyjaś filiżanka kawy wylądowała na jedwabnej sukni Lucy i, choć dziewczyna gotowa była nie przywiązywać do tego wagi, pani Honeychurch była innego zdania. Ostatecznie obie oddaliły się, wzywając na pomoc służącą. Cecil pozostał w towarzystwie wdów. Zanim Lucy i pani Honeychurch wróciły, do reszty stracił humor.

- Czy często chodzicie na takie przyjęcia? - zapytał, kiedy siedzieli już w powozie.

- Od czasu do czasu - odrzekła Lucy, która bawiła się całkiem dobrze.

- Czy to typowi przedstawiciele towarzystwa?

- Sądzę, że tak... Mamo, jak myślisz?

Pani Honeychurch skinęła głową, usiłując sobie przypomnieć fason którejs z sukien.

Cecil, widząc, że matka Lucy myślami jest gdzie indziej, pochylił się do narzeczonej i oznajmił:

- Dla mnie to przyjęcie było przerażające, po prostu koszmarne.

- Przykro mi, że musiałyśmy cię zostawić - odparła Lucy.

- Chodzi mi o te gratulacje. To obrzydliwe. Zaręczyny traktuje się jak sprawę publiczną. Każdy obcy człowiek może uczynić z nich cel swych prostackich sentymentów. A te wszystkie stare kobiety, te ich afektowane uśmiechy!

- Trzeba przez to przejść. Następnym razem nie będziemy już tak zwracać uwagi.

- Ale to jest pomyłone, od początku do końca. Zaręczyny - koszmarne słowo samo w sobie - to sprawa prywatna i tak powinna być traktowana.

A jednak te uśmiechające się z afektacją stare kobiety miały w pewnym sensie rację. Cieszę się z zaręczyn Cecila i Lucy, bo wydarzenia takie jak to zapewniają kontynuację życia na ziemi. Dla Cecila i Lucy zaręczyny oznaczały coś zupełnie innego - indywidualną miłość. Stąd brała się irytacja Cecila o przekonanie Lucy, że jej narzeczonemu ma rację.

- Czy nie mogłeś grać w tenisa, zamiast z nimi rozmawiać?

- Nie gram w tenisa, a przynajmniej nie w miejscach publicznych. Całe sąsiedztwo snuje fantazje na temat mojej atletycznej budowy. We Włoszech nie byłem znany jako atleta, ale jako Inglese Italianato. (Anglik, który chciałby być Włochem.).

- Inglese Italianato?

- „E un diavolo incarnato” (To diabeł wcielony) - nie znasz tego przysłowia?

Lucy nie знаła. W każdym razie określenie takie było niezbyt odpowiednie w odniesieniu do młodego mężczyzny, który w Rzymie spędził u boku matki spokojną zimę. Cecil jednak pragnął uchodzić za kosmopolitę.

- Cóż - powiedział. - Najwyraźniej mnie tu nie akceptują. Nic na to nie poradzę. Pomędzy mną a nimi istnieją pewne bariery, Których nic nie jest w stanie zburzyć. Muszę się z tym pogodzić.

- Każdy z nas natrafia w życiu na jakiś mur - odrzekła Lucy, dziwiąc się swojej mądrości.

- Nie sądzisz jednak, że ważne jest, czy sami budujemy ten mur, czy też to inni odgradzają się nim od nas?

Po chwili namysłu przyznała mu rację.

- Różnica? - zawołała pani Honeychurch prostując się z nagłym ożywieniem. - Nie widzę żadnej różnicy. Mur, to mur, czy to ważne, kto go postawił?

- Mówimy o pobudkach - odparł Cecil, rozdrażniony, że mu się przerywa.

- Drogi Cecilu, popatrz tutaj - powiedziała pani Honeychurch, kładąc na kolanach torebkę. - Tu jestem ja, w Windy Corner, A odtąd już inni ludzie. Czy to nie proste?

- Nie mówiliśmy o prawdziwych murach - zawołała Lucy ze śmiechem. Cecil spojrział na nią, nie rozumiejąc przyczyny wesołości.

- Rozumiem - poezja... - odrzekła pani Honeychurch i oparła się z powrotem wygodnie.

- Jest ktoś, dla kogo „mury” nie istnieją - powiedziała Lucy. - Ten ktoś to pan Beebe.

Cecil milczał, nie okazując zainteresowania.

- Nie lubisz pana Beebe'a? - zapytała Lucy.

- Czy powiedziałem coś takiego? - wykrzyknął, lecz w jego głosie zabrzmiała fałszywa nuta. - Uważam, że wznosi się wysoko ponad przeciętność.

- Opowiem ci o pastorze, którego nie cierpię - ciągnęła Lucy. - Jest to pan Eager, angielski proboszcz mieszkający we Florencji. To snob i człowiek zarozumiały, a w dodatku mówił takie okropne rzeczy.

- Jakie?

- W naszym pensjonacie mieszkał pewien starszy mężczyzna, którego pan Eager zna. Powiedział nam, że ten człowiek zamordował swoją żonę.

- Może rzeczywiście tak było.

- Ależ to niemożliwe!

- Dlaczego?

- To taki miły, starszy człowiek, niemożliwe, żeby zrobił coś podobnego.

Cecil roześmiał się, ubawiony kobiecym brakiem logiki.

- Próbowałam dowiedzieć się szczegółów, ale bezskutecznie - ciągnęła Lucy. - Pan Eager woli tego nie wyjaśniać. Mówi, że starszy pan zamordował swą żonę „w obliczu Boga”.

- Cicho, kochanie, wtrąca pani Honeychurch.

- Czy to nie okropne, że osoba, na której mamy się wzorować, tak łatwo rzuca oszczerstwa? Jestem pewna, że to przez niego wszyscy odwrócili się od starszego pana. Uznano go za prostaka, lecz jestem przekonana, że niesłusznie.

- Biedny, stary człowiek! - zawołała pani Honeychurch. - jakże on się nazywa?

- Harris - odpowiedziała Lucy bez zająknięcia.

- Miejmy nadzieję, że pan Harris był istotnie niewinny!

- Czy pan Eager to wykształcony człowiek? - zapytał Cecil.

- Nie wiem. Nienawidzę go. Słyszałam go raz, jak mówił o Giotcie. Nic nie ukryje nędznej natury. Nienawidzę go! - odpowiedziała Lucy zapalczywie.

- Na litość boską, dziecko! Nie ma powodu tak krzyczeć. Macie natychmiast przestać mówić o duchownych! - nakazała pani Honeychurch.

Cecil spojrział na Lucy z uśmiechem. W jej wybuchu nienawiści było coś dziwnego. Może taka tyrada to wyraz żywotności. Spojrział na pałające policzki i błyszczące oczy narzeczonej z pewną dozą aprobaty. Powiedział coś o sosnowych lasach o purpurowych liściach zdobiących krzaki wzdłuż drogi. Nie da się ukryć, że Cecil Vyse nie był przyrodnikiem, toteż panna Honeychurch otworzyła szeroko oczy, kiedy zaczął mówić o wiecznie zielonych modrzewiach.

- Uważam się za szczęśliwą osobę - zakończył. - Kiedy jestem w Londynie, wydaje mi się, że nie mógłbym bez niego żyć. To samo czuję jednak będąc na wsi. Ptaki, drzewa i niebo - to najcudowniejsze rzeczy na tej ziemi, a ludzie, którzy stykają się z nimi na co dzień, są lepsi od innych. Oczywiście, w dziewięciu przypadkach na dziesięć w ogóle nie zauważają tego, co ich otacza. Sami w sobie są najmniej towarzyskimi istotami pod słońcem. Mają jednak coś, czego brakuje nam, ludziom z miasta - cichą, nierozzerwalną więź z naturą. Czy

zgadza się pani ze mną, pani Honeychurch?

Matka Lucy drgnęła i spojrzała na niego z uśmiechem, najwyraźniej nie wiedząc, o czym mówił. Cecil umilkł urażony.

Lucy siedziała pogrążona we własnych myślach, ze zmarszczonymi brwiami i oczyma wciąż błyszczącymi gniewem. Przykro było widzieć ją tak obojętną na piękno sierpniowego lasu.

- W płatki swe całą słodycz zagarnęła lilia.

Ze słodyczą zapada w głębinę jeziora: - wyrecytował i dotknął jej kolana swoim.

- W głębinie jeziora? - zapytała, rumieniąc się.

- Tak się ty spowij w siebie, miła, i w głębinę.

Zapadaj moją, póki nie zatonesz we mnie. (Alfred Tennyson, fragment poematu Królowna) Posłuchajmy pani Honeychurch i nie mówmy już więcej o duchownych, dobrze?

Lucy spojrzała na niego z uśmiechem.

Las ustąpił miejsca łące, po obu stronach której stały domy. Widać też było nowy, kamienny kościół, kryty gontem, z uroczą wieżyczką, a obok niego dom pana Beebe'a. Widok psuły tylko dwie brzydkie wille, te, które sir Otway zakupił tego samego dnia, gdy Lucy przyjęła oświadczenia Cecila.

Pierwsza z willi nazywała się „Cissie”, druga „Albert”. Nazwy te umieszczono na furtkach i jak by tego było mało, nad drzwiami wejściowymi. Oba budynki stały puste, a na płocie ogradzającym „Cissie” wisiała tabliczka z napisem „Do wynajęcia”. Ścieżkę porosły już chwasty, na trawniku, wielkości chusteczki do nosa, żółciły się mlecze.

- Okropność! - zawołała pani Honeychurch. - Summer Street nigdy już nie będzie wyglądać jak dawniej.

W tym momencie drzwi „Cissie” otworzyły się i na progu stanął jakiś mężczyzna.

- Stop! - zawołała pani Honeychurch, dotykając pleców woźnicy końcem parasolki. - To sir Harry. Nareszcie dowiemy się wszystkiego... Witamy! Sir Harry, proszę jakoś temu zaradzić!

- Chciałbym, pani Honeychurch, naprawdę chciałbym. Ale nie mogę wyrzucić pani Flack.

- Jak zwykle miałam rację. Powinna opuścić dom zaraz po podpisaniu umowy. Czy ona nadal nie płaci czynszu?

- Tak, ale co mogę zrobić? To stara, schorowana kobieta.

- Powinien ją pan wyrzucić.

Sir Harry westchnął i spojrzał na willę z rozpaczą. Uprzedzony o zamiarach pana

Flacka, mógł wykupić teren, zanim przystąpiono do budowy, ale z jakichś powodów tego nie uczynił. Znał Summer Street od tak dawna, że po prostu nie wierzył w ewentualne drastyczne zmiany. Dopiero kiedy pani Flack położyła kamień węgielny, i kremowo - czerwony, ceglany budynek zaczął nabierać kształtów, sir Harry podniósł alarm. Wezwał do siebie pana Flacka, którego uważał za człowieka rozsądnego i godnego szacunku. Pan Flack przyznał, że zwykłe dachówki wyglądałyby ładniej, nie omieszkał jednak dodać, że łupkowe są o wiele tańsze. Prawdziwym źródłem konfliktu okazały się jednak kolumny. Każda z nich miała być inna - wyjaśnił pan Flack - z liścianką ozdobioną smokami, z inicjałami pani Flack i trzecia zbliżona do stylu jońskiego.

Ta daremna i nieopłacalna transakcja całkiem wyprowadziła sir Harry'ego z równowagi. Nie wywiązał się z obowiązków i wiedział, że okolica śmieje się z niego. Wydał sporo pieniędzy, ale Summer Street została zeszpecona. Wszystko, co mógł zrobić, to znaleźć kogoś, kto zamieszkałby w „Cissie”, kogoś naprawdę odpowiedniego..

- Czynsz jest śmiesznie niski - mówił. - A ja, jako gospodarz, nie mam wygórowanych wymagań. Ten dom jest jednak za duży dla wieśniaka, a za mały dla kogoś naszego pokroju.

- Powinien pan szybko znaleźć lokatorów - powiedział Cecil uśmiechając się złośliwie. - Dla jakiegoś urzędnika bankowego ten dom będzie prawdziwym rajem.

- Otóż właśnie! - zawołał sir Harry. - Tego się właśnie obawiam, panie Vyse. Tego rodzaju dom przyciąga niewłaściwych ludzi. Kolej staje się, ku memu utrapieniu, coraz powszechniejsza, a cóż znaczy dzisiaj pięć mil od stacji? Nastaly czasy rowerów.

Cecil odparł, że kondycja fizyczna gorzej sytuowanych przedstawicieli klasy średniej poprawia się w zastraszającym tempie. Lucy zauważyła, że Cecil śmieje się z ich nieszkodliwego sąsiada.

- Sir Harry! - zawołała. - Mam pomysł! Co by pan powiedział na dwie stare panny?

- Moja droga Lucy, to byłoby wspaniale. Czy masz na myśli jakieś konkretne osoby?

- Owszem. To dwie damy, poznałam je będąc we Włoszech.

- Czy w istocie godne polecenia? - zapytał sir Harry ostrożnie.

- Jak najbardziej. Z tego, co wiem, poszukują właśnie domu do wynajęcia. Panny Teresa i Katarzyna Alan. Mówię najzupełniej poważnie. Pan Beebe zna je również. Czy mogę do nich napisać z tą wiadomością?

- Proszę uczynić to jak najszybciej. No i patrzcie, problem mamy już niemal rozwiązany. Proszę im napisać, że warunki będą naprawdę korzystne. Ach, gdybyście państwo wiedzieli, jakich ludzi przysłali mi tu agenci! Pewna kobieta na przykład... Napisałem do niej, prosząc uprzejmie, aby zechciała ujawnić mi swą pozycję społeczną. Czy

uwierzycie, w odpowiedzi napisała mi, że może zapłacić czynsz z góry! Moja droga Lucy, nie wiem, jak wyrazić moją wdzięczność.

- Czy mogę coś wtrącić? - zapytała pani Honeychurch. - Nie mam nic przeciwko tym starym paniom, ale...

- Rozumiem panią, lecz w tej sytuacji...

- Nie znam tych dam, ale z tego, co o nich słyszałem, wnioskuję, że to niepożądany dodatek do sąsiedztwa - wtrącił Cecil.

- Proszę go nie słuchać - zawołała Lucy. - Cecil, czasem bywasz naprawdę męczący.

- To ja jestem męczący - odparł sir Harry. - Nie powinienem zawracać wam głowy moimi sprawami. Ale tak się tym martwię, a lady Otway powiedziała tylko, żebym nie przesadzał z ostrożnością, w czym jest dużo racji, co jednak niewiele pomaga.

- Czy mam zatem zawiadomić panny Alan?

- Bezwarunkowo!

W jego oczach pojawiło się jednak zaniepokojenie, kiedy pani Honeychurch zawołała:

- Proszę uważać! One na pewno mają kanarki. Sir Harry, proszę wystrzegać się kanarków! Kanarki rozrzucają ziarno wokół klatki, a wtedy do domu przychodzą myszy. Proszę wystrzegać się kobiet! Gdyby to ode mnie zależało, wynajęłabym ten dom mężczyznom.

- Doprawdy... - mruknął, choć ta uwaga wydała mu się słuszna.

- Mężczyźni nie plotkują. Oni się najwyżej upijają, a to jest o wiele lepsze, bo wtedy po prostu leżą sobie cicho, dopóki nie dojdą do siebie. Jeśli są prostytutkami, nie rzuca się to tak bardzo w oczy.

Sir Otway zaczerwienił się, słysząc tę opinię o rodzaju męskim i zapytał, czy pani Honeychurch nie miałyby chęci obejrzeć „Cissie” osobiście. Zgodziła się z ochotą. Natura stworzyła ją do skromnego życia. Znała dobrze takie domy i uwielbiała porządki, zwłaszcza na małą skalę.

- Pani Honeychurch, myślę, że ja i Lucy zostawimy tu panią i wrócimy do domu piechotą - powiedział Cecil.

- Ależ oczywiście! - odparła serdecznie.

Sir Harry poparł ją aż nazbyt gorąco. Mruknął do nich porozumiewawczo i powiedział:

- Ach, młodość! - powiedział i przystąpił pospiesznie do otwierania domu.

- Beznadziejny parweniusz! - zawołał Cecil, kiedy tylko oddalili się wystarczająco.

- Cecil!

- Nic na to nie poradzę. Tolerować takiego człowieka byłoby wykroczeniem.

- Nie jest zbyt mądry, to prawda, ale za to jest miły.

- Nie, Lucy. On reprezentuje sobą wszystko, co najgorsze na wsi. W Londynie wiedziałby, gdzie jego miejsce. Należałby do jakiegoś głupiego klubu, a jego żona wydawałaby równie głupie, proszone obiady. Ale tutaj czuje się jak sam Pan Bóg. Epatuje swoim bogactwem, swoją fałszywą estetyką i wszyscy, nawet twoja matka, dają się na to nabrać.

- Zapewne masz rację - odrzekła Lucy czując zniechęcenie. - Zastanawiam się jednak, czy jest to aż tak ważne.

- Ogromnie ważne! Sir Harry to kwintesencja tego, co widziałem na tym garden party. Boże miłosierny, mam nadzieję, że w tej wili zamieszka ktoś tak prostacki, że nawet on zdoła to zauważyć. Wielki mi sir! Z łysą głową i podwójnym podbródkiem! Ale nie mówmy już o nim.

Lucy milczała. Jeżeli Cecil nie akceptował sir Harry'ego i pana Beebe'a, było możliwe, że nie zaakceptuje osób, które naprawdę się dla niej liczyły. Na przykład Freddy'ego. Freddy nie był ani mądry, ani subtelny, ani piękny. A jeżeli Cecil stwierdzi, że i Freddy'ego nie wolno tolerować? Co mu wtedy odpowie? Stosunki między nimi dwoma nie układały się zbyt dobrze. Cecil znał Freddy'ego od dość dawna, i jak dotychczas byli w dobrej komitywie, z wyjątkiem kilku ostatnich dni.

- Którędy pójdziemy? - zapytała. Zatrzymali się przy wąskiej ścieżce, która odchodziła od drogi. - Może drogą?

- Wolałbym pójść przez las - odrzekł Cecil z tłumioną irytacją, którą Lucy wyczuwała w jego głosie przez całe popołudnie. - Czy wiesz, że odkąd się zaręczyliśmy, nie byłaś ze mną ani razu w lesie czy na polu?

- Naprawdę? Chodźmy więc lasem - powiedziała Lucy i zeszła z drogi, zdziwiona jego słowami, ale pewna, że je wyjaśni, nie zwykł bowiem trzymać jej w niepewności. Szli wśród szumiących sosen, i rzeczywiście po kilkunastu jardach Cecil rzekł:

- Wydaje mi się, że lepiej czujesz się ze mną w pokoju.

- W pokoju? - powtórzyła ze zdziwieniem.

- W pokoju, może w ogrodzie lub na drodze. Ale nie w lesie.

- Cecil, co chcesz przez to powiedzieć? Nigdy nie czułam niczego podobnego, jeśli chodzi o ciebie.

- Ja kojarzę się z widokiem, z bardzo określonym widokiem Dlaczego ty nie miałabyś kojarzyć mnie z pokojem?

- Tak, masz rację - odparła Lucy po chwili namysłu. - Kiedy myślę o tobie, zawsze widzę cię w pokoju. Jakie to zabawne!

Ku jej zdziwieniu Cecil wyglądał na zdenerwowanego.

- Założę się, że w salonie! W pokoju bez widoku!

- Tak, bez widoku! Dlaczego nie.

- Wolałbym, żebyś myśląc o mnie widziała otwartą przestrzeń.

- Cecil, co chcesz przez to powiedzieć? - powtórzyła znowu.

Milczał, ruszyła więc przed siebie, zapominając o całej rozmowie. Szła, zatrzymując się od czasu do czasu, kiedy coś szczególnie pięknego zwróciło jej uwagę. Las ciągnący się między Summer Street a Windy Corner znała od dzieciństwa. W czasach, kiedy Freddy był pyzaty brzdącem, zabierała go tu na spacer. Teraz, po powrocie z Włoch, las wydał jej się równie piękny jak zawsze.

Wyszli na małą polankę, pośrodku której błyszczało jezioro.

- Święte Jezioro! - zawołała.

- Dlaczego nazywasz je w ten sposób? - zapytał Cecil.

- Nie pamiętam już, skąd się wzięła ta nazwa. Chyba z jakiejś książki. Teraz to raczej kałuża niż jezioro. Widzisz ten strumień? Kiedy pada, dzięki niemu staw napełnia się bardzo szybko. Freddy często przychodzi się tu kąpać. Bardzo lubi to miejsce.

- A ty? - zapytał Cecil.

- Tak, ja też przychodziłam się tu kąpać, dopóki tego nie wykryto - odparła, zrozumiawszy pytanie niezgodnie z intencją.

Kiedy indziej Cecil, który był dość pruderyjny, byłby się zgorszył. Chwilowe uwielbienie natury uczyniło go bardziej tolerancyjnym i wywołało zachwyt dla cudownej prostoty Lucy.

- Kto to wykrył? - zapytał.

- Charlotta - mruknęła w odpowiedzi i uśmiechnęła się ponuro.

- Lucy...

- Tak, chyba musimy już iść.

- Lucy, chcę cię poprosić o coś, o co jeszcze nigdy cię nie prosiłem - powiedział.

- Tak?

- Jak dotąd nigdy... nawet tego dnia, kiedy zgodziłaś się mnie poślubić... - rozejrzał się wokół, jakby obawiał się, że są śledzeni.

- Tak?

- Jak dotąd nigdy cię nie pocałowałem - powiedział jednym tchem.

Lucy zarumieniła się.

- To prawda - powiedziała cicho.

- Oczywiście, że możesz. Już dawno mogłeś.

Ten moment, który miał być podniosły, wydał się Cecilowi wysoce absurdalny. Odpowiedź Lucy była nieadekwatna, a ruch, jakim podniosła woalkę, nieznośnie rzeczowy. Cecil zbliżył się do niej, żałując, że nie może się wycofać. Pochylił głowę, a wtedy złote pincenez spadły z jego nosa i uwięzły między nimi.

Tak właśnie wyglądał ich pocałunek.

Cecil zdał sobie sprawę z klęski. Namiętność nie dba o maniery, nie pyta o pozwolenie. Dlaczego nie wziął Lucy w ramiona bez uprzedzenia, tak jak zrobiłby to każdy zwykły człowiek? Ujrzał tę scenę oczyma wyobraźni... Lucy stoi nad wodą, niczym kwiat, on podbiega i chwytą ją w ramiona, ona wzbrania się, a potem ulega - i już na zawsze wielbi go za jego męskość. Cecil uważał, że kobiety powinny czcić mężczyzn w ten sposób.

Ruszyli przed siebie w milczeniu, niczym żołnierze, którzy mieli stoczyć bitwę, a oddali tylko jeden wystrzał. Cecil czekał, aż Lucy powie coś, co odkryje jej najgłębsze uczucia.

- Ten człowiek nazywa się Emerson, nie Harris - powiedziała po długiej chwili.

- Jaki człowiek?

- Ten starszy pan.

- Jaki starszy pan?

- Ten, o którym ci mówiłam. Ten, dla którego pan Eager był taki niedobry.

Cecil spojrzał na nią zdziwiony, nie wiedząc, że była to najbardziej intymna rozmowa, jaką dotychczas odbyli.

ROZDZIAŁ X: CECIL JAKO HUMORYSTA

Środowisko, z którego Cecil pragnął wyrwać Lucy, nie było wprawdzie szczególnie wyrafinowane, lecz osiągnęło o wiele więcej, niż mogliby oczekiwać jej przodkowie. Ojciec Lucy, wzięty miejscowy prawnik, zbudował Windy Corner licząc się z pewnym ryzykiem, w czasach, kiedy niewielu ludzi zamieszkiwało te okolice. Pokochał to miejsce i postanowił zostać tu na dobre. Wkrótce po jego ślubie zaczęli pojawiać się nowi mieszkańcy. Domy zaczęto budować na stromym, południowym stoku, a także wśród sosen i bardziej na północ, na niżej położonych kredowych terenach. Wiele domów przewyższało wielkością Windy Corner, a nowi sąsiedzi, przybyli z Londynu, brali rodzinę Honeychurchów za potomków jakiejś miejscowej arystokracji. Pani Honeychurch przyjęła ten fakt bardzo naturalnie i wkrótce nawiązała z sąsiedztwem przyjazne stosunki, stwierdzając nie bez racji, że „dzieciom wyjdzie to tylko na dobre”. Prawdziwe pochodzenie Honeychurchów, kiedy już wyszło na jaw, nie stanowiło żadnej bariery. Umierając, pan Honeychurch pozostawił rodzinę zabezpieczoną finansowo i posiadającą dobrą pozycję w lokalnym wszechświecie.

Większość sąsiadów nie wybiegała zbytnio ponad przeciętność, co po powrocie z Włoch dostrzegła Lucy szczególnie wyraźnie. Do tej pory akceptowała ich całkowicie - ich spokojną zamożność, pozbawioną wzlotów religijność i wszystkie drobne obyczaje przedmieścia. Żyła w kręgu zamożnych, miłych ludzi, dzielących wspólne upodobania i antypatie. W tym kręgu każdy uczył się, zakładał rodzinę, umierał. Poza kręgiem pozostają bieda i prostactwo, zawsze próbujące dostać się do środka, tak jak mgła londyńska próbuje wdrzeć się do sosnowych lasów, nadchodząc powoli od strony północnych wzgórz. We Włoszech, gdzie każdy, kto chce, może korzystać z powszechnej wolności niczym z promieni słońca, to wyobrażenie znikło. Lucy przekonała się, że choć muru, dzielącego ludzi, nie da się zburzyć, da się go jednak przeskoczyć, tak, jak wskakuje się na pole oliwek w Apeninach. Lucy powróciła z Włoch odmieniona.

Podobnie stało się z Cecilem, w nim jednak, zamiast tolerancji, obudziła się irytacja. I on dostrzegał wady współziomków, nie potrafił jednak powiedzieć: „Czy to rzeczywiście ważne?” Nie zdawał sobie sprawy, że Lucy tysiącem drobnych uczynków zmienia swoje otoczenie na lepsze, i że widząc wszystkie jego wady, nie potrafi go odrzucić. Nie dostrzegł też rzeczy najważniejszej: że Lucy przerosła swe otoczenie i sięga daleko ponad przeciętność, że znalazła się w momencie, w którym mógł ją uszczęśliwić związek z drugim człowiekiem. Lucy buntowała się - nie pragnęła jednak wolności. Pragnęła równości u boku ukochanego

człowieka. Tego Cecil nie potrafił zrozumieć. Włochy dały jej bowiem to, co najcenniejsze - własną duszę.

Lucy i Minnie Beebe, trzynastoletnia bratanica pastora, bawiły się na wielkim trawniku przed domem. Wyrzucały wysoko w górę tenisowe piłki, one zaś spadały po drugiej stronie siatki, a potem długo odbijały się od ziemi; niektóre uderzały panią Honeychurch, inne gubiły się - jest to stara i popularna gra. Zdanie to, choć zawile, ilustruje stan umysłu Lucy, która próbowała jednocześnie grać i rozmawiać z panem Beebe'em .

- To było nieznośne - powiedziała Lucy. - Całe szczęście, że sir Harry w końcu się zdecydował.

- Przyjeżdżają jednak. Napisałem do panny Teresy kilka dni temu. Chciała wiedzieć, jak często przychodzi rzeźnik. Napisałem, że raz na miesiąc, i to ją chyba zadowoliło. Dziś rano otrzymałem odpowiedź - odparł pastor.

- Jestem pewna, że znienawidzę je obie - oświadczyła pani Honeychurch. - Trzeba będzie być dla nich miłą tylko dlatego, że są stare i głupie. Nienawidzę tych wszystkich „jeżeli”, „lecz”, i „oraz”. Czy Lucy nie wygląda jak własny cień?

Pan Beebe spojrział na cień skaczący po trawniku i krzyczący wniebogłosy. Cecila nie było; nikt nie krzyczałby i nie skakał, gdyby Cecil znajdował się gdzieś w pobliżu.

- No cóż, jeżeli przyjadą... Nie, Minnie, tylko nie Saturn. - Saturn był częściowo rozprutą, tenisową piłką. Naderwana podczas lotu część sprawiała wrażenie pierścienia otaczającego planetę.

- Jeżeli przyjadą, sir Harry pozwoli im się wprowadzić przed dwudziestym ósmym i zrezygnuje z bielienia ścian, bo to mogłoby zdenerwować panny Alan... To się nie liczy. Powiedziałam ci, że Saturn nie.

- Saturn doskonale się nadaje - zawołał Freddy, dołączając do nich. - Minnie, nie słuchaj jej.

- Saturn nie skacze.

- Skacze wystarczająco.

- Nie, nieprawda.

- No, skacze lepiej niż Piękny Biały Diabeł.

- Cicho, kochanie - wtrąciła pani Honeychurch.

- Ale popatrz na Lucy: nie zgadza się na Saturna, s sama trzyma Pięknego Białego Diabła. Minnie, złap ją. Uderz ją rakietą po nogach, po nogach!

Lucy upadła i upuściła piłkę. Pan Beebe podniósł ją i powiedział:

- Ta piłka nazywa się Vittoria Corombona, dobrze? - Jego uwaga nie została jednak

zauważona.

Freddy miał wyjątkową zdolność doprowadzania małych dziewczynek do furii. W pół minuty przemienił Minnie z dobrze wychowanego dziecka w rozszalały tajfun.

Cecil, który siedział na górze w gościnnym pokoju, skrzywił się z dezaprobatą. Miał pewne ważne wiadomości, które zainteresowałyby wszystkich. Postanowił jednak nie schodzić na dół, żeby uniknąć ataków Freddy'ego. Nie był tchórzem, ale takie zabawy zawsze wyprowadzały go z równowagi. Płacz, który dobiegł z dołu, utwierdził go w tym przekonaniu.

- Szkoda, że panny Alan tego nie widzą - zauważył pan Beebe, kiedy Lucy, pocieszająca poturbowaną Minnie upadła, przewrócona przez swego brata.

- Kim są panny Alan? - zapytał Freddy.

- Mają zamieszkać w „Cissie”.

- To nie to nazwisko! - odkrzyknął i długim ślizgiem wpadł pod nogi Lucy. Cała trójka znalazła się na trawie i jednomyślnie postanowiła się nie podnosić.

- To nie to nazwisko? - zapytała Lucy Freddy'ego, kiedy leżał teraz z głową na jej kolanach.

- Nie.

- Bzdura, Freddy, mówisz, żeby mówić.

- Wcale nie bzdura. Widziałem sir Harry'ego przed minutą. Powiedział mi: „Ahm, Honeychurch! Ahm! Ahm! Znalazłem wreszcie naprawdę sto - sow - nych lokatorów!” Klepnałem go po plecach i zawołałem: „Świetnie, stary!”

- Akurat! No i jak się nazywają?

- Nie pamiętam. Anderson czy jakoś tak.

- Mój Boże, nie będzie chyba następnych kłopotów? - zawołała pani Honeychurch. - Czy zauważyłaś, Lucy, że zawsze mam rację? Mówiłam, nie wtrącaj się do sprawy „Cissie”. Jak zwykle, miałam rację. To niepokojące.

- To Freddy wymyśla kłopoty. Nie zna nawet nazwiska tych ludzi, którzy, jak mówi, mają się tam wprowadzić.

- Już wiem! Emerson! - zawołał Freddy.

- Co ty powiedziałeś?

- Emerson, załóżę się, o co chcesz!

- Sir Harry to prawdziwy kurek na dachu - powiedziała Lucy cicho, położyła się na plecach i wpatrzyła w bezchmurne niebo.

Pan Beebe, którego dobra opinia o Lucy rosła z każdym dniem, szepnął swojej

bratanicy, że w ten właśnie sposób należy przyjmować drobne niepowodzenia.

- Emersonowie, Freddy? Czy wiesz, z których to Emersonów? - zapytała pani Honeychurch.

- Nie mam pojęcia - odparł Freddy, którego, tak jak jego siostrę i większość młodych ludzi, pociągała idea równości i którego niezaprzeczalny fakt, że na tym świecie istnieją różni Emersonowie, ogromnie wyprowadzał z równowagi.

- Ufam, że to właściwi ludzie - powiedziała pani Honeychurch. - Lucy, widzę, że bierzesz swoją matkę za snobkę. Ale wierz mi, istnieje zły i dobry rodzaj ludzi, i udawanie, że tak nie jest, to niezbyt dobry pomysł.

- Emersonowie to dość często spotykane nazwisko - odrzekła Lucy, nie patrząc na nią.

- Chciałam właśnie powiedzieć, Freddy, że szczęśliwie nie są spokrewnieni z Emersonem filozofem. Czy to cię nie zadawała?

- O, tak. A ciebie zapewne ucieszy wiadomość, że są znajomymi Cecila, więc ty, jak również inne dystyngowane osoby, będziecie ich mogli bez obawy odwiedzać.

- Cecila? - wykrzyknęła Lucy.

- Lucy, nie krzycz. Ostatnio za bardzo ci to weszło w krew.

- Ale Cecil...

- To znajomi Cecila - powtórzył Freddy. - „Naprawdę sto - so - wni. Ahm! Honeychurch, właśnie do nich zatelegrafowałem.”

Lucy podniosła się z trawy.

Pan Beebe zauważył ze współczuciem, że ta nowina bardzo ją zaskoczyła. To, że sir Harry postanowił nie wynajmować willi pannom Alan, zniosła dzielnie, miała jednak prawo krzyczeć, kiedy dowiedziała się, że stało się to za sprawą jej narzeczonego. Pan Vyse był dokuczliwy, więcej niż dokuczliwy. Czerpał złośliwą przyjemność z psucia innym szyków. Pan Beebe, wiedząc o tym, spojrzał na Lucy z większą niż zwykle sympatią.

- Ale Emersonowie Cecila nie mogą być tymi samymi, którzy... których... - zaczęła Lucy, ale pastor przerwał się, pozwalając tym samym odzyskać równowagę.

- Tymi samymi Emersonami, których spotkaliśmy we Florencji? - podchwycił. - Nie, nie, sadzę. Zdaje mi się, że za bardzo się różnią od pana Vyse'a, żeby być jego znajomymi. Ach, pani Honeychurch, tamci Emersonowie to przedziwni ludzie! Przedziwni! Lubiliśmy ich jednak w pewnym sensie, nieprawda? - dodał, zwracając się do Lucy. - Nigdy nie zapomnę tej przygody z fiołkami. Nie uwierzy pani, pani Honeychurch. Nazrywali fiołków i napełnili nimi wszystkie wazon, jakie tylko były w pokoju tych samych panien Alan, które miały zamieszkać w „Cissie”. Biedne staruszki! Były zaszokowane i uszczęśliwione zarazem. Panna

Katarzyna opowiadała tę historię w cudowny sposób. Zaczynała tak: „Moja droga siostra uwielbia kwiaty”. Cały ich pokój tonął w błękicie, fiołki wypełniały każdy najmniejszy wazonik. „To takie niestosowne, a zarazem takie miłe. Wszystko razem nie jest takie proste” - mówiła na koniec, wzdychając. Tak, ci Emersonowie z Florencji zawsze będą mi się kojarzyć z fiołkami.

- Fiasco wszedł ci w drogę - zauważył Freddy, nie widząc, że twarz jego siostry oblewa rumieniem. Pan Beebe zerknął na nią i mówił dalej.

- Ci Emersonowie, o których mowa, to ojciec i syn. Syn to przystojny i miły młodzieniec, całkiem niegłupi, choć bardzo jeszcze niedojrzały - pesymizm, et cetera. Jeśli zaś chodzi o ojca - o, to uroczy człowiek, choć niektórzy twierdzą, że zamordował swoją żonę.

W normalnych okolicznościach pan Beebe nigdy nie powtórzyłby podobnej plotki. Teraz jednak, próbując pomóc Lucy, mówił wszystko, co mu przyszło do głowy.

- Zamordował swoją żonę? - powtórzyła pani Honeychurch. - Lucy, zostań tu z nami, nie odchodź. Baw się dalej. Doprawdy, ten pensjonat „Bertolini” to przedziwne miejsce. To już drugie morderstwo, o jaki słyszę. Swoją drogą, któregoś dnia musimy zaprosić Charlotte.

Pan Beebe nie przypominał sobie żadnego innego morderstwa, pani Honeychurch zapewniała go z ożywieniem, że był jeszcze jeden turysta, o którym opowiadano tę samą historię. Nie mogła sobie przypomnieć nazwiska. Takie jakieś z Thackeraya.

Lucy zapytała brata, czy Cecil jest w domu.

- Nie idź! - zawołał próbując chwycić ją za kostki u nóg.

- Muszę z nim pomówić - odparła ponuro. - Nie bądź głupi, Freddy. Nigdy nie potrafisz zachować umiaru.

Ruszyła w stronę domu.

- Harris! - głos pani Honeychurch rozległ się jak wystrzał. Lucy drgnęła nerwowo. Bezsensowne kłamstwa... Czy możliwe, żeby to byli ci sami Emersonowie? Jakim sposobem mogli być znajomymi Cecila? Nigdy już, nigdy nie będzie kłamać ani niczego zatajać.

Przyspieszyła kroku, czerwona ze wstydu. Obecność Cecila uspokoi ją, wiedziała o tym.

- Cecil? - zawołała, stanąwszy przed domem.

- Jestem tutaj! - odrzyknął wesoło, wychylając się z okna palarni. - Miałem nadzieję, że przyjdiesz. Słyszałem, jak hałasujecie w ogrodzie, ale tutaj jest o wiele dalej. Lucy, Muza Komedii zwycięży! Zgodnie z prawem George'a Mereditha, Komedia i Prawda kroczą razem. Znalazłem lokatorów do tej nieszczęsnej willi. Nie bądź zła, nie bądź zła! Przystaniesz się

gniewać, kiedy usłyszysz wszystko od początku.

Z twarzą rozjaśnioną radością wyglądał bardzo pociągająco. Wszystkie niemądre przecucia Lucy rozwiały się.

- Słyszałam o tym - odparła. - Freddy nam powiedział. Niedobry Cecil! Chyba muszę ci wybaczyć. Pomyśl jednak, ile trudu zadałam sobie niepotrzebnie! Panny Alan są męczące. Oczywiście, że wolę, aby lokatorami zostali twoi znajomi. Nie powinieneś jednak działać za moimi plecami.

- Moi znajomi? - powtórzył ze śmiechem. - W tym właśnie sedno! Chodź tutaj. - Lucy nie ruszyła się z miejsca. - Czy wiesz, gdzie spotkałem przyszłych lokatorów? W National Gallery, kiedy tydzień temu odwiedzałem moją matkę.

- Dziwne miejsce na zawieranie znajomości - powiedziała Lucy nerwowo. - Nie bardzo rozumiem...

- Spotkałem ich w Sali Umbryjskiej, w której usiłowali znaleźć Luckę Signorellego... Zaczęliśmy rozmawiać, okazało się, że niedawno byli we Włoszech.

- Cecil, ale...

- W trakcie rozmowy - ciągnął wesoło - dowiedziałem się, że szukają domu na wsi. Ojciec miałby w nim mieszkać, syn przyjeżdżałby na weekendy. Pomyślałem sobie: „Co za wspaniała okazja, żeby przytrzeć nosa sir Harry'emu”. Wziąłem ich adres i londyńskie referencje, i napisałem do sir Harry'ego...

- Cecil, to nie fair. Prawdopodobnie spotkałam już tych ludzi przedtem i...

- Absolutnie fair. Każdy sposób ukarania snoba godzien jest pochwały. Ten stary człowiek przyniesie całemu sąsiedztwu wiele dobrego. A dla sir Harry'ego będzie to dobra lekcja. Nie, Lucy, klasy powinny mieszać się ze sobą. Niedługo sama się ze mną zgodzisz. Ja osobiście wierzę w demokrację.

- Nieprawda! Nie wiesz nawet, co to słowo oznacza.

Cecil drgnął i spojrzał na nią zaskoczony.

- To nie fair, Cecil - ciągnęła dalej. - Gniewam się na ciebie, bardzo się gniewam. Nie miałeś żadnego powodu psuć moich planów. Ośmieszyleś mnie. Mówisz, że to lekcja dla sir Harry'ego. Czy zdajesz sobie sprawę, że to się odbywa moim kosztem? Uważam to, co zrobiłeś, za wysoce niełojalne - powiedziała i wyszła z pokoju.

- Złościca - mruknął Cecil unosząc brwi.

Właściwie - stwierdził po chwili - było w tym coś więcej niż złość. To snobizm! Lucy nie miała nic przeciwko nowym lokatorom, dopóki myślała, że są jego znajomymi.

Doszedł do wniosku, że przybysze mogą mieć wysoką wartość jako obiekty jego

obserwacji. Starego pana Emersona mógł tolerować, a George'a dałoby się rozruszać. Jedno nie ulega wątpliwości: sprowadził ich do Windy Corner w imię Prawdy , a za sprawą wszechobecnej Muzy Komедii.

ROZDZIAŁ XI: Z WIZYTĄ U PANI VYSE

Muza Komedii, Choć zdolna sama dbać o swoje sprawy, postanowiła nie odrzucać pomocy pana Vyse'a. Pomysł sprowadzenia Emersonów do Windy Corner najwyraźniej przypadł jej do gustu. Wszystko ułożyło się po myśli Cecila. Sir Harry Otway podpisał umowę dotyczącą wynajmu willi, po czym spotkał pana Emersona i natychmiast zrozumiał swą pomyłkę. Panny Alan, urażone do żywego, napisały do Lucy chłodny list, przypisując jej całą winę za to, co się stało. Pan Beebe, cieszący się z przybycia nowych sąsiadów, powiedział pani Honeychurch, że Freddy powinien odwiedzić ich, kiedy tylko przyjadą. Istotnie, Muza Komedii miała tyle możliwości działania, że pozwoliła, aby pan Harris, który w istocie nie był przestępcą, zginął w zapomnieniu.

Jeżeli chodzi o Lucy, to najpierw pograżyła się ona w najczarniejszej rozpacz, wkrótce jednak, przemyślawszy wszystko jeszcze raz, postanowiła się nie martwić. Teraz, kiedy była zaręczona, Emersonowie nie stanowili już dla niej takiego zagrożenia i Cecil mógł ich sobie sprowadzać, jeśli tak mu się podobało. Tak, mógł ich sobie sprowadzać. Mimo wszystko Lucy potrzebowała nieco czasu, aby dojść do takich wniosków. Dziewczęta są jednak pozbawione logiki i całe to zdarzenie pozostało w pamięci Lucy jako o wiele ważniejsze i bardziej bolesne, niż było w istocie. Tak więc Lucy była szczęśliwa mogąc odwiedzić panią Vyse w Londynie, kiedy nowi lokatorzy wprowadzali się do „Cissie”.

- Cecil... Cecil, kochanie - wyszeptała w dzień swojego przyjazdu.

Cecil wziął ją w ramiona. On również zaczął okazywać swoje uczucia bardziej otwarcie. W zachowaniu Lucy zaszła korzystna zmiana. Oczekiwała adoracji, jak to powinna czynić kobieta, poważała go za to, że był mężczyzną.

- A więc kochasz mnie choć trochę? - mruczał.

- Och tak, tak. Nie wiem, co zrobiłabym bez ciebie - odparła.

Po upływie kilku dni, które upływały w radosnej atmosferze, nadszedł list od panny Barlett.

Kuzynki nie pisały do siebie, od kiedy rozstały się w sierpniu. Ich stosunki wyraźnie się ochłodziły. W Rzymie doszło nawet do tego, że postanowiły nie podróżować dalej razem. Lucy miała dołączyć do Vyse'ów - w pomysłu tym nie było nic nie stosownego, bo pani Vyse i matka Lucy dość dobrze się znały. Panna Barlett oświadczyła, że często zostaje pozostawiona samej sobie. Nie rozstały się w końcu, ale niechęć, jaką wzajemnie do siebie czuły, pozostała. Lucy odczuła ją żywo nawet teraz, kiedy otworzyła list. Brzmiał

następująco:

„Droga Lucy!

Nareszcie dowiedziałam się, co porabiasz! Panna Lavish przejeżdżała przez wasze strony na rowerze. Nie odwiedziła was, nie chcąc się narzucać. Niedaleko Summer Street złapała jednak gumę. Zatrzymała się i kiedy naprawiano koło, czekała na dziedzińcu kościelnym. Ku swemu zdumieniu zobaczyła, że drzwi domu, znajdującego się naprzeciwko, otwierają się, a na progu staje nikt inny, tylko młody pan Emerson! Podobno jego ojciec wynajął dom. Młody pan Emerson utrzymuje, że nie wiedzieli, iż mieszkasz w sąsiedztwie. Nie zaproponował Eleonorze nawet filiżanki herbaty.

Droga Lucy, jestem tym wszystkim szczerze zmartwiona. Powinnaś niezwłocznie opowiedzieć o wszystkim matce, Freddy'emu i panu Vyse'owi, który na pewno zakaze Emersonom pojawiać się u was w domu. Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że już dawno powiadomiłaś matkę o tym, co stało się we Florencji. Pan Vyse jest taki wrażliwy. Pamiętam, jak bardzo irytowała go moja obecność w Rzymie. Jest mi bardzo przykro z powodu całej sprawy.

Twoja kochająca i niespokojna kuzynka Charlotta”.

Lucy odpisała, nie kryjąc irytacji:

„Droga Charlotto!

Dziękuję za ostrzeżenie. Kiedy pan Emerson zapomniał się w górach, wymogłaś na mnie obietnicę, że nie powiem o tym matce, aby wina nie spadła na ciebie. Dotrzymałam tej obietnicy i teraz w żaden sposób nie mogę jej o tym powiedzieć. I ona i Cecil wiedzą, że spotkałam Emersonów we Florencji, i że są to ludzie godni szacunku - o czym jestem nadal przekonana. Co się zaś tyczy herbaty - pan Emerson nie zaoferował jej panie Lavish, bo sam jej pewnie nie miał. Dlaczego panna Lavish nie poszła na plebanię? Nie mogę teraz wracać do całej sprawy; sama widzisz, że byłoby to absurdalne. Gdyby Emersonowie usłyszeli, że narzekam na nich, pomyśleliby, że ich obecność ma dla mnie jakiegokolwiek znaczenie, podczas gdy jest dokładnie na odwrót. Lubię starszego pana Emersona i z przyjemnością go znów zobaczę. Jeżeli chodzi o jego syna, to uważam, że z nas dwojga on bardziej zasługuje na współczucie. Chcę też, abys wiedziała, że Cecil zna Emersonów.

Oboje miewamy się dobrze. Nasz ślub odbędzie się prawdopodobnie w styczniu. Panna Lavish nie mogła powiedzieć ci wiele na mój temat, ponieważ jestem tu, a nie w Windy Corner. Na kopercie nie musisz pisać „do rąk własnych”. Nikt nie czyta moich listów bez mojej wiedzy.

Szczerze oddana

L.M. Honeychurch”.

Kiedy utrzymujemy coś w tajemnicy, często tracimy wyczucie proporcji. Z czasem trudno nam powiedzieć, czy nasz sekret ma jakiegokolwiek znaczenie. Czy Lucy i Charlotta ukrywały coś, co ujawnione zniszczyłoby życie Cecila, czy też drobnostkę, która mogłaby go najwyżej rozśmieszyć? Panna Barlett sugerowała to pierwsze. Być może miała rację. Cała sprawa nabierała stopniowo znaczenia i wyło to niewątpliwie zasługą Charlotty. Zostawiona samej sobie, Lucy powiedziałyby o wszystkim matce i Cecilowi i wszystko, co się wydarzyło, pozostałoby nieważnym szczegółem. Takim było jeszcze kilka tygodni temu. Lucy próbowała wyznać Cecilowi prawdę i omal tego nie uczyniła, kiedy śmiali się razem z jakiejś piękności, która zawładnęła jego sercem w latach szkolnych. Skończyło się jednak na próbie.

Lucy wraz ze swą tajemnicą pozostała w opustoszałym mieście przez następne dziesięć dni, oglądając pobieżnie miejsca, które wkrótce miały stać się jej znane i bliskie. Cecil był zdania, że warto zobaczyć Londyn, nawet jeśli większość mieszkańców jest nieobecna z powodu gry w golfa. Mimo zimna wytrwale odbywali wycieczki. Pan Vyse zdołał również urządzić małe przyjęcie, na które stawili się w większości wnukowie sławnych ludzi. Jedzenie było niesmaczne, rozmowa za to nosiła w sobie piętno żartobliwego znużenia i zrobiła na Lucy duże wrażenie. Wszyscy byli zniechęceni i nieco znużeni rzeczywistością. Entuzjazm przechodził w smutek, ten zaś mijał równie szybko przy wtórze życzliwego śmiechu. W porównaniu z atmosferą Londynu pensjonat „Bertolini” i Windy Corner wydały się Lucy jednakowo szare i pozbawione wdzięku.

Lucy poproszono oczywiście, by coś zagrała. Wybrała Schumanna.

- A teraz coś Beethovena! - zawołał Cecil, kiedy ucichły ostatnie tony.

Lucy potrząsnęła głową i pozostała przy Schumannie. Zabrzmiała melodia, nadmiernie fantazyjna. Urwała się - została umyślnie przerwana, nie odegrana od początku do końca. Smutek niespełnienia - smutek, który często jest życiem, lecz nigdy nie powinien być sztuką - drżał w tych przerywanych frazach, i sprawił, że słuchających również przeszył deszcz. Nie tak grała Lucy na małym pianinie w pensjonacie „Bertolini” i nie o zbyt dużej „ilości” Schumanna mówił wówczas pan Beebe.

Kiedy goście się rozeszli, a Lucy poszła do łóżka, pani Vyse pozostała w salonie, by porozmawiać z synem. Matka Cecila była miłą kobietą, ale życie w Londynie nie wpływało korzystnie na jej osobowość; trzeba być silnym, by żyć wśród tłumu innych ludzi. Ona poznała w swoim życiu zbyt wielu ludzi i zbyt wiele miejsc. Nawet Cecila traktowała bezosobowo, jak jednego z wielu, z którymi się stykała.

- Uczynić Lucy jedną z nas. Lucy staje się wspanią, wspanią - mówiła spoglądając

wokół rozumnie po każdym zdaniu i rozchylając usta w wymuszonym uśmiechu.

- Jej muzyka zawsze była wspaniała.

- Tak, ale ona sama staje się coraz mniej podobna do Honeychurchów. Choćby byli najlepsi, zawsze pozostaną Honeychurchami - wiesz, co mam na myśli. Ona jest inna. Powoli przestaje cytować służbę i nie pyta już, jak się robi pudding.

- Włochy tego dokonały.

- Być może - mruknęła, bo dla niej Włochy oznaczały jedno muzeum, które widziała, -
Możliwe. Cecil, żeń się z nią w styczniu. Ona już jest jedną z nas.

- Jej muzyka! - powiedział z uniesieniem. - Jej styl! Grała Schumanna, choć ja jak idiota domagałem się Beethovena. Schumann był dobry na ten wieczór, Schumann i nikt inny. I ona to wiedziała. Wiesz, mam, wychowam nasze dzieci tak, jak wychowano Lucy. Niech dorastają wśród prostych ludzi na wsi, potem niechaj jadą do Włoch, by nabrać ogłady - a dopiero potem można je przywieźć do Londynu. Nie wierzę w londyńską edukację. - Przerwał, przypomniał sobie, że sam taką odbył, po czym dodał: - Przynajmniej jeśli chodzi o kobiety.

- Uczyń ją jedną z nas - powtórzyła pani Vyse i udała się do łóżka.

Kiedy zasypiała, z pokoju Lucy dobiegł krzyk - krzyk kogoś, kto obudził się z koszmaru. Lucy mogła zadzwonić po pokojówkę, pani Vyse wstała jednak sama. Zastąpiła dziewczynę siedzącą na łóżku.

- Przepraszam, pani Vyse, to te sny.

- Złe sny?

- Po prostu sny.

Starsza dama uśmiechnęła się i pocałowała ją.

- Musiałaś słyszeć, że mówiliśmy o tobie, moja droga - powiedziała dystyngowanie. -
On cię uwielbia. O tym powinnaś śnić.

Lucy w milczeniu odwzajemniła pocałunek. Pani Vyse wyszła, Cecil, którego krzyk nie zdołał obudzić, zachrapał za ścianą. Mieszkanie ogarnęła ciemność.

ROZDZIAŁ XII: DWUNASTY ROZDZIAŁ

Było niedzielne popołudnie, błyszczące i radosne po obfitych deszczach, i pełne świeżości, choć nastąpiła już jesień. Wyglądało na to, że świat chce się pokazać z jak najlepszej strony. Nawet samochody, przejeżdżające przez Summer Street, wzniewały mniej tumanów kurzu, spaliny szybko rozplywały się w pachnącym wilgocią i sosnowym igliwem powietrzu.

Pan Beebe rozmyślał o tym wszystkim, leniwie oparty o furtkę.

- Myślę, że powinniśmy pójść poprzekadzać trochę tym z przeciwka - powiedział do Freddy'ego, który stał obok, pykając fajkę.

- Mhm.

- Jestem pewien, że będą ci się podobali.

Freddy, który rzadko interesował się bliźnimi, wyraził przypuszczenie, że nowi sąsiedzi muszą być ciągle bardzo zajęci meblowaniem domu.

- Chodźmy do nich - powtórzył pan Beebe. - Są tego warci.

To mówiąc otworzył furtkę i nie spiesząc się przeszedł przez trawnik, który rozpościerał się przed willą.

- Dzień dobry - odpowiedział jakiś ponury głos.

- Przyprowaźiłem gościa.

- Zaraz schodzę.

Wejście do domu zastawiała szafa, której tragarze nie zdołali wnieść na górę. Pan Beebe z trudem precisił się obok niej. Pokój, do którego weszli, wypełniały książki.

- Ci ludzie lubią czytać - szepnął Freddy.

- Zdaje się, że tak. Co my tu mamy...Byron. Oczywiście. Chłopiec z Shroshire... nigdy o tym nie słyżiałem. Droga człowiecza? Pierwsze słyżę. Gibbon... Proszę! Grodi George czyta po niemiecku! Schopenhauer, Nietzsche... No cóż, wy, młodzi, macie swoje własne pomysły.

- Panie Beebe, proszę spojrzeć na to - powiedział Freddy z przerażeniem.

Na drzwiach szafy czyjaś niewprawna ręka napisała:

„Należy, powiadam, wystrzegać się wszelkich przedsięwzięć wymagających nowego odzienia, lecz nie nowego człowieka”. (Henry David Thoreau, Walden, czyli życie w lesie.)

- Czy to nie świetne? Jestem pewien, że to pomysł starego pana Emersona.

- Przedziwny pomysł.

- Myślę, że zgadzasz się z tym stwierdzeniem?

Freddy nie na darmo był jednak synem swej matki i nie pochwałał niszczenia mebli.

- Spójrzmy na obrazy! - zawołał pan Beebe, potykając się o jakieś pudła stojące na podłodze. - Giotto! Założę się, że kupili go we Florencji.

- Tak, Lucy przywiozła taki sam.

- Właśnie, właśnie. Jak pannie Honeychurch udał się pobyt w Londynie?

- Przyjechała wczoraj.

- Pytam, czy się dobrze bawiła.

- Chyba tak - odrzekł Freddy, przeglądając jakąś książkę. - Ona i Cecil nigdy jeszcze nie byli w tak dobrej komitywie.

- Miło to słyszeć.

- Chciałbym nie być takim głupcem, panie Beebe.

Pastor pominął tę uwagę milczeniem.

- Lucy była prawie tak niemądra jak ja. Mama uważa jednak, że teraz się to zmieni. Teraz Lucy zacznie czytać książki.

- Ty możesz zrobić to samo.

- O, nie. Ja będę czytał tylko książki medyczne, a nie takie, o których można porozmawiać po ich przeczytaniu. Cecil uczy Lucy włoskiego i zachwyca się jej grą. Dostrzegł w niej wiele rzeczy, których my nigdy nie zauważyliśmy. Cecil mówi, że...

- Co oni robią tam na górze? Emerson, chyba przyjdziemy tu innym razem! - zawołał pan Beebe. George zbiegł na dół i bez słowa odepchnął ich od drzwi.

- Proszę, poznajcie się - rzekł pastor. - Pan Honeychurch, mieszka w sąsiedztwie...

I wtedy stała się rzecz niespodziewana.

- Się masz - powiedział Freddy. - Chodźmy się wykąpać.

Dlaczego padły te słowa, nie wiadomo. Może Freddy poczuł do George'a sympatię, a może stwierdził, że twarz młodego Emersona potrzebuje wody.

- Dobrze - odrzekł tamten beznamyślnie.

Pan Beebe był szczerze ubawiony.

- „Się masz”? „Się masz. Chodźmy się wykąpać” - zachichotał. - To najlepsze powitanie, jakie kiedykolwiek usłyszałem! Obawiam się jednak, że wymienić je mogą tylko dwaj mężczyźni. Czy możecie sobie wyobrazić jedną damę mówiącą do drugiej : „Się masz. Chodźmy się wykąpać”? Niech mnie nikt nie próbuje przekonać, że kobiety i mężczyźni są równi.

- A powinni być - powiedział stary pan Emerson, schodząc powoli ze schodów. - Witam pana, panie Beebe. Powiedziałem, że się zaprzyjaźnią, a George jest tego samego

zdania.

- Czy uważa pan, że kobiety i mężczyźni powinni mieć równe prawa? - dopytywał się pan Beebe.

- A Eden? - ciągnął pan Emerson wciąż schodząc po schodach. - Umieszczamy go w przeszłości, on jednak nastanie tu i teraz, prędzej niż się tego spodziewamy. Stanie się to wtedy, kiedy przestaniemy wreszcie pogardzać naszą cielesną powłoką.

Pastor odmówił umieszczenia Edenu w jakimś konkretnym miejscu czy czasie.

- Tylko w tej jednej kwestii my, mężczyźni, przewyższamy kobiety. Pogardzamy ciałem mniej niż one. Dopóki jednak nie będziemy równi, nie znajdziemy wejścia do Ogrodu.

- Idziemy się wykąpać? - zapytał Freddy, przygnębiony tą dawką filozofii.

- Kiedyś wierzyłem w powrót do Natury. Jak jednak można powrócić do Natury, nigdy się z nią nie zetknąwszy? Naszym zadaniem jest odkryć Naturę. Tylu podbojów już dokonaliśmy... Powinniśmy wreszcie odzyskać prostotę. To jest nasze dziedzictwo.

- Chciałem przedstawić pana Honeychurcha - wtrącił pan Beebe. - Jego siostrę poznał pan we Florencji.

- Bardzo mi miło. Cieszę się, że pana widzę i że zaproponował pan George'owi kąpiel. Słyszałem, że pańska siostra wychodzi za mąż... Dobra nowina! Małżeństwo jest obowiązkiem. Jestem pewien, że będzie szczęśliwa! Mogę tak powiedzieć, bo poznaliśmy również pana Vyse'a. Jesteśmy mu ogromnie zobowiązani. Spotkaliśmy go przypadkowo, w National Gallery. W trakcie rozmowy dowiedział się, że szukamy domu i pomógł nam znaleźć to cudowne miejsce. Mam nadzieję, że nie zraziłem sobie sir Harry'ego Otwaya... Tak niewielu liberalnych gospodarzy spotkałem w życiu; byłem ciekaw porównania jego poglądów na prawo łowieckie z tym, co sądzą konserwatyści. Ach, ten wiatr! Dobrze robicie, idąc się wykąpać. Pięknie tu w waszych stronach, Honeychurch!

- Wcale nie - mruknął Freddy. - Muszę... to znaczy będę miał przyjemność złożyć panu wizytę później... Tak powiedziała moja matka.

- Złożyć wizytę, mój chłopcze? Kto cię nauczył takiej salonowej gadaniny? Złożyć wizytę możesz swojej babci. Posłuchaj wiatru wśród sosen... Tak, to piękne miejsce.

Pan Beebe przyszedł Freddy'emu z pomocą.

- Panie Emerson, my wszyscy złożymy panu wizytę, ja i Freddy, i jego matka, a potem pan i George odwiedzą nas, zanim upłynie dziesięć dni. Dziesięć dni, ufam, że wie pan o tym. Nieważne, że pomagałem wam wczoraj przy schodach, ani że George i Freddy idą się dzisiaj kąpać.

- W każdym razie idź się wykąpać, George. Nie traćcie czasu na gadanie.

Przyprowadź ich potem na herbatę i po herbacie przynieście ze sobą trochę mleka, ciastek i miodu. Zmiana dobrze ci zrobi. George pracował bardzo ciężko w biurze. Cud, że jeszcze nie stracił zdrowia.

George pokiwał głową. Był zakurzony od stóp do głowy, a jego ubranie wydzielalo specyficzny zapach kogoś, kto cały dzień zajmował się ustawianiem mebli.

- Czy na pewno masz ochotę na tę kąpiel? - zapytał Freddy. - To tylko zwykły staw, a ty pewnie przywykłeś do czegoś lepszego.

- Tak, przecież już powiedziałem, że mam ochotę.

Ruszyli. Pan beebe, który czuł się zobowiązany dotrzymać im towarzystwa, otwierał pochód. Weszli do lasu. Jak cudownie było odetchnąć pachnącym powietrzem! Przez jakiś czas słyszeli jeszcze pana Emersona. Potem głos starszego pana ucichł i tylko szum wiatru, igrającego wysoko wśród gałęzi, zakłócał ciszę.

Pan Beebe, nie mogąc znieść milczenia, które nagle zapadło, zaczął mówić, gdyż cała wyprawa wyglądała na klęskę, a żaden z jego towarzyszy nie wyrzekł słowa. Mówił o Florencji. George słuchał niechętnie i od czasu do czasu potakiwał lub zaprzeczał za pomocą nieznacznych, lecz zdecydowanych gestów, które były równie niewytłumaczalne, jak ruchy drzew nad ich głowami.

- Co za niezwykły przypadek, że spotka pan tu również pana Vyse'a! Czy zdawał pan sobie sprawę, że w Windy Corner znajdzie pan cały pensjonat „Bertolini”?

- Nie. Panna Lavish poinformowała mnie o tym.

- W młodości zawsze chciałem napisać „Historię przypadku” - powiedział pan Beebe. Jego młodzi towarzysze przyjęli to bez entuzjazmu.

- Chociaż, wbrew pozorom, przypadki nie zdarzają się tak często, jak można by przypuszczać - ciągnął. - Jeżeli się dobrze zastanowić, to że jesteś tutaj, wcale nie jest dziełem przypadku..

Ku jego uldze George wreszcie zdecydował się przemówić.

- Oczywiście, że jest. Los decyduje o wszystkim. Los sprawia, że się spotykamy i los nas rozdziela. Spotykamy się i rozstajemy. Los, jak wiatr, miota nami i nigdzie nie pozwala nam osiąść.

- Nie zgadzam się - przerwał ostro pastor. - Proszę posłuchać dobrej rady, Emerson: niczego nie należy przypisywać losowi. Nigdy nie mów: „Nie moja wina”, bo to, co się dzieje, w dziewięciu przypadkach na dziesięć zależy od nas. Gdzie po raz pierwszy spotkałeś pannę Honeychurch i mnie?

- We Włoszech.

- A gdzie spotkałeś pana Vyse'a, który poślubi pannę Honeychurch?

- W National Gallery.

- ... oglądając włoską sztukę. Czy można tu mówić o przypadku? Podświadomie szukasz tego, co włoskie, tak samo jak my i nasi przyjaciele. W ten sposób pole naszego działania znacznie się zawęża - i oto spotykamy się znowu.

- Los sprawił, że tu jestem - powtórzył George uparcie. - Ale może pan to nazywać, jak pan chce.

Pan Beebe uchylił się od tak poważnej interpretacji tematu. Nieskończenie wyrozumiały dla młodych, nie miał ochoty dokuczać George'owi.

- W każdym razie jest to jedna z wielu przyczyn, dla których „Historia przypadku” powinna bezwzględnie zostać napisana.

Nastąpiła chwila milczenia.

Pragnąc zmienić temat dodał:

- Bardzo się cieszymy, że zdecydowaliście się tu zamieszkać.

Znów nastąpiło milczenie.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Freddy.

- Wspaniale! - zawołał pan Beebe ocierając czoło.

- Tam jest staw. Szkoda, że nie jest większy - dodał Freddy tonem usprawiedliwienia.

Zeszli po śliskim brzegu, pokrytym sosnowymi igłami. Staw, otoczony zielenią, był wystarczająco duży, by pomieścić jednocześnie kilku amatorów kąpieli, i wystarczająco czysty, by odbijać niebo. W czasie deszczów jego objętość powiększała się znacznie; otaczająca go świeżo obmyta trawa miała piękną, szmaragdową barwę.

- Jest wystarczająco dobry jak na staw - odrzekł pan Beebe. - Nie ma co narzekać.

George znalazł suche miejsce, usiadł i zaczął rozsznurowywać buty.

- Czy te ogromne ilości wierzbowki nie są cudowne? Uwielbiam wierzbowkę, kiedy przekwita. Jak się nazywa ta pachnąca roślina?

Nikt nie wiedział i nikt o to nie dbał.

- Te zmiany w świecie przyrody, ta woda pokryta roślinnością, a dookoła te wszystkie wrzose, orlice i sosny! Czarujące, bardzo czarujące.

- Panie Beebe, pan się nie kąpie? - krzyknął Freddy, który już zdążył się rozebrać.

Pan Beebe spojrzał na niego niepewnie. Freddy wskoczył do wody.

- Jest cudownie! - zawołał.

- Woda jak każda inna - mruknął George. Zmoczył włosy przed wejściem do wody - niewątpliwie objaw apatii - i poszedł za Freddyem, tak obojętny, jakby sam był posągiem, a

staw wiadrem mydlin. Należy jednak używać mięśni. Należy być czystym. Pan Beebe patrzył na nich i na nasiona wierzbowki tańczące chmarą nad ich głowami.

- Uuu - hu! Uuu - hu! - krzyczał Freddy, pływając w tę, to w drugą stronę i za każdym razem wpadając w trzciny lub błoto.

- Czy naprawdę warto się kapać? - zapytał George, stojąc na brzegu niczym figura Michała Anioła.

Nagle ziemia osunęła się i chłopiec wpadł do wody, zanim jeszcze przebrzmiały jego słowa.

- Połknąłem kijankę! - krzyczał Freddy. - Panie Beebe, woda jest cudowna, jest po prostu pierwszorzędna!

- Woda nie jest najgorsza - przyznał George, który właśnie pojawił się na powierzchni.

- Woda jest cudowna. Panie Beebe!

Pastor rozejrzał się wokół ostrożnie. Wyglądało na to, że za żadnym krzakiem nie czają się podstępni parafianie. Niebo i woda, drzewa i wiatr - to wszystko, co widział wokół siebie.

- Myślę, że mogę się do was przyłączyć - powiedział w końcu. Wkrótce na brzegu obok dwóch stosików ubrania pojawił się i trzeci.

Woda była zupełnie zwyczajna, a w dodatku nie była zbyt głęboka. Jak słusznie zauważył Freddy, pływało się w niej jak w misce z sałatą. Może jednak dlatego, że słońce świeciło tak mocno, a powietrze po deszczach zyskało cudowną świeżość, a może dlatego, że dwaj dżentelmeni byli młodzi wiekiem, a trzeci duchem - dość, że zapomnieli o Włoszech, o losie, zapomnieli o wszystkim i zaczęli się bawić. Pan Beebe i Freddy krzyczeli z uciechy, ochlapując się nawzajem wodą. Po chwili namysłu ochlapali też George'a, który milcząco przypatrywał się ich harcom. Przez chwilę wydawał się obrażony, a potem nagle młodość przełamała wszelkie bariery. Roześmiał się i skoczył ku nim. Wszyscy trzej zaczęli walczyć ze sobą, w końcu, bez tchu, znaleźli się na brzegu.

- Ścigajmy się! - zawołał Freddy. W szaleńczym tempie zaczęli okrążyć staw. George skaleczył się w łydkę i musiał ponownie wejść do wody, żeby obmyć ranę. Pan Beebe również przyłączył się do gonitwy - cóż za wspaniały widok!

Biegali, żeby wyschnąć, kąpali się ponownie dla ochłody, bawili w Indian wśród wierzbowki i paproci, i kąpali znowu, żeby zmyć z siebie błoto i piasek. Przez cały ten czas ich ubrania leżały na brzegu. Pierwszy przypomniał sobie o nich Freddy.

- Strzelam! - krzyknął, kopiając ubranie George'a.

George nie pozostał mu dłużny.

- Gol! - zawołał i ubranie Freddy'ego wzleciało w powietrze.

- Gol!

- Podanie!

- Uważajcie na mój zegarek! - zawołał pan Beebe.

Ubrania fruwały we wszystkie strony.

- Uważajcie na mój zegarek! Freddy, już wystarczy! Ubierzcie się. Wystarczy, mówię!

Jednakże chłopcy wpadli w typowy dla młodego wieku stan chwilowego szaleństwa, którego nie są w stanie przerwać żadne prośby ani napomnienia. Znikli wśród drzew, Freddy z ubraniami pastora pod pachą, George z księżym kapeluszem na mokrej głowie.

- Poczekajcie! - krzyczał pastor, przypomniawszy sobie, że jest przecież we własnej parafii. Nagle jego głos zmienił się. - Chłopcy, wracajcie! Jacyś ludzie tu idą!

Odpowiedziały mu krzyki i tupot nóg w oddali.

- Wracajcie! Tu idą damy! Damy!

George ani Freddy nie byli złośliwi. Nie usłyszeli jednak ostatnich słów pana Beebe'a. Gdyby tak się nie stało, nie wpadliby na panią Honeychurch, Cecila i Lucy, którzy udawali się właśnie z wizytą do starej pani Butterworth. Freddy, który biegł pierwszy, rzucił ubranie pastora na ścieżkę i dał nura w paprocie. George, w kapeluszu na ociekających wodą włosach, zamarł na chwilę w bezruchu, potem krzyknął i zawróciwszy rzucił się w stronę stawu.

- Boże miłosierny! - zawołała pani Honeychurch. - Kto to był? Kochanie, odwróć się... Biedny pan Beebe też tutaj? Co się, na Boga, stało?

- Chodźcie tędy - rozkazał Cecil, który czuł, że powinien chronić damy, choć zupełnie nie wiedział jak i przed czym. Ruszył dokładnie tam, gdzie schował się Freddy.

- Biedny pan Beebe! Czy to nie jego płaszcz widzieliśmy na ścieżce? Cecil, płaszcz pana Beebe'a...

- To nie nasza sprawa - odparł Cecil zerkając na Lucy, która chowała twarz za parasolką.

- Pan Beebe wskoczył chyba z powrotem do wody - ciągnęła pani Honeychurch.

- Pani Honeychurch, proszę tędy.

Ruszyły za nim posłusznie, przybierając ten napięty, a jednocześnie obojętny wyraz twarzy, jaki przystoi damom w podobnych sytuacjach.

- Trudno, wychodzę - powiedział jakiś głos tuż przed nimi. - Nie możecie mnie przecież zdeptać.

Był to Freddy, który wyłonił się zza paproci, ukazując piegowatą twarz i śnieżnobiałe ramiona.

- Kochanie, więc to ty? Co za okropny pomysł! Wolałabym, żebyś kąpał się w domu.

- Człowiek musi sobie czasem popływać, no a potem wyschnąć, a jeśli...

- Kochanie, masz zapewne jak zwykle rację, ale w twojej sytuacji...Chodź, Lucy, idziemy. - Zawróciły. - Patrz! Nie, nie patrz! Pan Beebe! To okropne!

Pan Beebe wyławiał właśnie z wody pozostałe części swej garderoby, a George stał obok niego i krzyczał do Freddy'ego, że złapał rybę.

- A ja - wołał Freddy - ja połknąłem kijankę. Skacze mi w brzuchu. Emerson, ty draniu! Włożyłeś moje majtki!

- Cicho! - zawołała pani Honeychurch, odzyskując równowagę. - Musicie się szybko ubrać, inaczej przeziębienie gotowe.

- Mamo, chodźmy stąd. Na litość boską, chodźmy stąd - powiedziała Lucy, przyśpieszając kroku. Było jednak za późno.

- Dzień dobry! - zawołał George, wychodząc z wody. - Dzień dobry, panno Honeychurch, dzień dobry!

- Lucy, na Boga, kto to jest? Ukłoń się! Ja też się ukłonię.

Panna Honeychurch złożyła ukłon.

Przez wieczór i całą noc woda w stawie opadła. Nazajutrz rano jeziorko odzyskało dawne rozmiary i przybrało zwykły wygląd.

ROZDZIAŁ XIII: BOJLER PANNY BARLETT

Ileż razy Lucy ćwiczyła ten ukłon, to powitanie! Cały czas jednak trwała w przekonaniu, że jej spotkanie z George'em odbędzie się w domu, a więc przy użyciu pewnych niezbędnych rekwizytów. Będąc w Londynie u matki Cecila, Lucy wiele razy zastanawiała się nad tym spotkaniem. Nie wiedziała, czy młody pan Emerson okaże jej obojętność, czy będzie nieśmiały, czy też niegrzeczny. Na każdą z tych ewentualności była przygotowana. Nigdy jednak nie przypuszczała, że George powita ją radosnym okrzykiem, stojąc prawie nago na brzegu jeziora wśród porzrzucanych płaszczy, kołnierzyków i butów.

Pijąc herbatę u pani Butterworth Lucy doszła do wniosku, że przyszłości nie można przewidzieć, że nie sposób przygotować się na to, co niesie nam życie. Drobną zmianą scenariusza i wszystkie nasze gesty i słowa, zaplanowane z taką starannością, tracą swe znaczenie lub znaczą zbyt wiele. „Uklonię się - postanowiła przed tym spotkaniem. - Nie podam mu ręki. Tak będzie najlepiej.” Tymczasem co się stało?

Odbywali właśnie jedną z tych okropnych wizyt, do których zmusiły ich zaręczyny. Pani Butterworth chciała zobaczyć czy raczej obejrzeć Cecila, on zaś nie miał na to najmniejszej ochoty. Nie chciał rozmawiać o hortensjach, które zmieniają kolor, jeśli hoduje się je nad morzem. Nie chciał należeć do Towarzystwa Charytatywnego, a we wszystkim, co mówił, czuło się irytację. Im bardziej go coś drażniło, tym bardziej zawile i długie stawały się jego odpowiedzi, nawet wówczas, kiedy wystarczyłoby krótkie „tak” i „nie”. Lucy starała się zatrzeć złe wrażenie, jakie robił, a jednocześnie uspokoić jego samego. Nikt nie jest doskonały, myślała, ale dobrze jest poznać tę niedoskonałość przed ślubem. Panna Barlett nauczyła swą młodą kuzynkę, że w życiu niewiele może nas naprawdę zadowolić. Lucy, choć nie lubiła nauczycielki, naukę uznała za godną uwagi, szczególnie jeśli chodzi o Cecila.

- Lucy - zapytała pani Honeychurch, kiedy wróciły do domu - czy z Cecilem jest coś nie tak?

Lucy spojrzała na nią zaskoczona, bo do tej pory jej matka zachowywała się wobec Cecila powściągliwie, ale uprzejmie.

- Nie sędzę, mamó. Wydaje mi się, że wszystko jest w porządku.

- Może jest zmęczony?

Lucy po chwili namysłu przyznała, że może rzeczywiście.

- W przeciwnym razie - pani Honeychurch krzywiąc się wyjęła szpilki z kapelusza - ...w przeciwnym razie nie potrafię zrozumieć jego zachowania.

- Jeżeli chodzi ci o jego zachowanie wobec pani Butterworth, to ja również uważam, że jest męcząca.

- To Cecil kazał ci tak myśleć. Będąc mała uwielbiałaś ją. Czy nie pamiętasz już, jak pielęgnowała cię, kiedy miałaś tyfus? Cecil traktuje wszystkich w ten sposób.

- Pozwól, że odłożę twój kapelusz, mamó.

- Czy przez te pół godziny nie mógł zdobyć się na uprzejmość w stosunku do niej?

- Cecil zbyt wiele wymaga od ludzi - powiedziała Lucy niepewnie, czując zbliżające się kłopoty. - To z powodu jego ideałów. To dlatego może się czasem wydawać...

- Bzdury! Jeśli młody człowiek staje się niegrzeczny z powodu swoich wzniosłych ideałów, to powinien czym prędzej ich się pozbyć - powiedziała pani Honeychurch wręczając jej kapelusz.

- Mamó! I tobie się zdarzało zezłościć na panią Butterworth!

- Ale nie w ten sposób. Czasami mam ochotę ukręcić jej głowę, ale to nie to samo. Mówię ci, Cecil traktuje wszystkich w ten sposób.

- Czy mówiłam ci, że będąc w Londynie dostałam list od Charlotty?

Ta próba była zbyt dziecinna, by odwrócić uwagę pani Honeychurch.

- Cecil jest zły, odkąd wrócił z Londynu. Niczym nie sposób go zadowolić. Krzywi się, kiedy do niego mówię, Lucy. Nie próbuj zaprzeczać. Wiem, nie jestem wykształcona, zdolna ani muzykalna. I nic nie poradzę na nasze meble w salonie. Twój ojciec kupił je i musimy pogodzić się z tym faktem. Cecil mógłby pamiętać, że nam się nie przelewa.

- Wiem, mamó. Cecil na pewno nie powinien mówić pewnych rzeczy. Chodzi o to, że... jego denerwują pewne sprawy, a nie ludzie jako tacy. On nie lubi brzydoty, ale to nie znaczy, że chce być nieuprzejmy.

- No dobrze, w takim razie czy Freddy'ego da się oddzielić od sposobu, w jaki śpiewa?

- Nie możesz wymagać, żeby komuś tak muzykalnemu jak Cecil podobały się nasze piosenki.

- Mógł wyjść z pokoju. Po co naigrywać się, robić miny i psuć wszystkim przyjemność?

- Nie wolno być niesprawiedliwym dla otoczenia - powiedziała niepewnie.

Kiedy była w Londynie, towarzystwo Cecila sprawiało jej przyjemność. Teraz wszystko, terażniejszość i przyszłość, straciły formę. Dwie cywilizacje zderzyły się ze sobą i fakt ten wprowadził Lucy w stan zakłopotania. Zły i dobry smak nie pasowały do siebie, tak jak dwie inaczej skrojone części garderoby.

Lucy pozostała zakłopotana przez cały czas, kiedy pani Honeychurch zmieniała suknię

do obiadu, od czasu do czasu mówiąc coś, co tylko pogarszało sytuację. Nie ulegało wątpliwości, że Cecil chciał okazywać lekceważenie i doskonale mu się to udawało.

- Idź się przebrać, kochanie. Obiad już za chwilę.

- Dobrze, mamó.

- Nie mów „dobrze” skoro stoisz w miejscu. Idź szybko.

Lucy posłuchała, ale po wyjściu z pokoju stanęła w holu, przy oknie. Wychodziło na północ i niewiele było z niego widać. Nie mogła dostrzec nieba. Teraz, tak jak w zimie, gałęzie sosen zwisały blisko jej oczu. To okno zawsze kojarzyło się jej z uczuciem przygnębienia. Nie trafił jej określony problem, a jednak westchnęła:

- Co robić, co robić? - Wszystko szło źle. Zdała sobie nagle sprawę, że nie powinna mówić matce o liście od Charlotty. Na pewno będzie chciała wiedzieć, co w nim jest.

Freddy wbiegł na górę w podskokach.

- Emersonowie to kapitalni ludzie! - zawołał.

- Kochanie, nie powinienes zabierać ich nad staw. To miejsce jest zbyt uczęszczane, żeby się tam kąpać. Wyglądaliście cokolwiek dziwacznie. Musisz być rozsądniejszy na przyszłość. Zapominasz, że mieszkamy już na przedmieściu.

- Czy robimy coś w przyszłym tygodniu?

- Nie zastanawiałam się nad tym.

- W takim razie Emersonowie muszą przyjść do nas w niedzielę na tenisa.

- Nie, Freddy, to nie jest dobry pomysł. Już i tak jest wystarczająco dużo zamieszania.

- Jakiego zamieszania? Na pewno się zgodzą. Zamówiłem nowe piłki.

- Powiedziałam, że to nie jest dobry pomysł.

Złapał Lucy za łokcie i tanecznym krokiem ruszył wzdłuż korytarza. Udawała, że ją to bawi, choć naprawdę miała ochotę krzyknąć ze złości. Cecil, idący do łazienki, zerknął na nich z dezaprobatą. Wpadli na Marię, która niosła gorącą wodę. W końcu pani Honeychurch wychyliła się ze swego pokoju i powiedziała:

- Lucy, co to za hałas? Czy mi się zdawało, czy dostałaś list od Charlotty?

Freddy zniknął.

- Tak. Teraz muszę iść się przebrać.

- Co u Charlotty?

- Wszystko w porządku.

- Lucy! Masz zły zwyczaj uciekania w środku rozmowy. Czy Charlotta pisała coś o swoim bojlerze?

- O czym?!

- Nie pamiętasz, że w październiku mieli wymieniać jej bojler i wannę?

- Nie jestem w stanie pamiętać o wszystkich zmartwieniach Charlotty. Mam dosyć swoich, teraz, kiedy nie jesteś zadowolona z Cecila.

Pani Honeychurch miała prawo wybuchnąć gniewem. Nie zrobiła tego jednak.

- Chodź tu do mnie, moja panno, i pocałuj mnie.

I tak oto, choć nic nie jest doskonałe, Lucy poczuła przez chwilę, że jej matka i Windy Corner, zalany światłem zachodzącego słońca - właśnie takie są.

Wszystko stało się prostsze. Tak się zawsze działo w Windy Corner. Kiedy rodzinna maszyna zaczynała się psuć, ktoś w ostatniej chwili dolewał do niej kroplę oleju. Cecil potępiał tę metodę - być może słusznie. Tak czy owak, nie była ona jego własną.

Obiad rozpoczął się o wpół do siódmej. Freddy wymruczał modlitwę, a potem wszyscy odsunęli ciężkie krzesła i zasiedli do stołu. Na szczęście mężczyźni byli głodni. Nic złego nie wydarzyło się aż do puddingu. Wtedy jednak Freddy zapytał:

- Lucy, jaki jest Emerson?

- Spotkałam go we Florencji - powiedziała, mając nadzieję, że to wystarczy za odpowiedź.

- Wydaje się bystry, prawda?

- Zapytaj Cecila, on go tutaj sprowadził.

- Tak, pod pewnymi względami jest podobny do mnie - odparł Cecil.

Freddy spojrział na niego z powątpiewaniem.

- Czy dobrze poznałeś go będąc w pensjonacie? - zapytała pani Honeychurch.

- Prawie wcale, Charlotta jeszcze mniej.

- Właśnie, co Charlotta pisze w tym liście?

- Nic specjalnego - odrzekła Lucy, zastanawiając się, czy uda jej się przetrwać do końca posiłku bez kłamstwa. - Napisała między innymi, że ta jej okropna przyjaciółka przejeżdżała na rowerze przez Summer Street i zastanawiała się, czy nas odwiedzić, ale na szczęście tego nie zrobiła.

- Lucy, to co mówisz, jest niegrzeczne.

- Ona jest pisarką - powiedziała Lucy sprytnie. Był to strzał w dziesiątkę. Nic tak nie złościło panią Honeychurch, jak literatura tworzona przez kobiety. Była w stanie porzucić każdy inny temat, by wyrazić swe potępienie dla tych kobiet, które zamiast zajmować się domem i dziećmi, szukają sławy. Zwykła powtarzać, że: „Jeśli już ktoś musi pisać książki, niech to robią mężczyźni”. Pani Honeychurch nigdy nie mogła się powstrzymać od wygłaszania swoich poglądów na ten temat, co i teraz uczyniła. Cecil ziewał, Freddy bawił się

pestkami śliwek, a Lucy umiejętnie dolewała oliwy do ognia. Wkrótce jednak temat się wyczerpał, a w ciemności zaczęły gromadzić się duchy. Było ich zbyt wiele. Ten pierwszy - wspomnienie pocałunku - pojawił się już dość dawno; to, że mężczyzna pocałował ją kiedyś w górach, mogło pozostać bez znaczenia. Lecz zgromadziło się już całe mnóstwo widm: pan Harris, list panny Barlett, wspomnienia pana Beebe'a o fiołkach - któreś z nich miało zdemaskować Lucy, na oczach Cecila.

- Przypomniał mi się ten list od Charlotty. Jak ona się miewa, Lucy? - zapytała znowu pani Honeychurch.

- Wyrzuciłam ten list.

- Nie pisała, jak się czuje? Czy dobrze?

- Tak, chyba tak... nie, chyba niezbyt dobrze.

- W takim razie to na pewno sprawa bojlera. Sama wiem, jak wpływa na mnie brak wody.

Cecil zasłonił dłonią oczy.

- Na mnie też - poparł ją Freddy.

- Zastanawiałam się - dodała - czy nie moglibyśmy pomieścić tu jakoś Charlotty. Spędziłaby miły tydzień, podczas gdy w Tunbridge Wells skończyliby prace. Biedna Charlotta, nie widziałam jej od tak dawna.

To było więcej, niż Lucy mogła wytrzymać. Z drugiej strony, nie mogła protestować zbyt gwałtownie ze względu na wyrozumiałość, jaką okazała jej matka na gorze.

- Mamo, tylko nie to! - zawołała. - To niemożliwe. Charlotta się tu nie zmieści w żaden sposób. Do Freddy'ego we wtorek przyjeżdża przyjaciel, jest Cecil, a ty obiecałaś zabrać do nas Minnie Beebe z powodu epidemii dyfterytu. Nie pomieścimy się.

- Nonsens! Oczywiście, że się pomieścimy.

- Tak. Jeżeli Minnie będzie spać w wannie.

- Minnie może spać z tobą.

- Nie ma mowy.

- Dobrze, skoro jesteś taki samolub, pan Floyd może dzielić pokój z Freddyem.

- Panna Barlett, panna Barlett, panna Barlett! - jęczał Cecil.

- To niemożliwe - powtórzyła Lucy. - Nie chcę sprawiać trudności, ale to naprawdę nie fair w stosunku do służby zapraszać tylu gości naraz.

- Niestety!

- Prawda jest taka, kochanie, że nie lubisz Charlotty.

- Zgadza się, nie lubię. I Cecil też jej nie lubi. Ona nas denerwuje. Nie widziałas jej

ostatnio, nie pamiętasz więc, jaka potrafi być męcząca, choć stara się być dobra. Proszę, mamó, to moje ostatnie lato w domu. Nie psuj go zapraszając Charlotte.

- Brawo! Brawo! - zawołał Cecil.

Pani Honeychurch z większą niż zwykle powagą odrzekła:

- To naprawdę nieładnie z waszej strony. Wy macie siebie nawzajem, macie lasy, do których możecie chodzić, i wszystko inne. Biedna Charlotta ma tylko wyłączoną wodę i hydraulików. Jesteście młodzi i choćbyście byli najmądrzejsi i przeczytali niewiadomo ile książek, nie domyślacie się, jak to jest zestarzeć się w samotności.

Cecil łamał na kawałki kromkę chleba.

- Muszę przyznać, że kuzynka Charlotta była dla mnie bardzo miła, kiedy przyjechałem do niej na rowerze w ubiegłym roku - powiedział Freddy. - Dziękowała mi tak długo i tak się denerwowała, kiedy gotowała dla mnie jajko na miękko, aż poczułem się jak ostatni głupiec.

- Wiem, kochanie. Ona jest dobra dla wszystkich, a teraz Lucy sprzeciwia się, kiedy chcemy choć trochę jej odpłacić.

Lucy była jednak niewzruszona. Nie opłacało się być dobrą dla panny Barlett. Lucy starała się być taką ostatnio zbyt często. Może w niebie nagradzano za to, ale ani panny Barlett, ani nikogo innego nie dało się na tym świecie w ten sposób zmienić.

- Nic na to nie poradzę, mamó. Nie lubię Charlotty, choć przyznaję, że to okropne z mojej strony - rzekła.

- Ty również nie byłaś dla niej dobra.

- Ten wyjazd z Florencji, to nie było mądre z jej strony. Straciła głowę.

Duchy powracały. Były we Włoszech, a teraz atakowały miejsca znane Lucy od dzieciństwa. Święte Jezero już nigdy nie będzie takie, jak dawniej. Może już niedługo coś przytrafi się samemu Windy Corner. Jak walczyć z duchami?

Na moment widzialny świat zniknął, zastąpiły go wspomnienia i emocje.

- Myślę, że panna Barlett powinna przyjechać, skoro tak świetnie gotuje jajka - powiedział Cecil.

- Wcale nie powiedziałem, że to jajko było dobrze ugotowane. Wręcz przeciwnie, zapomniała je wyjąć z wody na czas - zaprotestował Freddy. - Ale dla mnie to bez różnicy.

Cecil wzniósł oczy w górę. Rodzina Honeychurch! Jajka, bojłery, hortensje, służba - takie właśnie były najważniejsze elementy ich życia.

- Czy ja i Lucy możemy już odejść od stołu? - zapytał z nie ukrywaną wyniosłością. - Nie chcemy deseru.

ROZDZIAŁ XIV: LUCY STAWIA CZOŁA KŁOPOTOM

Oczywiście panna Barlett przyjęła zaprosiny z radością, wyrażając przy tym przekonanie, że swoim przyjazdem na pewno sprawi wszystkim mnóstwo kłopotu. Prosiła, aby dano jej najgorszy pokój. Pozdrowienia dla Lucy.

George Emerson, co było równie oczywiste, z radością przyjął zaproszenie na niedzielny tenis.

Lucy dzielnie stawiała czoła sytuacji, choć, jak większość z nas, skupiała się wyłącznie na świecie zewnętrznym. Nigdy nie spoglądała w głąb siebie. Wszystkie niepokoje kładła na karb nerwów. Od kiedy Cecil sprowadził Emersonów na Summer Street, z Lucy działo się coś dziwnego. Drżała ze strachu. Nie mogła spać w nocy. Niemal natychmiast po pamiętnym spotkaniu nad stawem natchnęła się na George'a w kościele. Jego głos wydał jej się muzyką i poczuła dziwne pragnienie, by pozostać przy nim jak najdłużej. Czy rzeczywiście mogła chcieć czegoś równie okropnego? Wszystko to wina nerwów. Cecil któregoś popołudnia powiedział jej wiele na temat psychologii.

Czytelnik powie z całym przekonaniem: „Ona kocha młodego Emersona”. Dla Lucy jednak nie było to takie proste. Łatwo jest pisać o życiu, trudniej uporać się z tym, co ono przynosi. Wierzyła, że kocha Cecila, a George wyprowadza ją z równowagi, i nie przyszło jej na myśl, że może być na odwrót.

Jednak w chwili najważniejszej Lucy miała zachować się dzielnie. Spotkanie w kościele przebiegło dość pomyślnie. Stojąc pomiędzy panem Beebe'em a Cecilem, Lucy poczyniła parę zdawkowych uwag na temat podróży po Włoszech. George odpowiadał uprzejmie. Pod żadnym pozorem nie chciała mu okazać swego zmieszania, on również wydawał się spokojny.

- Miły człowiek - powiedział pan Beebe, kiedy pożegnali George'a. - Z czasem pozbędzie się swych wad. Nie ufam młodym ludziom, którzy wchodzą w życie bez problemów.

- Jest chyba w lepszym nastroju, śmieje się więcej - zauważyła Lucy.

- Tak... - odparł pastor. - On się budzi.

Tydzień, jaki pozostał do przyjazdu Charlotty, minął spokojnie. Mimo najdokładniejszych w świecie instrukcji, Charlotta zdołała skomplikować swój przyjazd. Pani Honeychurch pojechała po nią na stację, ona jednak wysiadła gdzie indziej i wynajęła bryczkę. Kiedy przyjechała do Windy Corner, zastała tam tylko Freddy'ego i jego przyjaciela,

którzy musieli przerwać grę i zabawić ją przez dobrą godzinę. Cecil i Lucy, razem z małą Minnie Beebe, przyjechali o czwartej. Wszyscy razem tworząc dość żalobny sekstet, usiedli na trawniku przed domem, by wypić herbatę.

- Nigdy sobie nie wybaczę - powtarzała panna Barlett, która co chwila wstawiała ze swego miejsca i siadała z powrotem, pod wpływem chóralnych błagań reszty towarzystwa. - Zanudzam was! Zepsułam wszystko. Pozwólcie mi chociaż zapłacić za bryczkę.

- Nasi goście nigdy tego nie robią! - zawołała Lucy.

- Właśnie od pół godziny usiłuję o tym przekonać kuzynkę Charlotte, Lucy - odparł Freddy z ledwo tłumioną irytacją; wspomnienie gotowanego jajka przybladło w jego pamięci.

- Ale ja nie czuję się wcale jak zwykły gość - powiedziała panna Barlett i spojrzała na swe wystrzępione rękawiczki.

- No dobrze, jeśli koniecznie chcesz... Pięć szylingów; dałam już jednego woźnicy - przystała Lucy.

Panna Barlett zajrzała do portmonetki - tylko funty i pensy. Czy ktoś ma może drobne? Freddy miał pół funta, jego przyjaciel cztery razy po pół korony. Panna Barlett wzięła pieniądze i powiedziała:

- Komu mam w takim razie dać funta?

- Poczekajmy z tym, dopóki nie wróci mama.

- Nie, kochanie. Już i tak ma dosyć problemów przeze mnie. Wszyscy mamy swoje małe dziwactwa; do moich należy skrupulatność w rachunkach.

W tym momencie przyjaciel Freddy'ego zaproponował, żeby rozstrzygnąć sprawę za pomocą losowania. Wyglądało to na dobry pomysł i nawet Cecil, który dotąd ostentacyjnie pił herbatę, siedząc na uboczu, odwrócił się i spojrzał na nich z zaciekawieniem.

Panna Barlett zaprotestowała.

- Wiem, że jestem okropna - powiedziała. - Ale gdybym się na to zgodziła, ktoś z was zostałby praktycznie ograbiony.

- Freddy jest mi winien piętnaście szylingów - wtrącił Cecil. - Myślę, że najlepszym wyjściem jest dać tego funta mnie.

- ...Piętnaście szylingów? - powtórzyła panna Barlett podejrzliwie. - Jak to, panie Vyse?

- Widzi pani, Freddy zapłacił za bryczkę. Proszę dać mi funta i unikniemy całego zamieszania.

Panna Barlett, która nigdy nie była dobra w rachunkach, sięgnęła po funta, przy akompaniamencie stłumionych chichotów. Przez moment Cecil był zadowolony, bawiąc się

tą bezsensowną sytuacją. Potem spojrział na Lucy i dostrzegł, że zniecierpliwienie zgasiło uśmiech na jej twarzy. W styczniu uwolni ją od tych ogłupiających rozmów.

- Nie bardzo rozumiem - wtrąciła Minnie Beebe, która pilnie śledziła całą tę transakcję. - Dlaczego pan Vyse ma dostać funta?

- Bo piętnaście szylingów i pięć szylingów daje razem funta - zapewnili ją z powagą.

- Ale...

Próbowali zapchać jej buzię ciastkiem, lecz się wyrwała.

- Ale przecież funt... Freddy, nie kłuj mnie. Panno Honeychurch, pani brat mnie kłuje. Au! A co z dziesięcioma szylingami pana Floyda? Au! A co z tym szylingiem napiwku? Nie rozumiem, dlaczego panna Jak - Jej - Tam miałyby nie zapłacić tego szylinga.

- Zapomniałam o napiwku - zawołała panna Barlett, czerwieniąc się. - Dziękuję, kochanie, że mi przypomniałaś. Szyling? Czy ktoś mógłby rozmienić mi pół korony?

- Już wiem - powiedziała Lucy, wstając nagle. - Cecil, daj mi tego funta. Oddaj mi go! Poproszę Eufemię, żeby mi go rozmieniła i policzymy wszystko jeszcze raz od początku.

- Lucy, ileż kłopotu wam sprawiam! - jęknęła Charlotta i ruszyła za kuzynką w stronę domu. Lucy przyspieszyła kroku, udając rozbawienie. Kiedy oddaliły się na bezpieczną odległość, Charlotta zapytała szybko:

- Powiedziałas mu już o nim?

- Nie - odrzekła Lucy machinalnie i ugryzła się w język.

Uciekła do kuchni. Nagłe przemiany panny Barlett były nie do zniesienia. Czasem zdawało się, że planuje każde słowo, które chce powiedzieć. Tak jakby całe zamieszanie z bryczką wywołała po to, by znaleźć się sam na sam z Lucy.

- Nie, nie powiedziałam Cecilowi ani nikomu innemu - odparła Lucy, kiedy wróciła z drobnymi. - Obiecałam ci, że nie powiem. Tu są pieniądze, same szylingi i dwa razy po pół korony. Możesz przeliczyć? Teraz już nie będzie problemu z oddaniem pieniędzy.

Panna Barlett stała w salonie, patrząc na przywiezione z Florencji „Wniebowstąpienie świętego Jana”, które powieszono na ścianie.

- To okropne - powiedziała - więcej niż okropne, gdyby pan Vyse miał się dowiedzieć o wszystkim z innego źródła.

- Ależ to nonsens, Charlotto - odparła Lucy. - George Emerson nic nie powie, a czy istnieje jeszcze jakieś inne źródło?

- A woźnica? - zapytała panna Barlett z przekonaniem. - Widziałam, jak patrzył na was z zza krzaków. Trzymał fiołek w zębach.

Lucy zadrżała lekko.

- Musimy skończyć z tą głupią historią. To się staje denerwujące. W jaki sposób woźnica z Florencji mógłby spotkać Cecila?

- Musimy pomyśleć o każdej możliwości.

- Nie przesadzajmy!

- No, a stary pan Emerson? On na pewno wie o wszystkim.

- Nie obchodzi mnie, czy wie. Byłam ci wdzięczna za list, ale nawet jeśli ta wiadomość by się rozeszła, jestem pewna, że Cecil śmiałyby się z tego.

- Zaprzeczyłby temu?

- Nie, śmiałyby się z tego - powtórzyła, choć w głębi serca czuła, że nie może mu ufać, bowiem pragnie jej nietkniętej.

- Dobrze, kochanie. Rób, jak uważasz. Może dżentelmeni zmienili się, odkąd byłam młoda? Damy na pewno są inne niż dawniej.

- Charlotta, zdecyduj się wreszcie - powiedziała Lucy żartobliwie. - Najpierw mówisz mi: „nie mów”, potem „mów”. Co mam w końcu zrobić?

Panna Barlett westchnęła.

- Nie wiem, moja droga. Wolę nie myśleć o tym, jak kierowałam tobą we Florencji, podczas gdy ty sama doskonale umiałaś dać sobie radę. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

- Możemy już do nich wrócić? Potłuką całą porcelanę, jeśli tego nie zrobimy.

Rzeczywiście, z ogrodu dobiegały wrzaski Minnie, którą skalpowano łyżeczką do herbaty.

- Kochanie, jeszcze chwilka. Możemy już nie mieć okazji do rozmowy. Czy widziałś młodego Emersona?

- Tak.

- I co się stało?

- Nic, spotkaliśmy się w kościele.

- Jak się zachowywał?

- Normalnie. Mówił o Włoszech, jak każda inna osoba. Co by mu to dało, gdyby zachował się jak gbur? Charlotta, uwierz mi, on naprawdę nie sprawi żadnych kłopotów.

- Gbur zawsze pozostanie gburem. Takie jest moje zdanie.

Lucy milczała przez chwilę.

- Cecil powiedział kiedyś, że istnieją dwa rodzaje takich ludzi. Można być takim świadomie i podświadomie - przerwała, zastanawiając się, czy nie przekreśla niczego w wywodzie Cecila. Wyjrzała przez okno i zobaczyła jego samego, przeglądającego jakąś książkę. Była to nowa powieść z biblioteki Smitha. Matka Lucy musiała zatem właśnie

wrócić ze stacji.

- Gbur zawsze pozostanie gburem - powtórzyła Charlotta, jak katarzynka.

- Kiedy mówię „podświadomie” - ciągnęła Lucy - chodzi mi o to, że pan Emerson stracił głowę. Zobaczył mnie wśród tych fiołków i zachował się niemądrze. Był oszołomiony. Nie sędzę, żeby trzeba go było winić. Piękne otoczenie naprawdę odgrywa dużą rolę. Pan Emerson po prostu stracił głowę. To wszystko stało się niespodziewanie. On mnie wcale nie podziwia, sądzić tak byłoby nonsensem. Freddy go lubi. Zaprosił go nawet na tenisa w niedzielę, będziesz więc mogła sama się przekonać. Zmienił się. Nie wygląda jak zawsze, jakby miał się zaraz rozplakać. Jest urzędnikiem w dyrekcji jednej z większych kolei - a nie bagażowym. Przyjeżdża do ojca na weekendy. Jego ojciec był dziennikarzem, ale przeszedł na emeryturę z powodu kłopotów ze zdrowiem. To wszystko. A teraz chodźmy do ogrodu - powiedziała mocno ujmując Charlotte pod ramię. - Załóżmy, że więcej nie wspomnimy już słowem o tej historii. Chcemy, żebyś spędziła z nami miły, spokojny tydzień.

Czytelnik mógłby w całej tej przemowie dostrzec słabe punkty, któż jednak wie, czy dostrzegła je panna Barlett? Nie sposób przewidzieć, co przyjdzie do głowy starej pannie. Rozmowę przerwała kuzynkom pani Honeychurch, która właśnie weszła do pokoju. Posypały się wyjaśnienia, podczas których Lucy wymknęła się z pokoju, z głową pełną niespokojnych myśli.

ROZDZIAŁ XV: KATASTROFA

Niedziela po przyjeździe panny Barlett była cudownym dniem, tak jak większość dni tego roku. Do Weald zbliżała się jesień, przełamując zieloną monotonię lata, zdobiąc lasy szarym kwieciem mgły, barwiąc złociście brzozy i dęby. Bataliony czarnych sosen obserwowały tę zmianę ze wzgórz. Niebo rozpościerało się nad światem błękitne i bezchmurne, w krystalicznym powietrzu drgał dźwięk kościelnych dzwonów.

Ogród w Windy Corner był pusty. Jedynie na skąpanej w słońcu, zwirowej alejce leżała czerwona książka. Z domu dochodziły bezładne głosy kobiet szykujących się do kościoła.

- Panowie powiedzieli, że nie jadą.

- Nie dziwię się...

- Minnie pyta, czy koniecznie musi jechać.

- Powiedz jej, żeby nie plotła głupstw.

- Anno, Mario! Zapnijcie mnie z tyłu!

- Lucy, czy mogłabyś podać mi szpilkę? - Panna Barlett postanowiła w końcu, że pojedzie ze wszystkimi.

Słońce w swej podróży wzniosło się dzisiaj wysoko, wiedzione nie przez Faetona, ale przez Apolla, znającego swe rzemiosło. Gorące promienie wpadały przez okna do pokojów, padały na pana Beebe'a, który w swoim domu na Summer Street uśmiechał się czytając list od panny Katarzyny Alan, i na George'a Emersona, który czyścił przed drzwiami buty swego ojca, a także, by nie pominąć niczego, na wspomnianą wyżej czerwoną książkę. Kobiety, szykujące się do kościoła, pan Beebe, George - wszyscy poruszali się, a ruch może wywołać cień. Książka jednak leżała nieruchomo cały ranek w ciepłe słonecznych promieni, a jej okładka wygięła się, jakby odpowiadając na pieszczotę sphywającą z nieba.

Lucy zeszła z tarasu i mrużąc oczy ruszyła przez trawnik. Nosila nową, wiśniową suknię, którą uznać należało za nieudany nabytek. Pod brodą miała broszkę z granatów, a na palcu rubinowy, zaręczynowy pierścionek.

- Lucy, Lucy! Kto to bierze książkę z półki i zostawia ją potem w ten sposób? - zawołała pani Honeychurch.

- To tylko książka z biblioteki; Cecil ją pożyczył.

- Podnieś ją i nie stój tam jak jakiś flaming.

Lucy podniosła książkę i obojętnie zerknęła na tytuł - W cieniu Loggi. Nie czytała już

powieści, poświęcając cały wolny czas poważniejszej lekturze. Miała nadzieję doścignąć Cecila. Przerazała ją własna niewiedza.

Co gorsza, coraz szybciej zapominała wszystko, czego nauczyła się we Włoszech. Nie dalej jak tego ranka pomyliła Francesca Francię z Pierro della Francesca. Cecil był niepokieszony.

- Nie pozwól, żeby to wszystko uleciało ci z głowy - prosił z wyrzutem.

Lucy stała w promieniach słońca, witając ogród, wzgórze i niebo, i zastanawiała się, czy nie woli ich stokroć bardziej od Włoch.

- Lucy? Masz sześciopensówkę dla Minnie i szylinga dla siebie?

Lucy podeszła do matki.

- Będą dziś zbierać na jakąś specjalną okazję, nie pamiętam dokładnie, o co chodzi. Zobacz, czy Minnie ma sześciopensówkę. Gdzie to dziecko się podziewa? Minnie! Ta książka jest cała wygnieciona... Boże, jakaś ty dzisiaj blada! Włóż ją pod atlas, niech się wyprostuje. Minnie!

Idę, pani Honeychurch!

- Chodź, dziecko, spóźnimy się. Koń już czeka. Gdzie Charlotta? Pobiegnij na górę, powiedz jej, żeby się pospieszyła. Co ona tam robi? Przecież już dawno jest ubrana.

Pogaństwo jest zaraźliwe i to o wiele bardziej niż dyfteryt czy pobożność, toteż bratanica pastora została siłą zmuszona do niedzielnej wyprawy. Nie zrezygnowała jednak z protestów. Dlaczego nie może poczekać na słońcu z młodymi panami? Młodzi panowie wyszli właśnie na dwór i zaczęli drwić z niej bezlitośnie. W chwilę potem zjawiała się Charlotta, ubrana wedle najnowszej mody.

- Droga Marian, bardzo mi przykro, ale nie mam drobnych - powiedziała. - Same funty i półkorony. Czy ktoś mógłby...

- Tak, tak. Wsiadaj. Charlotto, pięknie wyglądasz! Cudowna suknia! Najemy się wstydu przy tobie.

- A gdzie ja mogę nosić najlepsze ubrania, jeśli nie tu? - zapytała panna Barlett, rumieniąc się z dumy i usadowiła się tyłem do konia. Zapanowało nieuniknione przy takich okazjach zamieszanie. Ruszyły.

- Do widzenia! Bawcie się dobrze! - zawołał Cecil.

Lucy przygryzła usta, słysząc ironię w jego głosie. Na temat kościoła i „wszystkiego, co z tym związane” odbyli ostatnio niezbyt przyjemną rozmowę. Twierdził, że każdy powinien przejść w życiu przemianę; Lucy nie chciała się zmieniać, nie wiedziała też, jak tego dokonać. Cecil doceniał religijność, twierdził jednak, że powinna ona wypływać z

duchowego kryzysu. Nie wierzył, że może być rzeczą „wrodzoną”, że wiara może wznosić się ku niebu zwyczajnie, jak kwiat. Wszystko, co Cecil mówił na ten temat, bolało ją, mimo że na pozór promieniował tolerancją. Lucy nie mogła powstrzymać się od myśli, że Emersonowie byli tacy inni od niego.

Zobaczyła ich po mszy. Przy drodze do kościoła stał rząd powozów i tak się złożyło, że powóz Honeychurchów stał naprzeciwko „Cissie”. Idąc na ukos przez wielki, przykościelny trawnik, damy natknęły się na ojca i syna palących papierosy w ogrodzie.

- Przedstaw mnie - powiedziała pani Honeychurch do Lucy. - Chyba że ten młody człowiek uważa, że już mnie zna - dodała z uśmiechem.

George najprawdopodobniej poznał panią Honeychurch, jednak Lucy dokonała oficjalnej prezentacji. Stary pan Emerson wyraził swoją radość z powodu zaręczyn Lucy. Podziękowała mu uprzejmie, a kiedy zjawili się pan Beebe z bratanicą i panną Barlett, skierowała rozmowę na bezpieczniejsze tory. Zapytała mianowicie, jak się czują w nowym domu.

- Doskonale - odrzekł pan Emerson, ale w jego głosie pojawiła się nutka irytacji, coś, czego Lucy nigdy u niego nie słyszała. - Dowiedzieliśmy się, że panny Alan zamierzają tu przyjechać, i że to one pierwsze dostały propozycję zamieszkania w tym domu. Wygląda na to, że odebraliśmy biedaczkom dach nad głową. Jest mi bardzo przykro z tego powodu.

- Musiało zajść jakieś nieporozumienie - powiedziała pani Honeychurch niespokojnie.

- Nasz gospodarz sądził, że jesteśmy artystami czy kimś takim - wtrącił George. - Jest bardzo rozczarowany.

- Zastanawiam się, czy nie powinniśmy napisać do panien Alan i poprosić, żeby zajęły nasze miejsce - powiedział pan Emerson, zwracając się do Lucy. - Jak pani sądzi?

- Nie, teraz, kiedy już tu jesteście, bezwarunkowo powinniście zostać - powiedziała. To, co się stało, było niewątpliwie winą Cecila, choć nikt jak dotąd nie wymienił jego imienia.

- George mówi tak samo. Mówi, że panny Alan powinny sobie poszukać innego miejsca. Mimo wszystko jednak nie wygląda to za dobrze.

- Na tym świecie jest tylko pewna, niewielka ilość dobra - powiedział George, patrząc na przejeżdżające powozy.

- Otóż właśnie! - zawołała pani Honeychurch. - Zawsze to powtarzam. Po co robić tyle zamieszania wokół panien Alan?

- Jest tylko pewna, niewielka ilość dobra - ciągnął - tak jak jest tylko określona ilość światła. Rzucamy swój cień, gdziekolwiek się znajdziemy, dlatego też przenoszenie się z

miejsca na miejsce nic nie daje. Cięń podąża za nami, dokądkolwiek pójdziemy. Należy znaleźć miejsce, w którym nie czynimy wiele zła, i zostać już tam, patrząc w słońce.

- Panie Emerson, to piękne, co pan mówi! - zawołała pani Honeychurch. - Mam jednak nadzieję, że nie dzielił się pan tymi refleksjami z Freddym?

W oczach George'a pojawił się uśmiech; wyglądało na to, że tych dwoje znalazło wspólny język.

- Nie, nie mówiłem mu tego - odparł. - To on mi to wszystko powiedział. Ja swoje życie zacząłem od znaku zapytania.

- Słucham? Od czego? Nie, nie, proszę mi niczego nie tłumaczyć. Freddy oczekuje pana z niecierpliwością dziś po południu. Czy gra pan w tenisa? Czy ma pan coś przeciwko tenisowi w niedzielę?

- George miałby mieć coś przeciwko tenisowi w niedzielę?! - wtrącił pan Emerson. - Po całej edukacji, którą odebrał, miałby...

- Znakomicie. A więc nie ma nic przeciwko - ucięła pani Honeychurch. - Panie Emerson, będziemy zachwyceni, jeśli przyjdzie pan razem z synem.

Podziękował uprzejmie, mówiąc, że dla niego to za daleki spacer.

- A zatem, chce oddać swój dom pannom Alan? - zapytała George'a.

- Wiem - odparł i objął ojca ramieniem. Dobroć, z której istnienia pan Beebe i Lucy zawsze zdawali sobie sprawę, ujawniła się w nim nagle, tak jak słońce oświetlające niespodziewanie krajobraz...

Poranne słońce? Lucy przypomniała sobie, że przy całej swej przewrotności George nigdy nie krytykował afektacji.

Nadeszła panna Barlett.

- Zna pan moją kuzynkę? - zapytała pani Honeychurch uprzejmym tonem. - Razem z moją córką podróżowała po Włoszech.

- Tak, oczywiście! - wykrzyknął stary pan Emerson i zdawało się, że wyjdzie z ogrodu, aby ją powitać. Panna Barlett pospiesznie wsiadła do powozu. Stamtąd, niczym z warownej wieży, oddała chłodny ukłon. Powróciła atmosfera pensjonatu „Bertolini”, stół w jadalni, z karafkami wody i wina, i dawny spór o pokój z widokiem.

George nie odpowiedział na ukłon Charlotty. Jak każdy chłopiec w podobnej sytuacji, zarumienił się ze wstydu. Wiedział, że przyzwoitka pamięta.

- Przyjdę na tenisa, jeśli mi się uda - powiedział czerwieniąc się i wszedł do domu.

Lucy była skłonna patrzeć na niego krytycznie, jednak to zachowanie ją wzruszyło. Mężczyźni nie są w końcu bogami, są równie nieśmiali i wrażliwi jak dziewczęta. Nawet

mężczyźni cierpią czasem i potrzebują pomocy. Wzruszenie, jakie ją ogarnęło, było podobne do tego, które odczuła we Florencji, kiedy George wrzucił do Arno jej fotografie.

- George, nie zostawiaj nas! - zawołał pan Emerson, który żywił głębokie przekonanie, iż rozmowa z jego synem należy do nielicznych przyjemnych rzeczy na tym świecie. - George był od rana w takim dobrym humorze. Jestem pewien, że odwiedzi dziś państwa.

Lucy dostrzegła spojrzenie kuzynki i odczuła nagle dziwną przekorę.

- Tak - powiedziała głośno. - Mam nadzieję, że przyjdzie.

Ruszyła w stronę powozu, mrużąc do siebie: „Wiedziałam, że wszystko będzie w porządku. Pan Emerson nie wie o niczym”.

„Nie powiedział swemu ojcu, któremu mówi wszystko - myślała. - A więc nie śmiał się ze mnie, kiedy odeszłam. Nie kocha mnie. Nie! To byłoby okropne! Ale nie powiedział, nie powiedział i nie powie nikomu.” Kopyta koni stukwały wesoło: „Nie powiedział. Nie powiedział”. Cieszyła się, że tego ostatniego wieczoru we Florencji, kiedy klęcząc na podłodze pakowały walizy, panna Barlett wymogła na niej obietnicę milczenia. Ten sekret, duży czy mały, pozostał sekretem. Oprócz trójki Anglików nie wiedział o nim nikt na świecie.

Powitała Cecila z promiennym uśmiechem, a kiedy pomagał jej wysiąść, oznajmiła:

- Emersonowie byli bardzo mili, a George Emerson zmienił się prawie nie do poznania.

- Ach, jakże się miewają moi protegowani? - zapytał Cecil takim tonem, jakby dopiero w tej chwili przypomniał sobie, kim są Emersonowie.

- Protegowani! - powtórzyła Lucy i zaśmiała się, bo przyszło jej nagle na myśl, że Cecil uznawał tylko jeden rodzaj stosunków z otoczeniem: feudalizm. Przyjaźń, braterstwo, do których Lucy tak tęskniła - to były pojęcia obce jego duszy.

- Sam się przekonasz, jak się miewają. George Emerson przyjdzie tu dziś po południu. Rozmowa z nim jest wprost pasjonująca... tylko nie próbuj... nie próbuj go chronić.

Przerwała, bo odezwał się dzwon, wzywający na lunch, a Cecil jak zwykle nie słuchał uważnie tego, co miała do powiedzenia.

Lunch udał się wspaniale. Zazwyczaj Lucy nie zносиła wspólnych posiłków. Musiała uspokajać Cecila lub pannę Barlett, a przy tym jakiś wewnętrzny głos mówił jej: „To wszystko, co cię otacza, przeminie. W styczniu pojedziesz do Londynu, na zawsze”. Dzisiaj jednak poczuła, że coś się zmieniło, jakby dano jej gwarancję, że to, co bliskie jej sercu, nie przeminie, że matka i Freddy już zawsze siadywać będą przy tym stole, a słońce nigdy nie przestanie zaglądać przez okna jadalni.

Po lunchu poproszoną ją o grę. Widziała niedawno „Armidę” Glucka i teraz zagrała z

pamięci melodię cudowną, melodię, która nigdy nie przemija, lecz pulsuje jak bezkresne bajkowe morze, ale nie nadającą się na fortepian. Słuchający zaczęli się niecierpliwić. Cecil, dzieląc ogólne niezadowolenie, zawołał:

- Lucy, zagraj coś innego, zagraj Parsifala!

Zamknęła instrument.

- Niezbyt to ładnie, Lucy - usłyszała głos matki. Przestraszona, że uraziła Cecila, odwróciła się twarzą do zgromadzonych. W drzwiach stał George.

- Och, nie wiedziałam, że ... - zawołała rumieniąc się, po czym, bez słowa powitania, ponownie otworzyła fortepian. Cecil usłyszy swojego „Parsifala” i wszystko, czego sobie zażyczy.

- Nasza artystka zmieniła zdanie - powiedziała panna Barlett.

Lucy, zmieszana, zagrała kilka taktów i przerwała. Zapadła cisza, którą przerwał Freddy.

- Głosuję za tenisem - powiedział.

- Tak - podchwyciła Lucy skwapliwie, ponownie zamykając fortepian. - Zagrajcie sobie we czwórkę.

- Znakomicie!

- Beze mnie - zastrzegł Cecil. - Nie będę psuł wam seta. Nie potrafił zrozumieć, że nawet słaby gracz jest lepszy niż żaden, i że takie poświęcenie może dowodzić wspaniałomyślności.

- Daj spokój, Cecil. Ja nie gram dobrze, Floyd to ostatnia ofiara, a Emerson też pewnie jest nie lepszy - powiedział Freddy.

- Ja gram dobrze - poprawił go George.

- Tym bardziej nie mogę zagrać - odrzekł Cecil.

- Zgadzam się z panem, panie Vyse - wtrąciła panna Barlett. - Lepiej, żeby pan nie grał.

Minnie obwieściła, że w takim razie zagra zamiast Cecila.

- Nie trafię w żadną piłkę, ale co z tego? - powiedziała beztrosko. Niestety, natychmiast przypomniała sobie, że jest niedziela.

- Lucy, w tobie cała nadzieja - powiedziała pani Honeychurch. - Musisz się zgodzić. Idź na górę i przebierz się.

Lucy w ten właśnie sposób traktowała Dzień Pański - bez cienia hipokryzji pamiętała o nim rano i zapominała po południu. Zmieniając suknię zastanawiała się, czy Cecil będzie na nią zły. Tyle rzeczy wymagało przemyślenia, o tylu sprawach musiała zdecydować przed

ślubem.

Jej partnerem był pan Floyd. Lubiła muzykę, ale tenis wydawał się dwakroć lepszy. O wiele przyjemniej było biegać po trawie w wygodnym ubraniu, niż siedzieć sztywno przy fortepianie.

George zaskoczył wszystkich swoją grą i wolą zwycięstwa. Lucy przypomniała sobie, jak we Florencji, kiedy stali patrząc na Arno, powiedział: „Będę chciał żyć! Teraz to pragnienie stało się widoczne. Chciał żyć, chciał wygrać w tenisa i zdobyć wszystko, co do zdobycia pod słońcem. A że słońce chyliło się ku zachodowi i świeciło Lucy prosto w oczy, wygrał w istocie.

Jakże piękne było Weald! Wzgórza górowały nad okolicą tonąc w świetle, tak jak Fiesole wznosi się nad Toskanią. Być może Lucy zapomniała już to, czego nauczyła się we Włoszech. Zaczęła za to dostrzegać Anglię. Tutaj znajdzie miejsce, które zastąpi jej Florencję. Tak, Weald było piękne.

Cecil był w nieznośnym nastroju. Asystował im podczas gry w tenisa. Przechadzał się po trawniku i czytał na głos fragmenty powieści, którą uznał za tak złą, że warta głośniejszej lektury.

- Słuchaj, Lucy! - zawołał, cytując jakieś niezręczne zdanie.

- Okropność - odparła Lucy, nie trafiając w piłkę.

Kiedy skończyli grać, Cecil kontynuował czytanie. Freddy i pan Floyd poszli szukać piłek, które podczas gry wylądowały w krzakach. Lucy i George pozostali, nie mając żadnej wymówki.

- Kolejna scena rozgrywa się we Florencji - oznajmił Cecil.

- To ciekawe. Czytaj! Panie Emerson, proszę usiąść tutaj i odpocząć po tym wszystkim.

Lucy, wedle własnego określenia, „wybaczyła” George'owi, wobec czego postanowiła być dla niego uprzejma.

Przeskoczył przez siatkę i usiadł u jej stóp.

- A pani? - zapytał. - Czy pani jest zmęczona?

- Nie, oczywiście, że nie!

- Czy bardzo nie lubi pani przegrywać? - zapytał.

Chciała odpowiedzieć, że jest jej to obojętne, kiedy nagle zdała sobie sprawę, że jest dokładnie na odwrót.

- Bardzo - powiedziała. - Co nie znaczy wcale, że jest pan takim dobrym graczem - dodała ze śmiechem. - Miał pan słońce z tyłu, mnie świeciło w oczy.

- Wcale nie powiedziałem, że jestem dobrym graczem.
- Owszem, powiedział pan!
- Nie słuchała pani uważnie.
- Powiedział pan... Zresztą, to nieważne. W tym domu wszyscy przesadzamy.
- Scena rozgrywa się we Florencji - powtórzył Cecil podnosząc głos.

Lucy zamilkła posłusznie.

- „Zachód. Eleonora szła szybko...”

- Eleonora? - przerwała Lucy. - Czy to imię głównej bohaterki? Kto napisał tę książkę?

- Joseph Emery Prank - odrzekł Cecil. - „Zachód. Eleonora szła szybko przez plac. Czekał na nią zachód słońca. Zachód nad Florencją. Pod Loggia Orcagna czy też, jak często nazywamy, Loggia dei Lanzi...”

Lucy wybuchnęła śmiechem.

- Joseph Emery Prank! Rzeczywiście! To przecież panna Lavish? Napisała tę swoją powieść i wydała ją pod przybranym nazwiskiem.

- A któż to taki panna Lavish?

- Okropna osoba. Panie Emerson, pamięta pan pannę Lavish?

George spojrzał na nią.

- Oczywiście. Spotkałem ją tutaj, pierwszego dnia po przyjeździe. To ona powiedziała mi, że pani tu mieszka.

- Nie ucieszył się pan? - zapytała Lucy, chcąc powiedzieć: „Czy nie ucieszył się pan widząc pannę Lavish”. Kiedy jednak pochylił twarz i zamilkł, zdała sobie sprawę, że zrozumiał jej pytanie zupełnie inaczej. Spojrzała na jego głowę, która znalazła się na wysokości jej kolan, i zauważyła, że zaczerwieniły mu się uszy.

- Nic dziwnego, że ta powieść jest taka zła - dodała. - Nigdy nie lubiłam panny Lavish. Myślę jednak, że skoro ją się spotkało, należy również przeczytać jej książkę.

- Wszystkie współczesne książki są złe - powiedział Cecil, który, rozdrażniony brakiem uwagi ze strony Lucy, postanowił wyładować swą złość na literaturze. - Wszyscy piszą dla pieniędzy.

- Och, Cecil...

- Tak, tak właśnie jest. Toteż nie będę was dłużej zanudzał twórczością Josepha Emery'ego Pranka.

Cecil zachowywał się dzisiaj okropnie. Lucy jednak, nie wiedząc czemu, rejestrowała tylko ton jego głosu, nie będąc w stanie zrozumieć znaczenia słów. Spojrzała ponownie na

czarnowłosą głowę u swych kolan.

- Jak panu się podoba ta okolica? - zapytała.

- Nie wiem. Wszystkie widoki są takie same.

- Jak to?

- Nie ma między nimi różnicy. Jedyne, co się w nich liczy, to odległość i powietrze.

- Hm - mruknął Cecil, nie wiedząc, jak odebrać tę uwagę.

- Mój ojciec - George spojrzał na Lucy, jego twarz pokrywał lekki rumieniec - mój ojciec mówi, że istnieje tylko jeden widok naprawdę doskonały - a jest to niebo nad naszymi głowami. Wszystkie ziemskie widoki są tylko jego nieudolną kopią.

- Przypuszczam, że ojciec pana czytuje Dantego - powiedział Cecil, bębniąc palcami w okładkę książki.

- Powiedział nam kiedyś, że widok nie jest niczym więcej niż tłumem - tłumem drzew, domów, pagórków. Każdy tłum jest w pewnym sensie jednaki, dlatego też wszystkie widoki są do siebie podobne. Mają one nad nami jakąś dziwną władzę. W tłumie ludzkim jest coś, czego nie umiemy nazwać - i to samo jest także w krajobrazie... To coś jest również w tych wzgórzach - wskazał ręką na South Downs.

- To cudowne - powiedziała Lucy stłumionym głosem. - Z radością porozmawiam z pana ojcem. Przykro mi, że nie czuje się dobrze.

- To prawda, nie czuje się dobrze.

- Ta książka również pełna jest widoków - powiedział Cecil. - Nawet ludzi dzieli się w niej na dwie kategorie: na tych, którzy zapominają widoki, i tych, którzy je pamiętają.

- Panie Emerson, czy pan ma rodzeństwo?

- Nie. Dlaczego?

- Powiedział pan „nam”

- Miałem na myśli moją matkę.

Cecil zatrzasnął książkę.

- Cecil, przestraszyłeś mnie!

- Nie będę was dłużej zanudzał tą książką - oświadczył Cecil.

- Pamiętam, jak wyjeżdżaliśmy razem na wieś - mówił dalej George. Cecil wstał. To było nie do zniesienia. Ten źle wychowany człowiek nie zostałby tu, gdyby Lucy go nie zatrzymała.

- Cecil, czytaj dalej.

- Nie, nie będę czytał, dopóki pan Emerson jest tutaj, żeby nas zabawiać.

- Przeczytaj, proszę. Nie ma nic śmieszniejszego, niż takie rzeczy czytane na głos.

Jeżeli pan Emerson uważa, że to nie jest zabawne, może odejść.

Cecil uśmiechnął się z zadowolenia i usiadł z powrotem.

- Panie Emerson, proszę iść poszukać piłek - powiedziała Lucy, otwierając książkę. - Cecilowi należy się czytanie i wszystko to, na co ma ochotę.

- Czy naprawdę mam sobie iść? - zapytał.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Rozdział drugi - powiedział Cecil ziewając. - Znajdź rozdział drugi.

Lucy zrobiła, o co poprosił. Spojrzała na pierwsze zdania i zamarła.

- No, daj mi książkę! - ponaglał Cecil.

- Nie warto... to głupie - powiedziała. - Nigdy nie widziałam podobnych bzdur. Takich rzeczy nie powinno się drukować.

Cecil zabrał jej książkę i zaczął czytać.

- „Eleonora patrzyła w zamyśleniu na piękną równinę tokańską, ciągnącą się w dole u jej stóp. Była wiosna. W dali widniały wieże Florencji, a miejsce, w którym się znalazła, usiane było fiołkami. Antonio zbliżył się do niej niepostrzeżenie...”

Lucy spojrzała na George'a i pospiesznie odwróciła wzrok. Cecil czytał dalej.

- „Z ust jego nie padło ani jedno słowo. Zbliżył się do niej i w milczeniu wziął ją w ramiona.”

Zapadła cisza.

- To nie jest jeszcze ten fragment, o który mi chodziło - poinformował ich Cecil, przewracając kartki.

- Czy możemy pójść na herbatę? - zapytała Lucy nad podziw spokojnie.

Wstała i ruszyła w stronę domu, Cecil szedł kilka kroków za nią, George na końcu. Wydawało się, że katastrofa została zażegnana, lecz oto wkrótce okazało się, że nieszczęsna książka została na ławce. Cecil zawrócił, a kiedy oddalił się na wystarczającą odległość, George wyprzedził Lucy i zastąpił jej drogę.

- Nie! - krzyknęła cicho, lecz zanim zdążyła pomyśleć, George pocałował ją i z powrotem zniknął w zaroślach.

W chwilę potem pojawił się Cecil.

ROZDZIAŁ XVI: OKŁAMUJĄC GEORGE'A

Lucy jednak zmieniła się od wiosny. To znaczy, łatwiej jej przychodziło stłumić emocje, które nie mieściły się e ogólnie przyjętych ramach, i które mogły spotkać się z dezaprobatą ze strony otoczenia.

- Cecil, powiedz mamie, że nie przyjdę na herbatę - powiedziała. - Mam do napisania parę listów.

Poszła do swojego pokoju, by przygotować się do czekającej ją walki. Miłość, którą dajemy w zamian, miłość, której żądają nasze ciała i serca; miłość, najistotniejsza ze wszystkiego, czego doświadczamy - ukazała się Lucy jako największy wróg, którego trzeba zdławić.

Posłała po pannę Barlett.

Nie ma sprzeczności między miłością a obowiązkiem. Sprzeczność istnieje między tym, co prawdziwe, a tym, co odgrywamy. Lucy przede wszystkim chciała pokonać samą siebie. W miarę, jak obrazy zacierały się w jej pamięci, a wrażenie, jakie wywarła na niej książka panny Lavish, nieco zbladło, Lucy znowu poddała się nerwom. Walcząc z prawdą zapomniała, że prawda istnieje zawsze. Przypomniała sobie, że jest narzeczoną Cecila. Pomyślała o George'u i świadomie wywołała w sobie uczucie zakłopotania. George był dla niej nikim. Zachował się wstrętnie, nie chciała go znać, nigdy. Nie chciała mieć z nim wspólnego.

Falsz jest bronią obosieczną. Szkodzi nie tylko otoczeniu, ale zakrywa też przed człowiekiem jego własną duszę.

- Stało się coś okropnego - powiedziała. - Charlotto, czy wiesz cokolwiek o powieści panny Lavish?

Panna Barlett spojrzała na nią zaskoczona i powiedziała, że nie czytała książki i nie wie nic o jej wydaniu. Eleonora była w gruncie rzeczy bardzo skryta.

- Jest tam pewna scena - ciągnęła Lucy. - Scena miłosna. Czy wiesz coś na ten temat?

- Kochanie, co...

- Pytam, czy wiesz coś o tym? Scena rozgrywa się w górach, w oddali widać Florencję.

- Moja droga Lucy, nic z tego nie rozumiem. Nie wiem nic na ten temat.

- Jest też mowa o fiołkach i nie uwierzę, że to przypadek. Charlotto, jak mogłaś jej o tym powiedzieć?! Jest tak, jak myślałam. Musiałaś jej to powiedzieć.

- Powiedzieć? - powtórzyła z rosnącym poruszeniem.

- O tym, co zdarzyło się podczas tej nieszczęsnej wycieczki w lutym.

- Lucy kochana! Czy ona umieściła to w książce?! - Panna Barlett była szczerze poruszona.

Lucy skinęła głową.

- Tak, że można rozpoznać, o kogo chodzi?

- Tak.

- W takim razie Eleonora już nigdy, nigdy nie będzie moją przyjaciółką.

- A więc powiedziałaś jej o tym?

- To stało się przez przypadek. W Rzymie. Wymknęło mi się w trakcie rozmowy.

- Charlotto, a co z naszym przyrzeczeniem? Dlaczego powiedziałaś panie Lavish, skoro ja nie mogłam powiedzieć o tym matce?

- Nigdy nie wybaczę Eleonorze. Zawiodła moje zaufanie.

- Ale dlaczego jej powiedziałaś? To straszne.

Dlaczego mówi się takie rzeczy? To pytanie chyba zawsze pozostanie bez odpowiedzi. Charlotta westchnęła bezgłośnie. Postąpiła źle i przyznała się do tego. Mogła mieć tylko nadzieję, że swym postępowaniem nie wyrządziła nikomu krzywdy. Zobowiązała przecież Eleonorę do milczenia.

- Cecil przeczytał ten fragment na głos, mnie i panu Emersonowi! - zawołała Lucy z irytacją. - Pan Emerson po raz drugi zachował się nie tak, jak powinien. Za plecami Cecila. Dlaczego mężczyźni są tacy okropni? Za plecami Cecila, kiedy wracaliśmy do domu na herbatę. Co teraz robić? Może mi powiesz?

Panna Barlett wybuchła, oskarżając siebie i prosząc o wybaczenie.

- Och, Lucy, nigdy sobie tego nie wybaczę. Nigdy, aż do samej śmierci. Pomyśleć, że twoje plany...

- Teraz już wiem - powiedziała Lucy, wzdrygnąwszy się z powody ostatniej uwagi kuzynki - co miałaś na myśli, mówiąc o innym źródle! Wiedziałaś, że nie można ufać panie Lavish! Co się stało, to się nie odstanie. Postawiłaś mnie w okropnej sytuacji. Co mam teraz zrobić?

Panna Barlett nie wiedziała. Dni aktywności miała już za sobą. Była gościem, a nie przyzwoitką, co więcej - skompromitowanym gościem. Stała załamując ręce, podczas gdy Lucy usiłowała wywołać w sobie złość.

- Ten człowiek... musi dostać nauczkę, którą zapamięta do końca życia. Ale jak mam go osiągnąć? Nie mogę powiedzieć matce ani Cecilowi, i to przez ciebie, Charlotto. Jestem

bezradna. Chyba oszaleję. Nikt mi nie może pomóc. Dlatego posłałam po ciebie. Tu potrzeba człowieka z batem.

Panna Barlett przyznała jej rację.

- Tak, ale co ja mam zrobić? Co ma zrobić dziewczyna, kiedy napotyka gbura na swojej drodze?

- Zawsze mówiłam, że to gbur, kochanie. To musisz mi przyznać. Od pierwszej chwili, od kiedy powiedział, że jego ojciec bierze kąpiel...

- To jest już bez znaczenia. Obie tu zawiniłyśmy. Emerson siedzi tam na dole w ogrodzie zupełnie bezkarny.

Panna Barlett wyjrzała bezradnie przez okno.

- Porozmawiaj z nim, Charlotto.

- Poruszyłabym niebo i ziemię, żeby...

- Chcę wiedzieć, czy z nim porozmawiasz, czy nie. To jedyne, co możesz teraz zrobić, a wszystko co się stało, stało się, bo nie dotrzymałaś danego słowa.

- Eleonora Lavish nigdy już nie będzie moją przyjaciółką.

Charlotta przechodziła samą siebie.

- Tak, czy nie, pytam?

Panna Barlett milczała.

George Emerson wszedł na taras, niosąc rakietę tenisową i parę piłek.

- Doskonale! - zawołała Lucy. - Skoro nie chcesz mi pomóc... skoro nikt nie może mi pomóc, porozmawiam z nim sama.

Zanim jeszcze przebrzmiały te słowa, zrozumiała, że powiedziała dokładnie to, co chciała usłyszeć Charlotta.

- Emerson! - wołał Freddy. - Znalazłeś te piłki? Doskonale. Herbata czeka!

- Och, Lucy, jak to odważnie z twojej strony!

Lucy wyjrzała przez okno i poczuła, że na widok George'a przechodzi jej złość.

- Freddy zabrał go do salonu, inni są w ogrodzie. Chodźmy. Załatwmy to jak najszybciej. Chodź ze mną. Chcę, żebyś była w pokoju.

- Lucy? Czy naprawdę masz odwagę to zrobić?

- Jak możesz zadawać takie pytania?

- Biedna Lucy - powiedziała Charlotta, wyciągając do niej ramiona. - Przynoszę ci same nieszczęścia. - Lucy pokiwała głową, wyminęła kuzynkę i zaczęła schodzić na dół.

- spróbuj dzemu - mówił Freddy. - Jest całkiem niezły.

George przechadzał się po jadalni. Kiedy Lucy weszła, zatrzymał się i powiedział:

- Dziękuję, nie jestem głodny.

- Freddy, idź do ogrodu. Ja i Charlotta zajmijmy się panem Emersonem. Gdzie jest mama?

- Czyta w salonie.

- Znakomicie. A teraz idź.

Freddy wyszedł, nucąc coś cicho.

Lucy usiadła przy stole, panna Barlett, śmiertelnie przerażona, udała, że czyta książkę.

- Panie Emerson, mam tego dosyć - powiedziała Lucy. - Nie mam nawet ochoty, rozmawiać z panem. Proszę opuścić ten dom i dopóki jestem tutaj, nigdy się więcej nie pojawiać. Nie powtórzę tego więcej. Proszę wyjść.

- Ale...

- Bez dyskusji.

- Ale ja nie mogę...

- Proszę stąd wyjść. Nie mam zamiaru wołać pana Vyse'a.

- Nie ma pani zamiaru? - powtórzył, ignorując całkiem obecność Charlotty. - Ja miałem nadzieję, że nie ma pani zamiaru go poślubić.

Lucy spojrzała na niego zaskoczona.

- Niech pan nie będzie śmieszny - powiedziała cicho.

- Nie możesz żyć z tym człowiekiem. On... nie powinien wchodzić w bliskie związki ze swoim otoczeniem. A już na pewno nie z kobietą.

Ta wypowiedź niewątpliwie rzucała na Cecila nowe światło.

- Czy kiedykolwiek udało ci się rozmawiać z panem Vyse'em bez uczucia zmęczenia?
- ciągnął.

- To nie ma nic wspólnego z...

- Odpowiedz mi! On w ogóle nie powinien stykać się z ludźmi. Jak długo zajmuje się książkami, malarstwem, muzyką, wszystko jest w porządku. Wierz mi, on ma morderczy wpływ na ludzi. Utracić ciebie jest dla mnie straszne. Ale gdyby twój Cecil był innym człowiekiem, odszedłbym bez słowa. Kiedy zobaczyłem go w National Gallery... Lucy, gdybyś mogła widzieć wyraz jego twarzy, kiedy mój ojciec źle wymówił nazwisko jakiegoś sławnego malarza! A potem sprowadził nas tutaj, żeby spłatać figla sąsiadom. Ten człowiek gardzi ludźmi i bawi się nimi w okrutny sposób. Co robi z tobą? Mówi ci, co masz myśleć... Tobie i twojej matce. Dzięki taki jak on świat stoi w miejscu. Bezustannie formuje ciebie, tworzy cię na nowo, tak jakby ktokolwiek miał do tego prawo. Mówi ci, co jest piękne, co śmieszne, co wypada, a co nie. Słuchasz jego głosu, podczas gdy powinnaś słuchać siebie.

Dlatego... nie, nie dlatego cię pocałowałem. Nie żałuję tego i nie zamierzam za to przeproszać. Szkoda, że nie okazałem więcej opanowania. Jesteś taka przerażona, że nie widzisz nawet tego, że cię kocham. Czy teraz każesz mi odejść? Jeśli tak, to wiedz, że będę walczył.

- Jeśli pan Vyse zmusza mnie do słuchania, to ośmielę się stwierdzić, że pan czyni to samo.

- Tak - przyznał z nagłym zmęczeniem w głosie. - To prawda. W głębi duszy jestem równie brutalny. To pragnienie dominacji nad kobietą tkwi w nas bardzo głęboko - dlatego kobiety i mężczyźni muszą je razem zwalczyć, zanim wkroczą do rajskiego ogrodu. Ale ja ciebie kocham, kocham inaczej niż on. - Zamilkł na chwilę. - Tak, ja kocham cię bardziej. Chcę, żebyś zawsze była sobą, nawet kiedy będę trzymał cię w ramionach - wyciągnął do niej rękę. - Lucy, pospiesz się, nie ma czasu na rozmowy. Chodź do mnie, tak jak wtedy na wiosnę. Będę dla ciebie dobry. Wszystko ci wytłumaczę. Zależało mi na tobie, od momentu śmierci tamtego człowieka. Nie mogę żyć bez ciebie. ..Wszystko przepadło - pomyślałem. - Wychodzi za kogo innego.” Ale spotkałem cię znowu. Kiedy zobaczyłem cię wówczas w lesie, zrozumiałem, że nic innego się nie liczy. Zawołałem cię. Zaprañałem żyć i zdobyć tę odrobinę szczęścia, która mi się należy.

- A pan Vyse? - zapytała Lucy, zachowując godny podziwu spokój. - Czy on się nie liczy? To, że go kocham i niedługo zastanę jego żonę, to szczególnie niegodny uwagi?

Ponad stołem wyciągnął do niej ramiona.

- Czy mogę spytać, co chce pan osiągnąć tym przedstawieniem?

- Lucy, to nasza ostatnia szansa. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. - Spojrzał na pannę Barlett, której nieruchoma postać odcinała się ostrym kontuarem na tle okna. - Nie przeszkodzi nam pani po raz drugi, jeżeli zrozumiała pani cokolwiek z tego, co powiedziałem. Żyłem pogrążony w ciemności i w ciemność mnie pani wtrąci, jeśli nie zechce nas pani zrozumieć.

Wąska, wydłużona głowa Charlotty poruszała się powoli tam i z powrotem, jakby uderzając w jakąś niewidoczną przeszkodę. Milczała.

- Jesteśmy młodzi - powiedział łagodnie, podnosząc rakieta i szykując się do wyjścia.

- Lucy należy do mnie, to oczywiste.

Dwie kobiety spojrzały na niego w milczeniu. Ostatnia uwaga, wiedziały to, była zupełnie pozbawiona sensu. Czy jednak zamierzał już wyjść, czy nie? Czy ten dziwny człowiek nie zamierzał zakończyć swej przemowy w bardziej dramatyczny sposób? Nie. Był najwyraźniej zadowolony. Opuścił pokój, zamykając starannie drzwi. Wkrótce zobaczyły go za

oknem, wspinającego się na pagórek, porośnięty zeschniętymi już paprociami.

Przez chwilę milczały. Panna Barlett pierwsza odzyskała mowę.

- Lucy, Lucy, chodź do mnie! - zawołała. - Co za okropny człowiek!

Lucy spojrzała na nią w zamyśleniu.

- Muszę przyznać, że mnie zaskoczył - powiedziała powoli. - Albo ja jestem szalona, albo on. Zdaje się jednak, że to ostatnie jest bliższe prawdzie. A wszystko to twoja zasługa, Charlotta. Wielkie dzięki. Wygląda jednak na to, że to już koniec. Mój wielbiciel nie będzie mnie więcej nękał.

- Cóż, nie każdy potrafi zdobyć się na taką przemowę - powiedziała panna Barlett, uśmiechając się nieśmiało. - Nie powinniśmy się jednak śmiać, moja droga. On mówił to wszystko poważnie. Byłaś bardzo rozsądna - przyznała.

- Chodźmy na dół.

Kiedy znalazły się na zewnątrz, Lucy ogarnęło jakieś dziwne uczucie, którego nie potrafiła nazwać. Nie wiedziała, czy to żal, litość, przerażenie, może miłość... Zupełnie niespodziewanie uderzyło ją to, że minęło lato. W powietrzu unosił się ten szczególny zapach, który świadczy o nadejściu jesieni, a jednocześnie w bolesny sposób przypomina wiosnę. Pojedynczy liść spadł na ziemię wirując wolno. Świat, a wraz z nim Windy Corner, szykował się na przyjęcie ciemności.

- Lucy, wystarcza światła na jeszcze jednego seta, jeśli oboje się pośpieszycie! - zawołał Freddy.

- Pan Emerson musiał już iść - odrzekła.

- Jaka szkoda! A więc nie ma już czwórki. Cecil, zagraj z nami. To ostatni dzień pana Floyda. Zagraj z nami ten jeden raz!

- Mój drogi Freddy, nie jestem atletą. Jak słusznie zauważyłeś dzisiaj rano, są tacy, którzy nie nadają się do niczego, oprócz trzymania nosa w książkach. Przyznaję, jestem jednym z nich. Nie będę się narzucał.

W chwili, kiedy padły te słowa, oczom Lucy ukazała się prawda. Jak mogła znosić obecność Cecila aż do twojej chwili? Tego samego wieczoru zerwała zaręczyny.

ROZDZIAŁ XVII: OKŁAMUJĄC CECILA

Cecil był zdumiony. Nie miał nic do powiedzenia. Nie był nawet zły; stał tylko, trzymając szklaneczkę whisky i próbując zrozumieć, co skłoniło Lucy do takiej decyzji.

Lucy wybrała chwilę przed pójściem do łóżka, kiedy, zgodnie z domowym zwyczajem, wszystkim obecnym w domu mężczyznom wydzielala szklaneczkę whisky. Freddy i pan Floyd poszli już do swoich pokoi, a Cecil jak zwykle pozostał na dole. Lucy klęczała przy kredensie.

- Jest mi bardzo przykro - ciągnęła. - Przemyslałam wszystko starannie. Jesteśmy zbyt różni. Jestem zmuszona prosić, byś zwrócił mi słowo. Zapomnij, że kiedykolwiek istniała taka niemądra dziewczyna jak ja.

To właśnie należało powiedzieć, ale Lucy była bardziej rozzłoszczona niż zmartwiona i słycać to było wyraźnie w jej głosie.

- Różni? Co... co masz na myśli?

- Nie jestem wykształcona - to po pierwsze - powiedziała, nie podnosząc się z kolan. - Moja podróż do Włoch nastąpiła za późno, zapominam wszystko, czego się tam nauczyłam. Nigdy nie sprostam w rozmowie twoim przyjaciółom i nigdy nie będę umiała zachowywać się tak, jak powinna zachowywać się twoja żona.

- Nie rozumiem. Zachowujesz się, jakbyś nie była sobą. Jesteś zmęczona, Lucy.

- Zmęczona! - wykrzyknęła zapalczywie. - Oto cały ty! Zawsze traktujesz kobiety tak, jakby nie wiedziały, co mówią.

- Naprawdę wyglądasz na zmęczoną. Jakby coś cię zmartwiło.

- A nawet jeśli? To mnie nie powstrzyma od powiedzenia ci prawdy. Nie mogę zostać twoją żoną. Kiedyś będziesz mi za to dziękował.

- Skarżyłaś się wczoraj na ból głowy... Już dobrze! - przerwał, kiedy krzyknęła z oburzenia. - Widzę, że to coś więcej, niż ból głowy. Ale daj mi trochę czasu. Tylko chwilę. - Zamknął oczy. - Wybacz, jeżeli będę mówił nieskładnie, ale moja głowa... jej część żyła jeszcze trzy minuty temu, kiedy byłem przekonany, że mnie kochasz, a część...

Zauważyła, że nie jest nieuprzejmy, co zwiększyło jeszcze jej irytację. Była przygotowana na walkę, a nie na dyskusję.

- Są dni, kiedy widzimy wszystko wyraźnie - dzisiaj jest właśnie taki dzień. Jeśli chcesz wiedzieć, na moją decyzję wpłynęła drobnostka - to, że nie chciałeś zagrać z Freddyem w tenisa.

- Nigdy nie grywam w tenisa - powiedział Cecil żałośnie. - Nigdy tego nie robiłem. Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz.

- Umiesz grać wystarczająco dobrze, by zagrać, kiedy brakuje czwartego. To, co zrobiłeś, było obrzydliwie egoistyczne.

- Nieważne, zostawmy tenisa. Czy nie mogłaś... czy nie mogłaś uprzedzić mnie, że coś jest nie tak? Nie dalej jak dzisiaj mówiłaś o naszym ślubie - a przynajmniej pozwoliłaś, żebym ja o tym mówił.

- Wiedziałam, że nie będziesz potrafił tego zrozumieć - powiedziała ostro. - Oczywiście, że nie chodzi o tenisa. Chodzi o wszystko. Tenis przeważył po prostu szalę. Już od dawna zastanawiałam się, czy nadaję się na twoją żonę i czy ty powinieneś zostać moim mężem. Nie lubisz Freddy'ego, ani mojej matki. Wiele przemawiało przeciwko naszemu małżeństwu, ale spotykaliśmy się tak często i wszystko na pozór wydawało się być w porządku. Nie warto było mówić o tym do... do pewnego momentu. Ten moment nastąpił dzisiaj. Teraz widzę to jasno. Musiałam tak postąpić. To wszystko.

- Nie uważam, żebyś miała rację - powiedział Cecil cicho. - Nie wiem, dlaczego, ale to, co mówisz, nie brzmi prawdziwie. To okropne.

- Mówię to, co myślę.

- Wiem. Mam chyba jednak prawo usłyszeć coś więcej - powiedział. Odstawił szklankę i otworzył okno. Ostatnia smuga światła padła na jego szczupłą, zamyśloną twarz.

- Zamknij okno - powiedziała. - Zaciągnij też zasłony. Freddy czy ktokolwiek może nas zobaczyć i tu przyjść.

Posłuchał.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, powinniśmy pójść spać - ciągnęła. - Nie chciałabym powiedzieć rzeczy bolesnych dla nas obojga. Nie ma o czym dłużej mówić.

Cecil spojrział na nią. Teraz, kiedy miał ją stracić, wydała mu się dwakroć droższa. Stała się żywą kobietą, silną i zdolną do samodzielnego myślenia. Ochłonawszy już nieco z szoku, zawołał:

- Ależ ja cię kocham, Lucy! Myślałem, że i ty mnie kochasz.

Zaczął przechadzać się po pokoju, tam i z powrotem. Lucy obserwowała go z rosnącą irytacją. Liczyła na to, że straci panowanie nad sobą. Gdyby tak się stało, byłoby jej łatwiej przeprowadzić tę rozmowę.

- Nie kochasz mnie, to oczywiste - powiedział. - Zapewne masz rację. Byłoby to jednak mniej bolesne, gdybym wiedział dlaczego.

- Dlatego, że... - zamilkła na chwilę, zastanawiając się nad pewnym określeniem, które

przyszło jej na myśl. - Należysz do ludzi, którzy nie powinni wchodzić w bliskie związki z otoczeniem - powiedziała w końcu.

W jego oczach pojawiło się przerażenie.

- Może nie to dokładnie mam na myśli - powiedziała. - Ale wypytujesz mnie, chociaż prosiłam, żebyś tego nie robił. Zanim się zaręczyliśmy, pozwalałeś mi być sobą, ale teraz ciągle mnie kontrolujesz. - Podniosła głos. - Mam tego dosyć. Chcę sama decydować o sobie. Nikt nie musi mnie osłaniać przed światem. To upokarzające. Czy nie mogę sama radzić sobie z życiem? Miejsce kobiety! Gardzisz moją matką - wiem o tym doskonale! Nie znosisz jej, bo jest przeciętna. Przeciętna! - Lucy podniosła się z kolan. - Na Boga, spójrz na siebie! Otaczasz się muzyką, sztuką, książkami, rozumiesz je, ale nie umiesz ich używać. Ja nie dam sobie zamknąć ust, nawet najpiękniejszą muzyką, bo ludzie są wariaci o wiele więcej od najpiękniejszej muzyki, a ty nie pozwalasz mi się z nimi stykać. Dlatego zwracam ci słowo.

Zapadła cisza, a po chwili Cecil przemówił głosem drżącym z emocji.

- To prawda - przyznał. - To wszystko prawda, każde słowo. To jest jak objawienie. Ja...

- Tak czy inaczej, takie są powody, dla których nie mogę być twoją żoną.

- To wszystko, co mówisz, jest prawdą - powtórzył. - Jestem człowiekiem, który nie powinien wchodzić w bliskie związki z otoczeniem. Zachowywałem się źle od dnia naszych zaręczyn. Byłem nieuprzejmy dla pana Beebe'a i dla twojego brata. Nie doceniałem ciebie. - Lucy cofnęła się o krok. - O jedno tylko mogę mieć do ciebie żal: że zanim zrozumiałaś, że nie możesz mnie poślubić, nie pokazałaś mi, jaki jestem naprawdę i nie dałaś przez to szansy na poprawę. Nie znałem cię wcale aż do dzisiaj. Miałem swoje własne, głupie wyobrażenia na temat tego, jaka powinna być kobieta. Dzisiaj jesteś jak nowa osoba - nowe słowa, nawet nowy głos...

- Co masz na myśli? - zapytała ze złością.

- To tak, jakby nowa osoba mówiła przez ciebie - powiedział.

- Jeśli sądzisz - powiedziała, tracąc panowanie nad sobą - że zakochałam się w kimś innym, to jesteś w błędzie.

- Oczywiście, że nie mam tego na myśli. Ty nie zrobiłabyś tego, Lucy.

- A właśnie, że tak, tak właśnie myślisz. Wszyscy tak myślą. Jeżeli dziewczyna zrywa zaręczyny, wszyscy mówią: „To dlatego, że ma kogoś innego”. To obrzydliwe! Tak jakby nie mogła zrobić tego, żeby być wolną!

- Może kiedyś bym tak powiedział - rzekł z szacunkiem. - Ale nie teraz. Zmieniłaś mnie.

Lucy zaczerwieniła się i odwróciła do okna.

- Przepraszam, jeśli wyraziłem się niejasno - ciągnął dalej Cecil. - Chciałem tylko powiedzieć, że jest w tobie jakaś nowa siła, której dotąd nie dostrzegałem.

- Cecil, to wystarczy. Nie przepraszaj mnie. To była moja wina.

- Tu chodzi o ideały - twoje i moje. Twoje okazały się lepsze. Wierzyłem w to, co błędne i stare, ty byłaś zawsze nowa i prawdziwa. - Głos mu się załamał. - Powinienem ci podziękować za to, co zrobiłaś, za to, że pokazałaś mi, kim jestem naprawdę. Czy podasz mi rękę?

- Oczywiście, że tak odrzekła, wyciągając do niego dłoń. - Dobranoc, Cecil. Żegnaj. Przykro mi, że tak się stało. Dziękuję za twoją dobroć.

- Pozwól, że pomogę ci zapalić świecę.

Wyszli z salonu.

- Dobranoc, Lucy. Niech cię Bóg błogosławi.

- Dobranoc, Cecil.

Patrzyła, jak wchodzi po schodach. Kolumienki w balustradzie rzucały na jego twarz ruchome cienie, podobne do uderzeń skrzydeł. Zatrzymał się na podeście, wciąż silny mimo poniesionej klęski i posłał jej przejmujące spojrzenie. W głębi duszy Cecil był ascetą i więcej od miłości dała mu jej utrata.

Lucy postanowiła, że nigdy nie poślubi żadnego mężczyzny. Dla jej skołatanej duszy to było jedynym pewnikiem. Cecil wierzył w nią. I ona musi któregoś dnia uwierzyć w samą siebie. Musi stać się jedną z tych kobiet, które tak jej imponowały, a które wyżej niż mężczyźni cenią sobie wolność. Musi zapomnieć o tym, że George ją kocha, że to on kierował jej myślami i jemu zawdzięcza to cudowne uwolnienie. George odszedł i pograży się w... Jak on to nazwał? W ciemności. Zgasła lampę. Była zbyt zmęczona, by myśleć czy czuć cokolwiek. Zrezygnowała z rozumienia siebie i tym samym dołączyła do nieskończonych zastępów ludzi żyjących w ciemności. Wszyscy oni poddali się jednemu wrogowi, któremu poddać się nie wolno - temu, który tkwi wewnątrz nas. Zgrzeszyli przeciwko prawdzie i wszystkie ich starania staną się daremne. Ich radość i przywiązanie okażą się fałszem, ich mądrość zamieni się w cynizm, ich wspaniałomyślność stanie się hipokryzją, a wszędzie, dokąd pójdą, będą przynosić smutek. Zgrzeszyli przeciwko Erosowi i Pallas Atenie, i bogowie ci ukarzą ich nie mocą swojej władzy, ale zgodnie z prawami natury.

Lucy wkroczyła w te zastępy, kiedy zataiła swoją miłość do George'a. Wraz z nadejściem nocy ogarnęła ją ciemność, tak jak to się stało z Charlottą Barlett trzydzieści lat wcześniej.

ROZDZIAŁ XVIII: OKŁAMUJĄC PANA BEEBE'A, PANIĄ HONEYCHURCH, FREDDY'EGO I SŁUŻBĘ

Windy Corner leżał na południowym stoku niewielkiego wzgórza, po obu stronach którego ciągnęły się parowy, pełne paproci i sosen. Prawą stroną biegła droga do Weald. Nad wszystkim królowały wzgórza.

Pan Beebe nie mógł powstrzymać uśmiechu, ilekroć spoglądał na Windy Corner. Otoczenie było tak wspaniałe, a dom tak zwyczajny, że robił niemal impertynenckie wrażenie. Budowa tego domu w kształcie kostki pochłonęła większość pieniędzy zmarłego pana Honeychurcha. Jediną innowacją, jakiej dopuściła się wdowa po nim, była przypominająca róg nosorożca wieżyczka, gdzie pani Honeychurch siadywała w deszczowe dni, obserwując powozy jadące w górę i w dół drogi. Mimo to jednak nie raził swym wyglądem, bo był to dom ludzi, którzy szczerze kochali swoje otoczenie. Domy w sąsiedztwie, mimo że zbudowane przez drogich architektów, wydawały się dziwnie nietrwałe, podczas gdy Windy Corner zdawał się być wieczny i nieprzemijalny, jakby stworzyła go sama natura. Można się było śmiać z tego domu, ale nie można nim było pogardzać.

Było poniedziałkowe popołudnie. Pan Beebe jechał do Windy Corner, chcąc się podzielić pewną małą plotką. Panny Alan powiadomiły go w liście, że skoro nie mogą zamieszkać w „Cissie”, zimę spędzą w Atenach. Oczywiście, jest w tym pewne ryzyko - pisała panna Katarzyna. - A doktor zalecił Teresie specjalny, lekkostrawny chleb. Można go jednak zabrać ze sobą, a i podróż nie jest bardzo skomplikowana. Ale czy jest tam anglikański kościół? List kończył się następująco: „Nie sądzę, byśmy pojechały dalej niż do Aten, gdyby pan jednak usłyszał o jakimś wygodnym pensjonacie w Konstantynopolu, byłybyśmy wdzięczne za informację”.

Pan Beebe wiedział, że Lucy ucieszy się z tego listu. Tylko ona była zdolna dostrzec jego piękno i śmieszność. Choć nie znała się na malarstwie, a i ubierała się w sposób zupełnie przypadkowy (ta okropna wiśniowa suknia, którą miała w kościele!), dostrzegała piękno w życiu. Gdyby tak nie było, nie grałaby w ten sposób na fortepianie. Pan Beebe miał pewną teorię dotyczącą muzyków. Uważał, że ludzie ci mają niezwykle złożoną naturę i w stopniu o wiele mniejszym niż inni artyści zdają sobie sprawę z własnych pragnień i własnej tożsamości. Dlatego w równej mierze zadziwiają samych siebie i swe otoczenie. Ich psychika jest zjawiskiem dotychczas nie zbadanym. Nieświadom wydarzeń wczorajszego wieczoru, jechał do Windy Corner napić się herbaty, zobaczyć bratanicę i przekonać się, jak panna

Honeychurch zareaguje na list.

Spod domu ruszył powóz i dojechawszy do głównej drogi zatrzymał się gwałtownie. Drzwiczki otworzyły się i na zewnątrz wysiedli Cecil i Freddy. Pan Beebe zdziwił się, widząc ich razem, ale wkrótce dostrzegł walizkę leżącą obok woźnicy. Cecil, w meloniku na głowie, najwyraźniej opuszczał Windy Corner; Freddy, w zwykłej czapce, odprowadzał go na stację. Szybkim krokiem podeszli do pana Beebe'a; powóz posuwał się wolno za nimi, pokonując kolejne zakręty. Przywitali się w milczeniu.

- Wyjeżdża pan na krótko, panie Vyse? - zapytał pastor.

- Tak - odrzekł Cecil; Freddy odwrócił głowę.

- Jechałem właśnie do was, żeby pokazać ten cudowny list od przyjaciółek panny Honeychurch. - Przeczytał fragment. - Czyż to nie wspaniałe? Na pewno pojedą do Konstantynopola. Wpadły w pułapkę, z której nie ma wyjścia. Jestem przekonany, że pojedą w podróż dookoła świata.

Cecil powiedział, że Lucy będzie zaciekawiona i ubawiona.

- Jakie to dziwne! W dzisiejszych czasach młodzi ludzie nie są romantyczni. Jedyne, co was interesuje, to tenis. Całe wasze życie toczy się na trawniku. Panny Alan się nie poddają. Jestem natomiast przekonany, że pisząc o wygodnym pensjonacie w Konstantynopolu, marzą o jakiejś odległej, baśniowej krainie. Żaden zwykły widok nie zadowoli panien Alan!

- Przepraszam, że przerywam, panie Beebe - rzekł Freddy. - Czy ma pan zapalki?

- Ja mam - odparł Cecil, a pastor zauważył ze zdumieniem, że w jego głosie, kiedy zwracał się do chłopca, pojawiła się jakaś nowa nuta.

- Czy pan poznał panny Alan, panie Vyse? - zapytał.

- Nie.

- W takim razie nie może pan docenić całej tej greckiej eskapady. Nie byłem w Grecji i się tam nie wybieram. Wydaje mi się, że to za dużo jak dla nas. Włochy zupełnie wystarczą, nie sądzi pan? Jesteśmy tylko ludźmi z przedmieścia. Włochy są monumentalne, ale Grecja jest zbyt boska czy diabelska - jak na nasze możliwości. Nie, Freddy, nie jestem taki mądry. Nie ja to wszystko wymyśliłem. I daj mi te zapalki, jeśli możesz. - Zapalił papierosa i mówił dalej. - Rzecz w tym, że jeśli już koniecznie musimy odbywać podróże, to naszym celem powinny pozostać Włochy. Mnie na przykład zupełnie wystarczy sufit Kaplicy Sykstyńskiej. To akurat tyle, ile mogę udźwignąć. Parteon, Fidiasz - to już za wiele.

- Zgadzam się z panem. Grecja to za wiele jak dla nas - odparł Cecil i wsiadł do powozu. Freddy wsiadł również. Nie ujechali dziesięciu jardów, kiedy wyskoczył i wrócił po

zapalki Cecila.

- To dobrze, że nie mówił pan o niczym ważnym - rzekł szybko. - Cecil wyjeżdża na dobre. Lucy zerwała zaręczyny.

- Ale kiedy?

- Wczoraj wieczorem. Muszę już iść.

- Może nie powinienem tam jechać?

- Nie, nie. Wręcz przeciwnie. Muszę iść.

- Dzięki Bogu! - westchnął pastor i z radością wsiadł na rower. - Te zaręczyny to było największe głupstwo, jakie kiedykolwiek zrobiła. Chwała Bogu, chwała Bogu!

Z lekkim sercem ruszył w stronę Windy Corner. Nareszcie wszystko wróci do normy, kiedy widmo Cecila zostało na zawsze przepędzone z tych stron.

W ogrodzie natknął się na Minnie. Z salonu dobiegał Mozart. Pastor wahał się przez chwilę, po czym ruszył w głąb ogrodu. Ujrzał tam ponurą scenę. Pogoda popsuka się, silny wiatr połamał dalej. Pani Honeychurch z zachmurzoną twarzą usiłowała je podwiązać, a panna Barlett, ubrana niezbyt odpowiednio, nie odstępowała jej na krok, oferując pomoc. Nieco dalej Minnie i mała służąca stały nieruchomo, trzymając dwa końce długiego pasma łyka, którego pani Honeychurch używała do podwiązywania kwiatów.

- Dzień dobry, panie Beebe! Proszę zobaczyć, co się dzieje. Proszę spojrzeć na moje biedne dalie, ta pogoda jest naprawdę nie do wytrzymania! Ziemia jest tak twarda, że nie sposób wbić żadnej podpórki, a w dodatku Powell pojechał na stację i nie ma nikogo, kto pomógłby mi podwiązać kwiaty.

Pani Honeychurch była najwyraźniej wyprowadzona z równowagi.

- Witam, panie Beebe - rzekła panna Barlett i posłała mu spojrzenie, które wskazywało wyraźnie, że jesienne burze niszczą czasem coś więcej oprócz kwiatów.

- Lennie, podaj mi łyko - zawołała pani Honeychurch. Dziecko, nie wiedząc o co chodzi, zamarło, przestraszone jej ostrym tonem. Minnie podeszła do niego szepcząc, że dzisiaj wszyscy są w złym humorze.

- Chodź, pójdziemy na spacer - powiedział. - Już i tak dosyć sprawiłaś kłopotu. Pani Honeychurch, przyszedłem zupełnie bez powodu. Zabiorę Minnie na herbatę do gospody „Pod Ulem”, jeśli pani pozwoli.

- Och... dobrze, panie Beebe. Nie, Charlotto, nie dawaj mi nożyczek, kiedy mam zajęte obie ręce.

Pan Beebe, który był mistrzem w rozładowywaniu trudnych sytuacji, zaproponował, by panna Barlett dotrzymała towarzystwa jemu i Minnie.

- Tak, Charlotto, nie jesteś mi tu potrzebna - powiedziała pani Honeychurch. - Nie ma już nic do zrobienia, ani w domu, ani w ogrodzie.

Panna Barlett jeszcze raz wyraziła chęć pomocy, po czym, kiedy wyglądało na to, że zostanie w ogrodzie, niespodziewanie i ku rozpaczy Minnie przyjęła zaproszenie.

- Co za okropne spustoszenie - powiedział pan Beebe.

- Zawsze tak się dzieje, kiedy to, co rosło przez wiele miesięcy, zostaje zniszczone w ciągu jednej chwili.

- Czy panna Honeychurch pójdzie z nami?

- Lepiej zostawić ją samej sobie.

- Panna Honeychurch spóźniła się dziś na śniadanie - wyjaśniła Minnie szeptem. - Pan Floyd i pan Vyse wyjechali, a Freddy powiedział, że dziś nie będzie się ze mną bawił. Naprawdę, wujku Arturze, ten dom jest dziś zupełnie inny niż wczoraj.

- Nie bądź głuptasem - odparł wujek Artur. - Idź i załóż buty.

Wszedł do salonu, gdzie Lucy nadal uparcie ćwiczyła Mozarta. Kiedy się zbliżył, przerwała.

- Dzień dobry. Panna Barlett, Minnie i ja idziemy na herbatę. Czy przyłączy się pani do nas?

- Chyba nie, dziękuję - odparła i znowu zaczęła grać.

- Jakie piękne są te sonaty - powiedział, choć w głębi duszy uważał je za przeciętne.

Lucy zrezygnowała z Mozarta i zaczęła grać Schumanna.

- Panno Honeychurch!

- Tak?

- Spotkałem ich po drodze. Pani brat mi powiedział.

- Doprawdy? - powiedziała z irytacją. Pan Beebe drgnął urażony; sądził, że się ucieszy, mając w nim powiernika.

- Nie muszę mówić, że nikt oprócz mnie...

- Matka, Charlotta, Freddy, Cecil, pan... - odrzekła Lucy, wygrywając nutę przy każdym imieniu.

- Jeśli wolno mi coś powiedzieć, panno Honeychurch, to uważam, że postąpiła pani słusznie.

- Myślałam, że wszyscy będą tego zdania, tymczasem jest inaczej.

- Panna Barlett uważa to za niemądre, z tego, co udało mi się zauważyć.

- Mama też. Jest bardzo niezadowolona.

- Tak mi przykro - powiedział pan Beebe szczerze.

Pani Honeychurch, która nie znosiła wszelkich zmian, była niezadowolona, ale wcale nie tak bardzo, jak sądziła Lucy, a przy tym jej niezadowolenie minęło bardzo szybko. Lucy powinna właściwie zrozumieć przygnębienie matki, nie mogła tego jednak uczynić, ponieważ znalazła się we władzy Ciemności.

- Freddy też jest zły.

- Freddy nie był chyba szczególnie zachwycony panem Vyse'em? Wydawało mi się, że nie jest zadowolony z waszych zaręczyn, że obawia się ciebie utracić.

- Chłopcy są tacy dziwni.

Z góry dobiegł głos Minnie, kłócącej się z panną Barlett - wyjście na herbatę do gospody wymagało najwyraźniej kompletnej zmiany stroju. Pan Beebe zrozumiał, że Lucy - najzupełniej zresztą słusznie - nie chce rozmawiać o swej decyzji.

- Dostałem list od panny Alan - powiedział. - Właściwie taki jest prawdziwy powód mojej wizyty. Pomyślałem sobie, że może panią ubawić.

- To wspaniale - powiedziała Lucy bez cienia entuzjazmu.

Pan Beebe mimo wszystko zaczął czytać. Po chwili Lucy zaczęła słuchać, a wkrótce mu przerwała:

- Wyjeżdżają? Kiedy?

- Przypuszczam, że w przyszłym tygodniu.

- Czy Freddy mówił, że wraca prosto do domu?

- Nie.

- Mam nadzieję, że nie rozpowie o tym, co się stało, całej okolicy.

A zatem chciała rozmawiać o zerwanych zaręczynach. Pan Beebe, jak zawsze uprzejmy, odłożył list.

- Proszę mi powiedzieć coś więcej o pannach Alan! - zawołała. - Jak to cudownie, że jadą za granicę!

- Uważam, że powinny zacząć od Wenecji...

- Ach, cudownie! Gdyby tak zechciały zabrać mnie ze sobą!

- Czy to pobyt we Włoszech tak panią zachęcił do podróży?

George Emerson ma rację mówiąc, że Włochy to tylko eufemizm dla słowa „fatum”.

- Zawsze marzyłam, żeby pojechać do Konstantynopola. Konstantynopol jest właściwie już w Azji, prawda?

Pan Beebe przypomniał jej, że Konstantynopol to jeszcze nic pewnego i że panny Alan myślały na razie tylko o Atenach i o Delfach, jeśli drogi będą wystarczająco bezpieczne.

To jednak nie zmniejszyło jej entuzjazmu. Wyglądało na to, że Lucy mówi poważnie.

Nie wiedziałem, że pani i panny Alan przyjaźnicie się jeszcze na tyle po tej całej historii z „Cissie”.

- Ach, to nic nie znaczy. Oddałabym wszystko, żeby z nimi pojechać.

- Czy matka pani byłaby zadowolona z ponownego rozstania? Zaledwie trzy miesiące minęły od pani powrotu z Włoch.

- Ale ja muszę wyjechać, gdziekolwiek! - krzyknęła, przeczesując włosy palcami. - Po prostu muszę! Czy pan tego nie rozumie? Oczywiście, najchętniej wyjechałabym do Konstantynopola, ale...

- Chodzi o to, że odkąd zerwała pani zaręczyny...

- Tak. Wiedziałam, że pan mnie zrozumie.

Pan Beebe niezupełnie rozumiał. Dlaczego panna Honeychurch nie miałaby pozostać w domu? Cecil najwyraźniej zachował się przyzwoicie i nie wyglądało na to, żeby miał zamiar ją niepokoić. Czy sam pobyt w domu wyprowadzał ją z równowagi?

- Tak! Pojechać do Konstantynopola do czasu, aż wszystko się uspokoi.

- Wydaje się, że nie było to dla pani łatwe - powiedział łagodnie.

- Zgadza się. Cecil zachował się najlepiej, jak można, ale... chodzi o to, że on jest taki apodyktyczny. Zrozumiałam, że nie pozwoli mi być sobą. Chciał zmienić we mnie to, czego zmienić się nie da. Cecil nie pozwoli żadnej kobiecie decydować... Nie odważy się na to. Co ja wygaduję! Ale to mniej więcej o to chodzi.

- Obserwując pana Vyse'a, doszedłem do takich samych wniosków. Zgadzam się z panią, panno Honeychurch, zgadzam się w stu procentach. Ale proszę mi powiedzieć, czy naprawdę warto jechać do Grecji?

- Ale ja muszę wyjechać! Myślałam nad tym od rana - a teraz nadarza się okazja! - zawołała, zaciskając pięści. - Muszę! Wszyscy macie o mnie zbyt wysokie mniemanie. Chciałabym, żebyście nie byli dla mnie tacy dobrzy! - Do pokoju weszła panna Barlett, co jeszcze bardziej wyprowadziło Lucy z równowagi. - Muszę wyjechać! Jak najdalej.

- Chodźmy! - zawołał pan Beebe, wypychając Charlottę z pokoju. - Chodźmy na herbatę!

Pastor spieszył się tak bardzo, że zapomniał o kapeluszu. Kiedy po niego wrócił, usłyszał delikatne dźwięki sonaty.

- Ona znowu gra - powiedział z ulgą do panny Barlett, kiedy wyszli już z domu.

- Ona zawsze jest w stanie grać - odparła Charlotta z przekąsem.

- To wspaniale, że może to robić. Jest bardzo zmartwiona. Powiedziała mi wszystko. Małżeństwo było tak blisko, nic dziwnego, że to dla niej trudne.

Panna Barlett wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Najlepiej się stanie, jeśli zapomnimy o tej całej sprawie. To ogromnie ważne, żeby o tym nie plotkowano. Panie Beebe, śmierć plotkom.

Pastor uniósł brwi. Śmierć? To mocne słowo, o wiele za mocne. Nie stało się przecież nic strasznego.

- Oczywiście, panna Honeychurch obwieścił ten fakt, kiedy sama uzna za stosowne. Freddy powiedział mi, bo był pewien, że nie będzie miała nic przeciwko temu.

- Wiem - odparła. - Mimo wszystko jednak, Freddy nie powinien mówić nawet panu. Absolutna dyskrecja. Jedno słowo powiedziane niewłaściwej osobie i...

- Zgadza się! - odrzekł pan Beebe. Był przyzwyczajony do tych nerwowych, starych panien i ich sposobu mówienia. Proboszcz żyje w prawdziwym labiryncie niecznych sekretów, plotek i ostrzeżeń, i im mniej przywiązuje do nich uwagi, tym mądrzej z jego strony.

- Czy miała pani jakieś wieści od kogoś z pensjonatu? - zapytał, postanawiając zmienić temat. - Jestem pewien, że utrzymuje pani kontakt z panną Lavish. Czy to nie zdumiewające, jak my wszyscy, którzy spotkaliśmy się we Florencji, wpłynęliśmy nawzajem na swoje losy? Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... sześcioro... nie, ósmioro z nas - nie zapominajmy o Emersonach - ósmioro z nas pozostało z sobą w jakimś kontakcie. Powinniśmy złożyć signorze dowody uznania.

Panna Barlett nie odpowiedziała. Szli pod górę w milczeniu, które pan Beebe przerwał tylko raz, wymieniając nazwę jakiegoś gatunku paproci. Na szczycie zatrzymali się. Niebo wydawało się większe, niż kiedy stał tu godzinę temu, i nadawało ziemi tragiczny patos, co rzadko spotyka się w Surrey. Szare chmury płynęły szybko, ukazując od czasu do czasu skrawki błękitu. Lato dobiegało końca. Wiatr gwizdał, a drzewa gięły się z jękiem, a jednak hałas ten wydawał się nieproporcjonalny do tego, co działo się na niebie. Pogoda psuła się; takie przełomy bardziej przypominają paroksyzm niż salwy angielskiej artylerii. Pan Beebe spojrział na Windy Corner, gdzie siedziała Lucy grająca Mozarta, lecz na jego ustach nie pojawił się uśmiech. Zmieniając ponownie temat, powiedział:

- Nie będzie padało, ale musimy się pospieszyć, bo zaraz zapadnie zmrok. Ta ciemność ubiegłej nocy, czy pamięta ją pani, panno Barlett?

Kiedy doszli do gospody, dochodziła piąta. Było to przyjemne miejsce, z werandą, na której siadywali młodzi, i wygodnymi stołami, które nad werandę przedkładali starsi. Pan Beebe zrozumiał nagle, że panna Barlett zmarznie siedząc na zewnątrz, a Minnie znudzi się, siedząc w środku. Zarządził więc podział: Minnie dostała swoje danie i została na werandzie, oni zaś usadowili się w środku.

- Panno Barlett, porozmawiajmy jeszcze o Lucy, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu - powiedział, kiedy usiedli. Skinęła głową. - Nie chcę mówić o tym, co było. Wiem niewiele i nie chcę wiedzieć więcej. Jestem absolutnie przekonany, że kuzynka pani postąpiła słusznie, a przy tym wykazała się skromnością. Mówmy o tym, co będzie. Proszę powiedzieć, co pani sądzi o tym pomysle wyjazdu do Grecji? - zapytał, wyjmując list. - Nie wiem, czy usłyszała pani, że Lucy postanowiła wyjechać razem z pannami Alan. Uważam, że... że to nie jest dobry pomysł.

Panna Barlett przeczytała list, zamyśliła się na chwilę i przeczytała go ponownie.

- Nie zgadzam się z panem - odrzekła, ku jego zdziwieniu. - Uważam, że to rozsądne.

- Nie rozumiem.

- Chce wyjechać z Windy Corner.

- Wiem, ale to dziwne i zupełnie do niej nie podobne, żeby nie powiedziec samolubne.

- To naturalne, po tym, co przeszła... potrzebuje odmiany.

Była to niewątpliwie jedna z tych rzeczy, których mężczyźni nie potrafią zrozumieć.

Pan Beebe zawołał:

- Tak, ona mówi to samo, a skoro i pani się z tym zgadza, muszę dać się przekonać. Może rzeczywiście wyjazd jest dla niej konieczny. Nie mam siostry ani... no, w każdym razie, mogę nie rozumieć tych rzeczy. Ale dlaczego musi jechać aż do Grecji?

- Dlaczego do Grecji? - odpowiedziała pytaniem tracąc niemal swój wstrzemięźliwy sposób bycia. - Minnie, co to jest? Dżem? Dlaczego nie do Tunbridge Wells? Ach, panie Beebe! Dzisiaj rano odbyłam z Lucy długą rozmowę, która niczego nie dała. Nie potrafię jej pomóc. Nie powiem już nic więcej. Być może już powiedziałam zbyt wiele. Mam przestać mówić, dała mi to wyraźnie do zrozumienia. Proponowałam, żeby wyjechała ze mną do Tunbridge Wells na najbliższe sześć miesięcy. Nie zgodziła się.

Pan Beebe bawił się widelcem.

- Moje uczucia się tu nie liczą - ciągnęła. - Wiem aż nazbyt dobrze, że działałam Lucy na nerwy. Nasza wspólna podróż skończyła się niepowodzeniem. Chciała wyjechać z Florencji, a kiedy już znalazłyśmy się w Rzymie, chciała wyjechać z Rzymu. Cały czas czułam, że wydaję pieniądze jej matki.

- Mówmy o przyszłości - przerwał pan Beebe. - Proszę o radę.

- Dobrze - powiedziała z tłumioną szorstkością, zaskakującą dla pana Beebe'a, lecz dobrze znaną Lucy. - Ja pomogę jej wyjechać do Grecji. A pan co zamierza?

Pastor milczał.

- To absolutnie konieczne - mówiła dalej z pasją, o jaką nigdy by jej nie podejrzewał. -

Wiem to, wiem. - Ciemność nadciągała nad Windy Corner. Kto wie, może ta dziwna kobieta była jedyną, która wie, co robić? - Ona musi stąd wyjechać, natychmiast. Służba nic jeszcze nie wie, jestem pewna. W każdym razie... Chyba powiedziałam już zbyt dużo. Lucy i ja nie przekonamy same pani Honeychurch... ale jeśli pan nam pomoże... w przeciwnym razie...

- W przeciwnym razie? - podchwycił.

- W przeciwnym razie... - powtórzyła, jakby te słowa same w sobie niosły jakieś znaczenie.

- Tak, pomogę jej - powiedział pastor zaciskając usta. - Ustalmy wszystko od początku.

Panna Barlett nie wiedziała, jak wyrazić swą wdzięczność. Na zewnątrz herb gospody - metalowy ul - skrzypiał, poruszany przez wiatr. Pan Beebe nie rozumiał do końca całej sytuacji, ale przecież wcale nie musiał rozumieć. Nie przyszło mu też do głowy, że może istnieć „inny mężczyzna”. Czuł tylko, że panna Barlett wie o czymś, czego Lucy pragnęła i co można było jej zapewnić. Jego wiara w celibat, tak starannie skrywana pod tolerancją i wykształceniem, stała się teraz bardziej widoczna. Zawsze uważał, że nie ma nic złego w tym, iż ludzie się pobierają; jeśli tego jednak nie robią, jest to stokroć lepsze. Każde zerwane zaręczyny sprawiały mu pewną radość. Jeśli chodzi o Lucy, uczucie to wzmogło się jeszcze z powodu niechęci do Cecila. Pragnął czegoś więcej, pragnął, by zachowała czystość na zawsze. Uczucie to jednak było bardzo delikatne i z nikim się nim nie podzielił. Mimo to istniało i nie pozostawało bez wpływu na jego postępowanie. Układ, jaki zawarł z panną Barlett, miał pomóc nie tylko Lucy, ale też religii.

Kiedy ruszyli w drogę powrotną, zapadł już zmierzch. Rozmowa toczyła się swobodnie. Emersonowie potrzebują gosposi; służba; służba włoska; powieść o Włoszech; czy literatura może wpływać na życie. Windy Corner migotał w dole.

Pani Honeychurch wciąż jeszcze usiłowała ratować swoje kwiaty. Pomagał jej Freddy.

- Jest już za ciemno - powiedziała z rozpaczą. - Jesień... można było przewidzieć, że pogoda się zepsuje. I jeszcze Lucy z tym wyjazdem do Grecji! Co się dzieje na tym świecie!

- Pani Honeychurch - powiedział pan Beebe. - Ona musi pojechać do Grecji. Chodźmy z nią porozmawiać. Przedtem jednak proszę mi powiedzieć: czy żałuje pani, że zwróciła słowo Cecilowi?

- Ależ cieszę się z tego, panie Beebe!

- Ja również - wtrącił Freddy.

- To dobrze. A teraz chodźmy do domu.

Następne pół godziny spędzili w jadalni, omawiając całą sprawę. Lucy nigdy nie

zdołałaby sama przeforsować tego pomysłu. To było kosztowne i dramatyczne - a tych dwóch rzeczy szczerze nie znosiła jej matka. Również i pomoc Charlotty na nic by się nie zdała. Cała przysługa przypadła panu Beebe'owi, którego takt i zdrowy rozsądek przeważyły szalę. Pani Honeychurch była w stanie uwierzyć we wszystko, co mówi duchowny, o ile oczywiście nie jest głupcem.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego to musi koniecznie być Grecja, ale skoro pan tak uważa, panie Beebe, zapewne ma pan rację. Widocznie tylko ja nie potrafię tego zrozumieć. Chodźmy powiedzieć o tym Lucy.

- Ona gra - powiedział.

Otworzył drzwi i dobiegły ich słowa pieśni:

Na niewiasty nie patrz czule.

- Nie wiedziałem, że panna Honeychurch potrafi też śpiewać.

Siedź, choć w bój ruszają króle,

Nie pij, gdy cię wezwie roztruchan...

- To piosenka, której nauczył ją Cecil. Czy dziewczęta nie są dziwne?

Lucy obejrzała się.

- Kochanie - powiedziała pani Honeychurch. Weszła do salonu i pan Beebe usłyszał, że całuje ją w policzek. - Przepraszam, że byłam taka uparta, jeśli chodzi o Grecję, ale ta historia z daliami...

- Nie ma za co, mamo. To nie ma znaczenia - odparła Lucy szorstko.

- W każdym razie, możesz pojechać do Grecji, jeśli panny Alan wezmą cię ze sobą.

- Och, to cudownie, cudownie!

Pan Beebe wszedł do pokoju. Lucy siedziała nadal z rękoma na klawiaturze. Cieszyła się, ale on spodziewał się większej radości. Matka objęła ją, a Freddy, dla którego śpiewała, ukląkł, opierając głowę na jej kolanach, nie wyjmując z zębów nie zapalanej fajki. W jakiś dziwny sposób ta scena wydała się panu Beebe'owi piękna i z powodu zamięłowania pastora do dawnej sztuki przywiodła mu na myśl „Santa Conversazione”. Sceny takie jak ta, nie będąc sensacyjnymi ani sensualistycznymi, nie spotykają się w dzisiejszych czasach z zainteresowaniem. Po co Lucy miałyby wyjeżdżać dokądkolwiek lub wychodzić za mąż, mając takich przyjaciół w domu?

Nie mów, kiedy lud cię słucha.

- śpiewała dalej.

- Oto i pan Beebe.

- Pan Beebe wie o wszystkim.

- To bardzo mądra i piękna pieśń - powiedział, kiedy znowu przerwała. - Proszę śpiewać dalej.

- Nie jest najlepsza - rzekła lekceważąco. - Nie pamiętam już dlaczego, chyba z powodu braku harmonii.

- Jest piękna.

- Melodia jest niezła, ale słowa głupie - powiedział Freddy.

- Sam jesteś głupi - odparła. Sielanka prysnęła. Pan Beebe zrozumiał, że nie ma powodu, dla którego Lucy miałyby mówić o Grecji czy dziękować mu, że przekonał jej matkę. Zaczął się zbierać do wyjścia.

Na ganku Freddy zapalił jego lampkę rowerową i z właściwą sobie błyskotliwością powiedział:

- Ten dzień był dłuższy od innych.

Zatkaj uszy na dźwięk pieśni.

- Proszę zaczekać, ona zaraz skończy.

- Lubię taką pogodę - rzekł Freddy.

Pan Beebe zamyślił się. Dwie rzeczy nie ulegały wątpliwości: Lucy zachowała się wspaniale, a on jej w tym dopomógł. Nie powinien martwić się szczegółami, które tylko kobieta może zrozumieć.

Złoto niechaj ci się nie śni,

Kiedy zmysły nie są w wojnie,

Żyjesz lekko, mrzesz spokojnie.

- usłyszał pomimo wiatru i pomyślał, że Freddy ma rację, że patetyczna melodia kłóci się ze słowami, które powinna zdobić.

Kiedy zmysły nie są w wojnie,

Żyjesz lekko, mrzesz spokojnie.

(Walter Scott,

Naręczona z Lammermoor)

Po raz czwarty tego dnia spoglądał z góry na Windy Corner, który wyglądał teraz jak latarnia morska wśród nadciągających z szumem fal ciemności.

ROZDZIAŁ XIX: OKŁAMUJĄC PANA EMERSONA

Panny Alan zatrzymały się w swoim ulubionym hotelu niedaleko Bloomsbury, czystym, dusznym pensjonacie, jakich wiele spotyka się na prowincji. Zatrzymywały się tam zawsze przed każdą większą eskapadą, by przez jakiś tydzień lub dwa zająć się spokojnie gromadzeniem ubrań, przewodników, dietetycznego pieczywa i innych niezbędnych drobiazgów. To, że za granicą także są sklepy, nawet w Atenach, nie przyszło im do głowy, bo każdą podróż traktowały jak wyprawę wojenną, do której przystąpić można dopiero po uprzednim zaopatrzeniu się w Haymarkecie. Miały nadzieję, że panna Honeychurch równie starannie przygotowuje się do drogi. Chininę można już było dostać w pastylkach, a papierowe chusteczki ogromnie przydawały się w podróży. Lucy przytaknęła, tracąc nieco humor.

- Ale oczywiście wie pani o tym wszystkim, mając do pomocy pana Vyse'a. Dżentelmen to niezmiernie przydatny element życia.

Pani Honeychurch, która przyjechała do miasta razem z córką, zaczęła nerwowo bębnić palcami po torebce.

- Obie z siostrą jesteście zdania, że to wspaniale ze strony pana Vyse'a, iż pozwala pani na taką długą podróż - powiedziała panna Katarzyna. - Niewielu młodych ludzi zdobyłoby się na podobną wspaniałomyślność. Może jednak pan Vyse zamierza do nas dołączyć w pewnym momencie?

- A może to praca zatrzymuje go w Londynie - dodała panna Teresa, bystrzejsza i mniej łagodna od siostry.

- Tak czy owak zobaczymy go, kiedy będzie panią odprowadzał. Jestem ogromnie ciekawa spotkania z nim.

- Nikt nie będzie odprowadzał Lucy - wtrąciła pani Honeychurch. - Ona tego nie lubi.

- Tak, nie znoszę odprowadzania - potwierdziła Lucy.

- Doprawdy? Jakie to zabawne! Wydawałoby się, że w tym przypadku...

- Ach, pani Honeychurch, więc i pani jej nie odprowadzi? Bardzo miło było poznać panią.

Panny Alan oddaliły się szybko. Lucy odetchnęła z ulgą.

- Tym razem nam się udało.

Pani Honeychurch była jednak zirytowana.

- Nie rozumiem, kochanie, dlaczego im nie powiedziałaś. Miałaś już to za sobą. Musimy udawać, a zapewniam cię, że niedługo prawda wyjdzie na jaw. To okropne!

- Panny Alan to plotkarki - odparła Lucy. - Kiedy one się dowiedzą, dowiedzą się wszyscy dookoła.

- A dlaczego mieliby się nie dowiedzieć?

- Ponieważ ustaliłam z Cecilem, że powiem o tym dopiero po wyjeździe z Anglii. Tak będzie dużo lepiej. Ależ pada! Schowajmy się tutaj.

Stały przed British Museum. Pani Honeychurch się nie zgodziła. Jeżeli już miały gdzieś się schować, to w sklepie. Na to z kolei nie chciała przystać Lucy, która postanowiła obejrzeć rzeźby greckie. Od pana Beebe'a pożyczyła słownik mitologiczny, by zaznajomić się z imionami bogów.

- Dobrze, chodźmy więc do sklepu. Do Mudie'go. Kupię sobie przewodnik.

- Wiesz, Lucy - powiedziała pani Honeychurch. - Ty, Charlotta i pan Beebe, wszyscy dajecie mi do zrozumienia, jaka jestem głupia. I może rzeczywiście tak jest. Nie rozumiem tego całego zamieszania. Pozbyłaś się Cecila i bardzo się z tego cieszę, choć przez moment miałam do ciebie żal. Ale dlaczego nie chcesz, żeby się o tym dowiedziano? Po co to szeptanie i chodzenie na palcach?

- Jeszcze tylko parę dni.

- Ale po co w ogóle?

Lucy nie odpowiedziała. Mogła powiedzieć: „George Emerson niepokoił mnie, a kiedy usłyszysz, że zerwałam zaręczyny, może uczynić to znowu”. Nie potrafiła jednak się na to zdobyć. Nie lubiła zwierzeń, Bo często prowadziły do samoświadomości i tego najgorszego z zagrożeń, jakim jest Jawność. Od owego pamiętnego wieczoru we Florencji Lucy uznała za nierozsądne obnażanie swej duszy.

Pani Honeychurch również milczała. Myślała: „Moja córka woli być z tymi okropnymi pannami niż z Freddym i ze mną. Zrobi wszystko, żeby tylko nie być w domu”. I ponieważ nigdy nie potrafiła zatrzymać swoich myśli dla siebie, wybuchła:

- Masz dosyć Windy Corner!

Była to szczerza prawda. Lucy pragnęła ukryć się w Windy Corner, kiedy uwolniła się od Cecila, zrozumiała jednak, że straciła dom. Freddy wciąż go posiadał, a to dlatego, że jego myśli i życie wciąż były proste i czyste. Jej myśli nie były już takie, choć nie zdawała sobie z tego sprawy. Była przekonana, że nie kocha George'a, że zerwanie zaręczyn i chęć wyjazdu do Grecji nie mają nic z nim wspólnego. Czuła się zirytowana i zmęczona. Pragnęła zrobić coś nieoczekiwanego.

- Mamo, przestań mówić takie bzdury - powiedziała. - Oczywiście, że nie jestem zmęczona Windy Corner.

- To dlaczego myślałaś pół godziny, zanim to powiedziałaś?

Lucy zaśmiała się cicho.

- Chyba raczej pół minuty.

- Może w ogóle chcesz się wyprowadzić z domu?

- Cicho, mamo! Ludzie cię usłyszą - syknęła, bo właśnie weszły do sklepu. Lucy kupiła przewodnik i ciągnęła dalej. - Oczywiście, że chcę mieszkać w domu. Ale skoro już o tym mowa, sądzę, że będę również miała ochotę pozostawać z dala od domu częściej niż do tej pory. - W oczach pani Honeychurch zabłyśły łzy. - Widziałam tak mało światła. Czuję się taka obca we Włoszech. Widziałam tak mało życia. Powinno się częściej jeździć do Londynu, nie tylko na parę godzin na zakupy, ale też na dłużej. Może wynajmę mieszkanie z jakąś inną dziewczyną?

- Tak! Maszyny do pisania i agitacja! - wybuchła pani Honeychurch. - Krzycz, aż cię zabierze policja. Nazywaj to misją, kiedy nikt cię nie chce, i obowiązkiem, kiedy nie możesz wytrzymać we własnym domu. A przedtem jedź za granicę z tymi dwiema trzęsącymi się staruszkami.

- Chcę być bardziej niezależna - powiedziała Lucy niepewnie. Wiedziała, że chce czegoś, ale nie umiała określić swoich pragnień. W takich wypadkach najczęściej żądamy właśnie niezależności. Próbowiła przypomnieć sobie swoje uczucia z Florencji - były takie szczerze i wzniosłe.

- A więc dobrze. Bądź niezależna. Pojedź w podróż dookoła świata. Jeżeli gardzisz domem, który zbudował twój ojciec, i ogrodem, który założył, dobrze, wynajmij mieszkanie z jakąś dziewczyną.

Lucy zacisnęła usta.

- Może powiedziałam to trochę nierozważnie.

- Boże drogi! - zawołała jej matka. - Coraz bardziej przypominasz mi Charlotte Barlett!

- Charlotte? - powtórzyła Lucy, dotknięta boleśnie.

- Z każdą chwilą coraz bardziej.

- Nie wiem, o czym mówisz, mamo. Charlotta i ja jesteśmy zupełnie różne.

- Ja dostrzegam podobieństwo. To samo nieustające zamartwianie się, ten sam sposób mówienia. Pamiętasz, jak wczoraj próbowałyście podzielić dwa jabłka między trzy osoby? Stajecie się jak siostry.

- Co za bzdura! Jeżeli tak nie lubisz Charlotty, nie musiałaś jej zapraszać. Ostrzegałam cię, błagałam, żebyś tego nie robiła, ale ty mnie oczywiście nigdy nie słuchasz.

- No i proszę.

- Słucham?

- Charlotta, moja droga. Słowo w słowo.

Lucy zacisnęła zęby.

- Powiedziałam tylko, że nie powinnaś była zapraszać Charlotty - rzekła. Dokończyły zakupów w milczeniu. W drodze powrotnej nie rozmawiały wiele. Padało cały dzień i nawet teraz strumienie wody z gałęzi brzoź spadały na dach powozu, bębniąc głośno. Lucy wpatrzyła się w mrok zapadający dokoła. Lampa zatknięta na przedzie tylko nieznacznie rozświetlała ciemność.

- Udusimy się tu, kiedy wsiądzie Charlotta - powiedziała Lucy.

Miały bowiem zabrać pannę Barlett, która składała wizytę matce pana Beebe'a.

- Będziemy musiały siedzieć wszystkie trzy po jednej stronie, bo z drzew kapie, chociaż deszcz już nie pada. Boże, jak tu duszno!

Kopyta końskie wybijały wciąż tę samą melodię: „Nie powiedział, nie powiedział”.

Czy nie możemy spuścić budy? - zapytała po chwili, a jej matka z nagłą czułością odparła:

- Dobrze, kochanie, zatrzymaj konia.

Gdy powóz zatrzymał się, Lucy i Powell opuścili dach, wylewając pani Honeychurch trochę wody za dekolt. Ruszyli. Mijali właśnie willę Emersonów. Okna były ciemne i Lucy wydało się, że furtkę zamknięto na kłódkę.

- Czy dom jest znowu do wynajęcia, Powell? - zawołała.

- Tak, panienko.

- Czy oni wyjechali?

- Za daleko od miasta, jak dla młodego pana, no i reumatyzm starszego pana znowu się nasilił. Starszy pan nie może zostać tu sam, więc próbują wynająć inny dom wraz z umeblowaniem.

- A zatem wyjechali?

- Tak, panienko.

Lucy opadła z powrotem na poduszki. Powóz zatrzymał się przy plebanii. Wysiadła, by zawołać pannę Barlett. A więc Emersonowie wyjechali i całe to zamieszanie wokół Grecji było zupełnie niepotrzebne. Wszystko na darmo! Daremne plany, zmarnowane pieniądze, zmarnowana miłość. Nawet matkę udało jej się urazić. Kiedy służąca otworzyła drzwi, stała nieruchomo, niezdolna powiedzieć słowa.

Panna Barlett po długim wstępie zapytała, czy nie mogłaby pójść do kościoła. Pan

Beebe i jego matka już poszli, ale ona nie chciała iść bez zgody pani Honeychurch, bo oznaczało to dalsze dziesięć minut zwłoki.

- Ależ oczywiście - odrzekła matka Lucy ze znużeniem. Zapomniałam, że dzisiaj piątek. Chodźmy. Powell, możesz poczekać tutaj.

- Lucy, kochanie...

- Nie, nie, ja nie idę.

Westchnęły i poszły. W ciemności nie widać było murów kościoła, jedynie kolorowe, witrażowe okno, rozświetlone od wewnątrz. Kiedy drzwi się otworzyły, Lucy usłyszała głos pana Beebe'a, mówiący litanie. Nawet ich kościół na wzgórzu, który uważała za taki piękny, z cudowną nazwą i srebrzystym dachem, stracił dawną wartość, a wraz z nim również religia.

Lucy weszła za pokojówką na plebanie. Czy zechce usiąść w gabinecie pana Beebe'a? To jedyny pokój, w którym napalono. Weszła do środka. Przy ogniu siedział stary pan Emerson, opierając stopy na podnóżku.

- Witam, panno Honeychurch - powiedział drżącym głosem.

Lucy zauważyła, że od ostatniej niedzieli zaszła w nim jakaś zmiana.

Milczała. Wiedziała, jak zachowywać się przy George'u, w obecności jego ojca straciła głowę.

- Panno Honeychurch, tak nam przykro! George jest taki zmartwiony. Miał prawo spróbować... choć mógł mnie uprzedzić o wszystkim. Nie mogę go winić, ale niepotrzebnie próbował. Ja nie wiedziałem o tym, nie miałem pojęcia. Pani nie powinna mieć mu za złe.

Lucy odwróciła się, wbijając wzrok w półkę z książkami. Pan Emerson mówił dalej, a głos jego drżał.

- Nauczyłem go wierzyć w miłość. Mówiłem mu: „Miłość to jedyna prawdziwa rzecz na tym świecie. Namietność nie oślepia, namietność jest święta. Kobieta, którą kochasz, jest jedyną osobą na tym świecie, którą masz szansę zrozumieć.” To prawda, to szczerą prawdą, choć moje dni dobiegają końca, choć taki jest efekt tego wszystkiego. Biedny chłopiec! Jest mu tak przykro. Powiedział mi, że to przez kuzynkę, że nic z tego, co pani czuła, nie było prawdziwe - jego głos przybrał na sile. - Panno Honeychurch, czy pamięta pani Włochy?

Lucy wybrała jedną z książek dotyczących Starego Testamentu i wpatrując się w nią powiedziała:

- Nie mam zamiaru o tym mówić. Ani o niczym, co jest związane z pańskim synem.

- Ale czy pamięta pani?

- Zachowywał się źle od samego początku.

- Powiedział mi o tym, co stało się w niedzielę.

Lucy spojrzała na niego. Jego oczy w wymizerowanej twarzy pełne były dziecięcej odwagi.

- Zachował się wstrętne - powiedziała. - Cieszę się, że mu przykro. Czy wie pan, co zrobił?

- Wstrętne? Pani ma wszystko, czego potrzeba do szczęścia, panno Honeychurch: zamierza pani poślubić człowieka, którego pani kocha. Proszę, niech słowo „wstrętne” nie będzie ostatnim, jakie powie pani o George'u.

- Tak, oczywiście - przyznała Lucy, zawstydzona wzmianką o Cecilu. - Wstrętne to za wiele powiedziane. Pójdę chyba do kościoła. Moja matka i moja kuzynka już tam poszły. Nie będę chyba bardzo spóźniona.

- To już koniec - powiedział pan Emerson cicho.

- Nie rozumiem. Panie Emerson, o czym pan mówi?

- Nie pozwoliłem ochrzcić George'a - odparł. Spojrzała na niego przerażona. - Oboje z żoną postanowiliśmy wychowywać go bez chrztu. Kiedy miał dwanaście lat, ciężko zachorował. Ona uwierzyła, że to kara. Ach, to okropne, to gorsze od śmierci, kiedy twój mały ogród, który udało ci się stworzyć wśród chaszczki, z powrotem zarasta chwastami. Kara! Nasz chłopiec miał tyfus, bo ksiądz nie pokropił go święconą wodą! Czy to możliwe, panno Honeychurch? Proszę powiedzieć, czy to możliwe? Czy na zawsze już mamy pozostać w ciemności?

- Nie wiem - powiedziała Lucy zmieszana. - Nie rozumiem tych spraw. Nie chcę o nich myśleć.

- Pan Eager - mówił dalej pan Emerson - przyszedł do nas do domu, kiedy mnie nie było, głosząc swoje zasady. Panno Honeychurch, nie minęło kilka dni, kiedy ona zaraziła się od chłopca. On wyzdrowiał, ale ona odeszła. Odeszła, myśląc o tym, jak wielki grzech popełniliśmy. To pan Eager kazał jej tak myśleć.

A więc to miał na myśli pan Eager mówiąc, że pan Emerson zamordował swoją żonę w obliczu Boga.

- To straszne! - zawołała Lucy, zapominając w końcu o własnej osobie.

- Nie pozwoliłem go ochrzcić - ciągnął pan Emerson. Spojrzał na rzędy książek nieugiętym wzrokiem, jakby w tej właśnie chwili odniósł nad nimi zwycięstwo, płacąc za to tak wysoką cenę.

Nie poddałem się. Mój chłopiec powróci do ziemi nietknięty.

Lucy zapytała, czy George jest chory.

- Ach, ostatniej niedzieli... Nie, on nigdy nie choruje. Ale to nieodrodny syn swojej

matki. Takie same oczy i to piękne czoło. On już nie chce żyć, panno Honeychurch. Będzie żył, ale nic go już nie ucieszy. Czy pamięta pani ten kościół we Florencji?

Pamiętała. Pamiętała również, jak zaproponowała, żeby George zbierał znaczki pocztowe.

- Wyjechała pani z Florencji... Potem wynajęliśmy ten dom i wie pani, od czasu tej kąpieli z pani bratem wszystko zaczęło układać się lepiej. Czy widziała go wtedy pani?

- Przepraszam, ale to nie jest temat do rozmowy.

- Potem ta powieść... Nie bardzo rozumiałem, o co chodzi. George nie chciał mi powiedzieć, uważa, że jestem za stary. W każdym razie, George przyjeżdża tu jutro i zabiera mnie ze sobą do Londynu. On nie może tu zostać, a ja muszę być przy nim.

- Panie Emerson, proszę nie wyjeżdżać! Proszę nie wyjeżdżać przeze mnie! Ja i tak jadę do Grecji.

Uśmiechnął się do niej łagodnie.

- Jacy wszyscy są dobrzy dla mnie. Pan Beebe zaproponował mi nocleg u siebie. Tak tu dobrze przy ogniu.

- Proszę nie wracać do Londynu! To absurd.

- Muszę być z George'em, a on nie może tu mieszkać. Mówi, że sama myśl o pani... Nie usprawiedliwiam go. Mówię tylko, co się wydarzyło.

- Och, panie Emerson - zawołała, biorąc go za rękę. - Nie wolno panu tego robić! Proszę tego nie robić. Już i tak dosyć kłopotów sprawiłam otoczeniu. Nie mogę pozwolić, by zostawił pan swój dom, a może nawet na tym stracił - przeze mnie. Proszę zostać. Ja i tak jadę do Grecji.

- Aż do Grecji?

- Proszę zostać. Wiem, że mogę zaufać wam obu, że nie powiecie nikomu o tym, co się stało.

- Oczywiście, że może pani nam zaufać. Domyślam się, że pan Vyse był bardzo zły na George'a? Tak, George nie powinien był próbować. Zbyt daleko posunęliśmy się w naszych nadziejach.

Spojrzała ponownie na książki - czarne, brązowe i niebieskie. Otaczały ich ze wszystkich stron, piętrzyły się na stołach, wznosiły stosami do samego sufitu. Lucy nie wiedziała, czy pan Emerson jest wierzący, wiedziała tylko, że różni się od pana Beebe'a przede wszystkim tym, że docenia uczucia. Wydało jej się straszne, że starszy pan znalazł się w tym sanktuarium, na łasce pastora.

Zaproponował, by usiadła.

- Nie, nie, proszę nie wstawać. Będę siedziała w powozie.

- Panno Honeychurch, pani wygląda na zmęczoną.

- Nie jestem zmęczona - powiedziała drżącym głosem.

- Ależ jest pani. Jest w pani coś, co przypomina mi George'a...

Co pani mówiła o wyjeździe?

Milczała.

- Grecja - powiedział, jakby zastanawiał się nad brzmieniem tego słowa. - Ale pani miała przecież wyjść za mąż w tym roku.

- Nie wcześniej niż w styczniu - odparła, zaciskając ręce. Czy uda jej się nie kłamać?

- Pan Vyse zapewne jedzie razem z panią? Ach, mam nadzieję, że to nie z powodu George'a postanowiliście oboje wyjechać?

- Nie.

- Mam nadzieję, że miło spędzicie tam czas.

- Dziękuję panu.

W tej chwili do pokoju wszedł pan Beebe. Jego ubranie ociekało deszczem.

- Znakomicie - powiedział. - Miałem nadzieję, że wy dwoje dotrzymacie sobie nawzajem towarzystwa. Znowu pada. Moja matka, pani matka i pani kuzynka czekają na zewnątrz na powóz. Jak się miewają panny Alan?

- Dobrze.

- Czy powiedziała pani Emersonowi o Grecji?

- Ja...tak, powiedziałam.

- Czy nie sądzi pan, że to bardzo odważnie z jej strony, panie Emerson? Podróżować we trójkę, nie każdy by się na to zdobył - powiedział z uśmiechem pan Beebe i wyszedł z pokoju.

- Cecil nie jedzie ze mną - powiedziała Lucy. - Zostaje w Anglii.

Nie potrafiła okłamywać starego pana Emersona. Mogła skłamać George'owi, Cecilowi, ale on wydawał się taki bliski końca i taki pełen godności w obliczu tego faktu, że obudził się w niej szacunek, jaki młodzi są winni starym. Kiedy powiedziała, że jedzie do Grecji bez Cecila, pan Emerson spojrzał na nią przenikliwie i zapytał:

- Opuszcza go pani? Opuszcza pani człowieka, którego pani kocha?

- Nie mam innego wyjścia.

- Ale dlaczego, panno Honeychurch, dlaczego?

Ogarnął ją strach. Udzieliła mu długiej, wyczerpującej odpowiedzi, takiej samej, jakiej udzieliła panu Beebe'owi i jakiej zamierzała udzielać wszystkim, mówiąc o swoich

zerwanych zaręczynach. Słuchał w milczeniu, po czym rzekł:

- Moja droga, boję się o panią. Zdaje mi się, że ma pani kłopoty.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Proszę posłuchać starego człowieka - mówił. - Nie ma nic gorszego na świecie niż zamęt. Wszystko, co brzmi strasznie, śmierć, nieszczęście, to wszystko można łatwo znieść. Ale zamęt! Tylu rzeczy mógłbym uniknąć, gdybym myślał inaczej. Tak niewiele możemy sobie pomóc. Zdawało mi się, że potrafię nauczyć George'a, jak żyć. Tymczasem nauczyłem go tylko jednej rzeczy: unikać zamętu. Czy pamięta pani, jak w tym kościele udawała pani złość, choć wcale nie była pani zła? To także zamęt. Proszę mi uwierzyć, panno Honeychurch, życie jest wspaniałe, ale trudne zarazem. - Milczała. - Życie, jak napisał jeden z moich przyjaciół, to: „Publiczny koncert na skrzypcach, z tym, że gry uczymy się w czasie jego trwania”. To dobrze powiedziane. Człowiek uczy cię wykorzystywać swe zdolności w trakcie życia - a szczególnie zdolność do kochania. - Przerwał na chwilę, po czym zawołał z pasją: - Tak, o to właśnie chodzi! Pani kocha George'a!

Te trzy słowa uderzyły Lucy jak fale na otwartym morzu.

- Tak, kocha go pani - ciągnął, nie czekając na odpowiedź. - Kocha go pani duszą i ciałem, tak jak on kocha panią; nie da się tego inaczej powiedzieć. Nie wolno pani wyjść za nikogo innego.

- Jak pan śmie? - zawołała Lucy, nie mogąc złapać tchu z oburzenia. - Jakie to typowo męskie, sądzić, że kobieta myśli tylko o mężczyźnie.

- Ale to prawda. Wiem, że to dla pani szok, ale chciałem panią zaszokować. To jedyny sposób, żeby pani pomóc. W żaden inny sposób nie uda mi się do pani dotrzeć. Zbyt daleko pani zaszła. Musi pani go poślubić albo zmarnuje pani życie. Nie mam czasu, by być delikatnym. Wiem, że kocha pani George'a i że przy nim znajdzie pani wszystko, co trzeba do szczęścia. Proszę zostać jego żoną! On już jest częścią pani. Choćby wyjechała pani do Grecji i nigdy już go nie zobaczyła, on zawsze pozostanie w pani myślach. Nie można jednocześnie kochać i opuszczać. Miłość... możesz zdusić ją w sobie, udać, że jej nie ma, ona jednak pozostanie na zawsze, ukryta głęboko na dnie twojej duszy. Poeci mają rację mówiąc, że miłość jest wieczna, wiem to z doświadczenia.

Lucy zapłakała z gniewu, a potem, choć gniew przeminął, płakała nadal.

- Gdyby poeci powiedzieli jeszcze to, że miłość bierze się z ciała; nie jest ciałem, ale z niego się bierze. Ach, ile cierpienia zaoszczędzilibyśmy, gdyby wyznać to otwarcie. Pomyśl o swojej duszy, Lucy! To okropne słowo, wiem, i zbyt często używane, ale my mamy dusze, Lucy. Nie wiem, skąd się biorą ani dokąd zdążają, ale mamy je i widzę, jak kaleczysz swoją!

Nie mogę tego znieść. Ciemność gromadzi się wokół ciebie, ta ciemność to piekło. - Przerwał na chwilę, odzyskując równowagę. - Co za bzdury wygaduję! Płaczesz przeze mnie. Dziecko drogie, wybac mi, wybac i zostań żoną George'a. Tak rzadko się zdarza, żeby na miłość odpowiadano miłością. A jednak tak czasem bywa i właśnie po to został stworzony ten świat.

Lucy nie rozumiała go, jego słowa były obce, niejasne. Jednak w miarę jak mówił, ciemność wokół niej rozstępowała się.

- Przestraszył mnie pan! - krzyknęła. - Cecil, pan Beebe, bilety już kupione... - szlochając opadła na krzesło. - Będę cierpieć i zestarzeję się z dala od niego. Jest już za późno. Oni wszyscy mi zaufali.

Przed dom zajechał powóz.

- Proszę pozdrowić George'a - powiedziała i opuściła woalkę na zalaną łzami twarz.

- Lucy...

- Nie, za późno. Oni już tu idą. Panie Emerson, proszę...

- Ale dlaczego mają ci ufać, skoro ich okłamałaś?

- Oto moja matka - powiedział pan Beebe, wchodząc do pokoju.

- Nie zasługujesz na ich zaufanie.

- O co tu chodzi? - zapytał pan Beebe ostro.

- Mówiłem właśnie, że nie powinniście jej ufać, skoro was okłamała.

- Poczekaj chwilę, mamó - powiedział i zamknął drzwi.

- Nie bardzo rozumiem, panie Emerson. O kim pan mówi?

- Udawała, że nie kocha George'a. Kochają się od dawna.

Pan Beebe spojrział na zapłakaną dziewczynę. Milczał i tylko jego twarz stawała się coraz bledsza, niesłychanie kontrastująca z płomiennymi bokobrodami, i coraz mniej podobna do ludzkiego oblicza. Stał nieruchomo, niczym wysoka, czarna kolumna, i czekał na odpowiedź Lucy.

- Nigdy za niego nie wyjdę - powiedziała cicho.

- Dlaczego nie? - zapytał, patrząc na nią ze złością.

- Panie Beebe, wprowadziłam pana w błąd, ja... okłamałam samą siebie.

- Bzdury, panno Honeychurch!

- To nie bzdury! - zawołał pan Emerson. - To po prostu ta strona człowieka, której pan nigdy nie zrozumie.

- Lucy! Lucy! - dobiegło z zewnątrz.

Pan Beebe spojrział na niego zdumiony i powiedział zimno:

- Jestem bardzo zasmucony. Bardzo. To, co się stało, jest godne pożałowania.

- Co pan ma przeciwko mojemu chłopcu? - zawołał pan Emerson.

- Nic, panie Emerson, z wyjątkiem tego, że więcej nie chcę o nim słyszeć. Proszę poślubić George'a, panno Honeychurch. Wspaniale się nadaje na pani męża.

Powiedziawszy to, odwrócił się i wyszedł. Usłyszeli, jak odprowadzał matkę na górę.

- Lucy! - dobiegło wołanie z zewnątrz.

Spojrzała na pana Emersona z rozpaczą i zamarła. Jego twarz promieniała jasnością. Była to twarz świętego, który doznał objawienia.

- Lucy, wiem, że teraz wszystko pogrążone jest w ciemności. Ale przypomnij sobie to, co stało się w górach. Ach, moja droga, gdybym to ja był George'em, mój pocałunek dodałby ci odwagi. Musisz walczyć. Twoja matka i wszyscy twoi przyjaciele odwrócą się od ciebie i będą tobą pogardzać, jeśli ktokolwiek ma prawo do pogardy. - W jego oczach błysnęły łzy. - Ach, czy słusznie postępuję? Tak, ponieważ walczymy o coś więcej niż Miłość i Szczęście. Walczymy o Prawdę, a Prawda to jedyne, co się liczy.

- Proszę mnie pocałować - powiedziała Lucy. - Będę walczyć. Spróbuję.

Poczuła, jak ogarnia ją spokój, a wraz z nim przeświadczenie, że zdobywając ukochanego człowieka, zdobywa coś dla całego świata. W drodze do domu towarzyszył jej pocałunek starszego pana. Pan Emerson uwolnił ciało od piętna, udowodnił czystość jej pragnień. Po latach zwykła powtarzać, że nigdy właściwie nie rozumiała, jak zdołał dodać jej sił. To tak, jakby w jednej chwili pozwolił jej dostrzec wszystko.

ROZDZIAŁ XX: KONIEC ŚREDNIOWIECZA

Panny Alan pojechały do Grecji, pojechały jednak same. Same okrążyć miały przylądek Maleas i przemierzyć wody Zatoki Saronickiej. Same miały odwiedzić Ateny i Delfy, i Akropol, otoczony błękitem mórza, i Parnas, gdzie orły budują gniazda, a nieustraszony woźnica kieruje swój rydwan ku nieskończoności. Drżące, zaopatrzone w stosowną ilość dietetycznego pieczywa, dotarły do Konstantynopola, by w końcu ruszyć w podróż dookoła świata. Zostawimy je, by odbyć podróż równie ważną, choć nie aż tak wspaniałą. *Italiam petimus* (Wracamy do Włoch): Wracamy do pensjonatu „Bertolini”.

George twierdził, że to jego dawny pokój.

- Mylisz się - odparła Lucy. - To jest pokój, który ja miałam, a mnie przypadł pokój twojego ojca. Nie pamiętam już, dlaczego, ale Charlotta nalegała, by tak się stało.

George ukląkł na kamiennej posadzce i położył głowę na jej kolanach.

- George, nie bądź dziecinny, wstań.

- Dlaczego nie miałbym być dziecinny? - mruknął.

Lucy nie odpowiedziała. Odłożyła jego skarpetkę, którą usiłowała zacerować, i wyjrzała przez okno. Zapadał zmierzch i znowu była wiosna.

- Do licha z Charlottą! - powiedziała Lucy. - Z czego tacy ludzie są ulepieni?

- Z tego samego, z czego ulepieni są księża.

- Och, nonsens!

- Zgoda, nonsens.

- A teraz wstań z tej podłogi, bo nabawisz się reumatyzmu, przestań się śmiać i stroić sobie żarty.

- Dlaczego mam się nie śmiać? - zapytał, zaglądając jej w twarz. - Czy są jakieś powody do zmartwień? Pocałuj mnie tutaj - powiedział, wskazując wybrane miejsce.

Wciąż był chłopcem, a ona nadal pamiętała przeszłość. To jej zadano największe rany, i pamiętała, do kogo w ubiegłym roku należał ten pokój. To, że czasem się mylił, wzbudzało w niej, o dziwo, jeszcze większe przywiązanie.

- Czy są jakieś listy? - zapytał.

- Tylko kartka od Freddy'ego.

- Pocałuj mnie tu... i tu.

Kiedy spełniła prośbę, wstał i podszedł do okna, otworzył je na oścież i wychylił się daleko. Rzeka i wzgórza pozostały takie same, a siedzący pod oknem woźnica pozdrowił go

sycząc niby wąż. Możliwe, że był to ten sam Faeton, który zapoczątkował wszystko dwanaście miesięcy temu. Ogromna wdzięczność wypełniła George'a - na południu wszystkie uczucia zyskują na intensywności. Wyglądając przez okno błogosławił ludzi, którzy zajęli się młodym głupcem tak troskliwie. On też miał w tym swój udział, lecz najmniej chwalebny. Włochy, ojciec, żona - całe swoje szczęście zawdzięczał otoczeniu.

- Lucy, chodź i spójrz na te cyprysy. Widać też kościół, zapomniałem, jak się nazywa.

- San Miniato. Zaraz, tylko skończę z tą skarpetką.

- Signorino, domani faremo un giro! (Zapraszam na przejażdżkę!) - zawołał woźnica zachęcająco.

George wyprowadził go z błędu - nie mieli dość pieniędzy na przejażdżki.

Pokonali wszystkich, którzy stali im na drodze. Tyłu jest ludzi nie przyjaznych, świat roi się od Cecilów, panien Lavish i panien Barlett!

- Czy Freddy pisze coś dobrego?

- Nie, na razie nie.

Jego zadowolenie było bezgraniczne; choć Lucy nie pozbyła się goryczy. Rodzina Honeychurch nie wybaczyła im, nie mogąc zapomnieć o hipokryzji, jaką wykazała się Lucy. Opuściła Windy Corner, możliwe, że na zawsze.

- A o czym pisze?

- Głupek! Wiedział, że wyjedziemy na wiosnę! Od sześciu miesięcy wiadomo było, że jeśli matka nie da nam błogosławieństwa, weźmiemy sprawę w swoje ręce. Ostrzegaliśmy ich uczciwie - a on to teraz nazywa ucieczką. Śmieszne!

- Ale to się kiedyś skończy. Będzie musiał się z tym pogodzić. Szkoda, że Cecil stał się taki cyniczny, jeśli chodzi o kobiety. Całkiem się zmienił. Dlaczego mężczyźni muszą mieć swoje teorie na temat kobiet? Chciałabym, żeby pan Beebe...

- Możesz sobie chcieć.

- Nigdy nam nie wybaczy. To znaczy, że nigdy nie będzie chciał mieć z nami do czynienia. Ma za duży wpływ na wszystkich w Windy Corner. Przykro, że tak jest, bo ludzie, którzy naprawdę nas kochają, wybaczyliby nam w końcu.

- Być może - powiedział, po czym dodał łagodniej: - Ja postawiłem na prawdę, to jedyna rzecz, jaką zrobiłem... i wróciłaś do mnie. Może więc... - spojrzał na Lucy. - Zostaw tę skarpetkę - powiedział i pociągnął ją do okna. Uklękli przy parapecie, nie chcąc, by ich widziano z zewnątrz. Wielka radość, o której marzyli, nadeszła wreszcie, a wraz z nią mnóstwo drobnych radości, o których nawet nie śnili. Milczeli.

- Signorino, domani faremo...

- Och, czego chce ten człowiek! - zniecierpliwił George.

Lucy przypomniała sobie sprzedawcę pocztówek i powiedziała miękko:

- Nie złość się na niego... Pan Eager i Charlotta, okropna, lodowata Charlotta! Pomyśl, jak okrutna byłaby Charlotta dla tego człowieka.

- Spójrz na te światła nad mostem!

- Ten pokój przypomina mi Charlotte. Jakie to okropne zestarzenie się tak jak ona. Pomyśl, co by się stało, gdyby tego wieczoru na plebanii usłyszała, że rozmawiam z twoim ojcem! Albo gdyby powstrzymała mnie przed wejściem do środka! Twój ojciec był jedyną osobą, która mogła mi otworzyć oczy. Ty nie mogłeś tego dokonać. Kiedy jestem szczęśliwa - pocałowała go - pamiętam, jak łatwo wszystko mogło się zmienić na niekorzyść. Gdyby Charlotta wiedziała, że twój ojciec jest w pokoju, nie wpuściłaby mnie zapewne do środka i... pojechałabym do Grecji, i już nigdy nie byłabym sobą.

- Ona wiedziała, Lucy. Widziała mojego ojca, on sam tak twierdzi.

- To niemożliwe. Była na górze ze starszą panią Beebe, nie pamiętasz? A potem poszła prosto do kościoła. Tak powiedziała.

- Mój ojciec ją widział - powtórzył George. - Drzemał przy kominku, a kiedy w pewnej chwili przebudził się, zobaczył pannę Barlett. Na moment przed twoim przybyciem. Właśnie wychodziła z pokoju, kiedy się obudził. Nie zamienili ani słowa.

Rozmawiali o wielu rzeczach, tak jak rozmawiają ludzie, którzy po długich walkach odnaleźli się w końcu w swoich ramionach. Po jakimś czasie przypomnieli sobie ponownie o panie Barlett. George, który nie znosił niejasnych sytuacji, powiedział z przekonaniem:

- To oczywiste, że wiedziała. Ale skoro tak, dlaczego dopuściła do waszego spotkania? Wiedziała, że on tam jest, a mimo to poszła do kościoła.

Rozważali ten problem przez chwilę i wtedy Lucy przyszła do głowy nieprawdopodobna myśl.

- A może Charlotta chciała naprawić wszystko w ostatniej chwili?

Jednak coś w ciemniejącym powietrzu, w szumie rzeki, w ich wzajemnym uścisku przeczyło temu przypuszczeniu.

- Czy to możliwe? - wyszeptał George.

- Co?

- Signorino, domani faremo un giro...

Lucy wychyliła się z okna i powiedziała miękko:

- Lascia, prego, lascia. Siamo sposati. (Odejdź, proszę, jesteśmy małżeństwem)

- Scusi tanto, signora (Przepraszam panią.) - odrzekł woźnica takim samym tonem i

odjechał śpiewając.

- Czy co możliwe, George?

- A więc tak! Czy to możliwe? To zdumiewające - szepnął. - Twoja kuzynka zawsze miała nadzieję, że będziemy razem. Od pierwszej chwili, od kiedy się spotkaliśmy, zawsze miała nadzieję, ukrytą gdzieś głęboko. Walczyła z nami - tylko z pozoru, ale cały czas miała nadzieję. Nie potrafię tego inaczej wytłumaczyć. Przez całe lato podtrzymywała mnie w tobie. Nie dawała ci spokoju. Miesiąc po miesiącu stawała się coraz mniej poczytalna. Nasz widok ją prześladował. Inaczej nie powiedziałyby o nas swej przyjaciółce. Czytałem tę książkę jeszcze raz... Ona nie jest lodowata, Lucy, nie jest pozbawiona uczuć. Rozdzieliła nas dwukrotnie, ale tego wieczoru na plebanii otrzymała jeszcze jedną szansę uszczęśliwienia nas. Nigdy nie będziemy mogli się z nią zaprzyjaźnić ani jej podziękować, ale wierzę, że w głębi serca, na przekór wszystkiemu, co mówi i robi - jest zadowolona.

- To niemożliwe - mruknęła Lucy, a potem, przypomniawszy sobie własne przeżycia, dodała: - Tak, to całkiem możliwe.

Młodość zawładnęła nimi. Piosenka Faetona niosła wieść o spełnionej miłości. Oni jednak wiedzieli, że miłość kryje jeszcze przed nimi wiele niezgłębionych tajemnic. Piosenka ucichła, usłyszeli szum rzeki, niosącej do Morza Śródziemnego wszystkie okruchy zimy.